

Czerwiec 1903.

T R E Ś Ć

	<i>Str.</i>
I. NOC RABINOWA	1
II. ROZMYŚLANIA	21
III. MÓJ PRZYJACIEL	
I JEGO OCEAN	30
IV. MAURZYCY BARRÈS	36
V. ŚW. SZYMON SŁUPNIK	63
VI. SZKICE	79
VII. OKOŁO ŚMIERCI	83
VIII. STYL POLSKI	97
IX. KRONIKA SZTUKI:	
1. Druga Wystawa Wiosenna	110
2. „Wodmęcie” Sztuka p. Palińskiego	113
3. A. Böcklin, — L. Jannina — Janowski	114
X. PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:	
1. Alkohol a historia	117
2. Pomnik Grottgera	119
3. Jan Karłowicz	120
XI. MISCELLANEA:	
1. Szkoła Kowieńska i wizyta jej w ostatnim roku wykładów Adama Mickiewicza (Dokończenie)	122
XII. ODEZWY NADESZŁANE:	
1. Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Król. Polskiem	128
2. Konkurs Dramatyczny Miłośników sceny	128
3. Towarzystwo ogrodnicze warszawskie	129
4. O Listy Słowackiego	129
5. Sekcja imienia Chopina	130
XIII. BIBLIOGRAFIA	132



ATENEUM.

WARSZAWA. ZESZYT VI. CZERWIEC 1903.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Іюня 1903 г.

LIBRARY

Noc rabinowa.

III.

W mroku szarzeją komnaty o niskim ciężkim suficie: zwierciadła, portrety, meble staroświeckie.

Człowiek leży, porusza rękoma w niespokojnym śnie — głuchy jęk.

Cicho wysuwa się Cień, rozglądając, omackiem zbliża się do łóża.

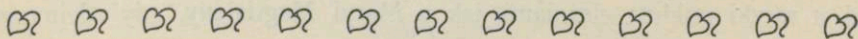
Człowiek śniący płacze, wzywa w modlitwie:

Maryol... matko człowieka w Bogu — duszą mnie... oczu! oczu! nie widzę! powieki zlepione ropą ziemi — o!

Z za węgara drzwi wysunęła się bryła trzech splecionych ciał: maskary, tańcząc fandango, zbliżają się do siebie w dzikim namiętym podrygu — jedna z nich gra na skrzypcach melodyę barbarzyńską — ostrą — szarpiącą, jak pocałunki na plecach Skrwawionej.

Ciało na łożu zrywa się — i w okropnem przerażeniu usiłuje coś pojąć i zbudzić się — jednym rzutem jest już na środku sypialni, błyskając kindżatem.

Zmory rozskakują — i szydząc z rozumu, chowają się za tapety, w poręcze foteli — lecz oto jedna, przechylona ponad drzwiami — kurczy się maską groteskowego szatana — krzesło z hukiem uderza w to miejsce i trzaska się w drobne okruchy wraz z lustrem, które wypada z ram — —



I znowu bór niebosiężnych jodeł, buków, olch — a u stóp ich wyrastają paprocie — i jezioro prześwieca fosforyczną głębią. Naniesione lodowcem granity sterczą jak ołtarze nad puszcza.

CZŁOWIEK.

Piana ocieka mi z ust, lecz i łańcuch pękł czarcich udręczeń.

Boję się duszy mej, gdzie wśród mroku świeci otchłań pełna krwi,
węzów i mgły ulatującej z posiniałych warg.

Zasnąłem, przysiadłszy w rowie; znużony jestem, idąc przez tę puszcę ku celowi, którego nie znam — przez gęstwiny mroczne i jakby skamieniałe od zaklęcia.

Boję się głębin.

Świętojański robaczku, migotaj nad ścieżyną mą!

I ty, żująca trawę łani, przytul do mnie swój łąpek z mądrymi oczyma, które cichym, modrym blaskiem świecą w tej nocy — ach, nigdy do piersi kobiecej nie tuliłem się z taką wdzięcznością.

Widzisz — sam jestem — i wraz umrę, albo się spełni — o czym lepiej nie myśleć.

Łani, tobie oczy wystrzelono śrutem — ja płaczę ze wstydu.

Węże u nóg mych cicho pełzają, błyszcząc się, niby strumienie w księżycu.

Przynieś mi, wężu, mój braciszku, podwójny błękitny kwiat, abym położył w jej puste oczodoły, migocące fosforem zgnitego ciała: przyleśny, żywy kwiatek — i nie czerwony, któryby straszył zwierzęta swym żarem.

Czy twoje serce wstąpiło we mnie, o łani, że już bezpiecznie przechylam się w ciemność i nie boję się rąk złego ducha?

Wy ćmy, zlatujące pod namioty mych powiek, — i wy jadowite pajęczki: możecie gniazda tkać w mych włosach, a ja, nieporuszony jak fakir, będę się nasycał Bóstwem.

Sam jestem w rajy z wami, o zwierzęta, drzewa, strumienie i ty, świątynio tajemnic, gwiazdzisty Oceanie! lecz pragnąłbym jeszcze osiąść jedną istotę gatunku mego — z wnętrzości serca, jak z dna jeziora, wynurza się błękitny Cień, ach, moja Oblubiona.

W łąchmanach — w zgrzebnej koszuli — stąpa po srebrnych czarach i amarantowych liściach wzruszonej mrocznej głębinie — spódniczka do kolan z kwiecistego jedwabiu — a nogi piękne, jakby utoczone z kości słoniowej, a rączki pokłute cierniami, jak u Maryi Magdaleny, gdy zdejmowała koronę swemu Zbawcy.

O, nie pokutuj, Maryo, niema już grzechu na tej ziemi, którą zaróżowił nasz uśmiech.

Oddamy się zobopólnej rozkoszy wśród łanów szeleszczącego zboża — i nie będzie nas widział nikt, oprócz Nieba pełnego oczu, gdzie gwiazdy, jak owady nocne, obejmują się w locie napowietrznym, a źrenice ich — szlifowane dyademy — patrzą w otchłań dwudziestu tysiącami kryształków. Czemuż ja płacę? ach nie, to rosa z drzew sączy się po mej twarzy.

Śliczne okrągłe masz piersi, podobne ogrodowi kwitnących granatów króla Salomona, lecz źrenice twe czarne o łunach krwawych, jak stygnące żelaza.

Kto jesteś?

OBLĄKANA (*mówi z wolna głucho, bezdźwięcznie*).

Szalona.

CZŁOWIEK.

Czekasz tu kogo?

OBLĄKANA.

Nikogo — nikogo — nikogo.

CZŁOWIEK.

Gdzie sypiasz w nocie jesienne i mroźne, gdy biały szron powarzy liście?

OBLĄKANA.

W jodłach — między korzenie —

CZŁOWIEK.

Wilków się nie boisz?

OBLĄKANA.

Łaszą się.

CZŁOWIEK.

A Pana Jezusa ty znasz?

OBLĄKANA.

Nie znam — oj, nie znam.

CZŁOWIEK.

I któż cię karmi?

OBLĄKANA.

(*śmieje się*).

CZŁOWIEK.

Mów!

OBLĄKANA.

On.

CZŁOWIEK.

Jaki dobry człowiek?

OBLĄKANA.

Nie dobry — nie człowiek.

CZŁOWIEK *(do siebie)*.

Rozstrojony ten zegar wybija wciąż północ.

OBLĄKANA.

Diad'ko — lieszy — djawo!

(Poczyna hukac puszczyk — mlode lisy skomla jak dzieci, mgly wysunely sie z za drzew, jakby przystuchujac).

CZŁOWIEK.

Młoda jesteś, szkoda cię oddać szatanom, tobie zakwitną róże i rozmaryny.

OBLĄKANA.

Ja stara — stara — jak ten księżyc — młodą ziemię bohaterów pomnę.

Tyś wódz był korabli — niszczyłeś miasta północy.

Ja kapłanka — patrzyłam w tarczę boga, co nocą krąży, nie znając snu — i drżałam, czytając w morzu jego wieszczce runy.

Widziałam zapalone dęby — stojąc płynęły —

wśród nich korable twoje krwią zbluzgane z podartymi żaglami — burza rozbijała twe okręty na skałach.

Ogarnął mnie dym na stosie —

widziałam twe oczy, ómione zemstą i rozpaczą, stałeś okuty łańcuchem — żelazni rycerze rzezali starców i dzieci długimi mieczami —

CZŁOWIEK.

Okropne wspomnienia.

Pocóż je budzić — bezsilnym?

Chciałbym spocząć w tych dołach, patrząc w gwiazdy, które były przy narodzinach ziemi i będą na jej pogrzebie. Chciałbym się nie ocknąć, aż przed tronem Ananki, którą bym zapytał o straszny, niewyrównany rachunek ludzkiego życia.

Gdzie dążyć, skoro wszędzie przygniata nas krwawy cień krzyża?

(Slychać mlody wesoly śmiech. W miejscu oblakanej stoi Bogunka, przegłąda się w leśnej kaskadzie, czeszac swe zielonkawe włosy. Księżyc oświetla ją błyskiem z za chmur).

BOGUNKA (*nuci*).

Pod jaworowe chłody
 upadł pierścień do wody.
 Żal Hani pierścienia,
 wstyd ją zarumienia —
 ptak rajski na drzewie nuci.
 (*Dyabeł gdacze, jak cietrzew*)
 Co pojrzy, to się wróci.
 Ze złotych pątliczek
 rozseply się włosy,
 fiałkowy letniczek
 padł do nóżki bosej —
 w koszulce stoi — liliami się poi.

(*Słysząc piekielny wrzask — dwie maskary kudłając się wypadają z krzaków, za nimi ledwo żywy Xiądz — a dyabeł, skacząc po drzewach, biczuje go sznurem lilii wodnych*).

DYABEŁ (*drzeźniąc po staroświecku*).

Na kolanko, plugawiec!

XIĄDZ.

Pokornie się poddaję radzie zbawiennej, choćby ona wyszła od dyabła.
 (*Kłeka, dyabeł mu wylicza ciężki*).

A, stary trutniu — po lasach — noce gorące, he? nie śpi ci się — a jutro do mszy? Pana Boga będziesz na ręku piastował, a co na drzewo spojrzysz — to ci się biodra i piersi uśmiechają, i do litanii twej dyabeł podsypuje sprośne zakłącia?!

DYABEŁ (*licząc uderzenia*).

Vermes, mus, piguis, odor, calor, pudor, horror, fetor!!

XIĄDZ.

Inter urinam et feces, inter urinam et feces nascor... inter angelos, archangelos moriar!...

BOGUNKA (*nucąc*).

Ptaka rajskiego ją ostrzega —
 do wody Hania wbiega —
 rycerz w głębokiej fali

złotej się harfie żali,
 pierścień do ust przytula —

XIĄDZ.

Co widzę?! waszmość tu na romansach? taka to mistyka?

DYABEL.

Pomni, że czysty ziwot — to wiżej nad aniołków. Ułam czialo, jak galonzke -- to bedzies miał triumf.

CZŁOWIEK.

A toż właśnie tryumf, że w ceberku lichej rzeczywistości dusza ogląda swą niezmierną piękność.

DYABEL.

Ostompim cie — owlada Tobom picha.

CZŁOWIEK.

Przez porównanie z Tobą, mój kretynku, widzę, że jestem podobieństwem Bożem.

XIĄDZ.

Jeśli dosłuchasz tej piosenki, utopi cię w jeziorze, lub utracisz zmysły i będziesz tulił płaczącą wierzbę.

CZŁOWIEK.

Ach, nie mąć—natura przed nami odprawia swoją mszę.

BOGUNKA.

Hanusia z toń wyskoczy —
 czarne, jak ziemia, jej oczy
 wodnego płaczą króla*).

CZŁOWIEK.

Krew prześwieca w opalowych wazonach jej piersi, jako gdy słońce się czerwieni.

XIĄDZ.

Już mi się w głowie mięsza. Czy tu kogo egzorcyzmować należy?

DYABEL.

Personam egotissimam.

XIĄDZ.

Z jednego wołu nie drzyj dwóch skór. Ale wam w takich rozmazaniach może się byle co uroić. Ty że jesteś wilkołakiem. Ty żeś uto-

*) Parę wyrażeń ze starej szlacheckiej piosenki.

piła niemowlę—choć znam cię, dobra Agnieszko, jako nieskałaną żadnym błędem szlachciankę z mojej parafii.

DYABEŁ.

W ogrodzie melony,
za parkanem rzepa — — —

co mi dasz, abym ku zbudowaniu twych owieczek pojawił się in crudo?

XIĄDZ.

Kije!

DYABEŁ.

Qui est? c'est moi, mon père! czcij syna twego — — napisz cyrograf nie krwią, lecz zatechłym olejem dosyć słabowitego rozsądku, a ja uczynię, że nasza kobyłka dosyć się jeszcze nawierzga.

XIĄDZ.

Słabo mi, czuję wstręt—świat mi się zjawia, jako czarne rusztowanie zbudowanego przez obłąkanych szatanów zamku. Chryste, nie oniiń mnie, idąc przez piekło nędzy wszechczłowieczeństwa.

DYABEŁ.

Ale, ale! świat nie jest znów taki czarny. Jakem prałat Szelmecki — w banku mam uciulany grosz wdowi — a to czemu? bo żyję zdrowym rozsądkiem, bez egzaltacyi.

XIĄDZ.

Precz!

(Dyabeł wspina się na wierzbę i ukręca ligawkę. Xiądz zamyślony staje nad głębią jeziora. Wisielec na drzewie poczyna skrzypieć, puhacze się zlatują i jęczą złowrogo, a z podziemi wydobywa się blask zaginionego skarbu).

DYABEŁ.

Człowiecza dusza — ciemny bór
ponad bagnami — pośród gór.
Dopóki słońce grzeje was —
ach, ile woni, dźwięków, kras —
tęczują ros dyamenty —
ach, Święty, Święty, Święty!...
Ale się przedrzyj dalej w głąb,
gdy słońce już zapadnie —

wnet spotwornieję każdy zrab —
uczujesz się gdzieś na dnie.

Cisza... kret

korzenie świerli drzewa—

flet

pastuszy w dali omdlewa.

Zajęknął puhacz, niby grób,

łopatą potracony — —

wędrowca trup,

do mózgu mu szepcą wrony.

W haszczy tam wyje czart

i topi dziewczę w luży—

wilczych wart

uchodząc—Jednoróg łeb wynurzy.

Gzą

czarownice,

krwawe się iskrzą

gromnice.

Krzyż —

pustelnik—jęk w celi—

Apokaliptyczny żwirz—

Dziewica—księżyc—anieli — —

hu! hu! hu!

(Szatański śmiech trwoży Xiędza i [zmusza] do ucieczki; dyabeł, zmieniając ton, rzewnie).

W noc, gdy paproci strzeli kwiat,

nastają słodkie czary—

niedźwiedź kozicy wówczas brat,

spolą się czułe pary.

Zaczarowany święci staw

rusałek zaślubiny,

a Dziw—ptak rajski, złotogław—

gędzi im był—byliny.

(Słychać melodyjne szmery i westchnienia, niewidzialne struny rozdźwięczają miłosnem tkaniem — błędny ogień to ożywia [upiornem życiem stare czaszki drzew, to ulata, jak wniebowzięty).

BOGUNKA.

Rozbłękotniają się przyziemne mchy i wrzosa, kwiaty się zapaliły i biegną tu do nas, jak dzieci.

Król węzów na swej złotej koronie przynosi Ci pierścień żywy, który błyskawica rodzi w ciepłym dżdżu na starych tysiącletnich paprociach.

CZŁOWIEK.

Myśli moja, bądź jako szkarłatne kiście wschodzących promieni, jak błyskawiczne czarne węże, co zabijają ukąszeniem w czoło.

Jestem król stworzenia i prawo miłosnej nocy biorę od wszystkiego, co lata, pływa, biega, przemyka się, szeleści, szemrze i milczy.

Rozwiera się kwiecisty zacieniony aromatami odurzający wąwóz — oh, twoje włosy, pełne kropli, z których każda odbija wszechświat — a usta twe, jak sok malin leśnych —

(Król węzów owija drzewo paproci — i ono nagle rozbłyska jedną mieniącą się gwiazdą).

Tu idą do mnie w płasach bogowie, głogami i białym kwiatem kamin strojni — niosą miecze i żagwie płonące, które się mienia w aleje światła, odbitych od polerowanych tarcz.

Pochodnie zatknięto w ziemię — tarcze postawili, jak lustra, przed ogniem — stroją się i trefią, jak do bitwy.

Na powietrzu lecą ogniste, młode niedolotki smoków.

Będę je nakarmił — o, tymi złotymi owocami, zrywam je z rajskiego drzewa twych ust, pełnych miodu.

Do mnie — dzieci meteory z nieśmiertelnych, stała okutych smoków, co tworzą groźne władztwa w olbrzymich górach księżycy. Idą — ach, wojownicy z jeziornych grązeli. Jak białe ognie unoszą się nad głębiami bogunki. W dziupłach drzew przebłyskują lica starych bogów.

Pragnąłbym ujrzeć, co jeszcze serce ukrywa przedemną.

BOGUNKA.

Idź do mej starszej siostry, gdzie od błyskawicy płonie wieszcz dąb.

CZŁOWIEK.

W krwi mej własnej ognia mam więcej, niżli piorunów uderzyło w tę noc.

Zasiądźcie, proszę, na wzgórzach. Kto chce, może się unosić, jak Perseusz na powietrzu, dumnie potrząsając głową zwyciężonej okropności.

Kto chce, może płynąć w łódce żołądzi, za żagiel mając liść klonu, a za gwiazdę biegunową — oczy mojej kochanki. Lecz my, królowie — zwyczajem dawnym złożmy objatę na prawiecznych granitach. Pocóż nam inne ołtarze? jak są niepożyte! ile piorunów załamało się już na tych sarkofagach!

Arcykapłana nie mamy w świątyni Wiecznej Młodości, ty bądź nim, moje dziecko.

PACHOLE.

Jestem synem twoim, mój wspaniały Ojcze!

CZŁOWIEK (*do bogunki*).

Tyś więc to, Hanno? Kaskady rozsrebrzyły twój głos, oczy twoje stały się złote od gwiazd, jak gdy pszczoła wtuli się między niezabudki. Biedna moja łani, serce moje.

PACHOLE.

Tatusiu, tam rzy na lewadzie rumak. Pozwól, niech mu wskoczę na grzbiet, rękami uczepię się grzywy, i płuca mu będą grać w wściekłym tętnie po górach, i będę przepływał rzeki ogrzane, z których wychodzi mgła. W śniegach na wirchu zapalę ci ogień.

CZŁOWIEK.

Dobrze synku, wio! rzucaj się w przepaść — nad tobą i w tobie Bóg. (*Pacholę odbiega*).

Witezie — niech się rozperlą białym miodem wasze roztruhany — siostry, zanućcie mi hymn.

(*W dali zamierają gromy ostatniem miłosnem westchnieniem burzy — las brzmi starą runiczną melodyą*).

CHÓR BOGUNEK I BOGÓW.

Na zamarzłych górach —

o hej, górach!

błądzi Xiężyc smutny,

błądzi Xiężyc smutny.

W czarnem jeziorze

rozteczył pióra —

ujrzał w głębinie

córę Dadźboga.

Chmury dziewosłębą,
złotemu słońcu się kłonią —
na stu morzach — sinolodach
żyje modra śmierć Maruna.

Miłościwie kona słońce —
gwiazdy żegna — błogosławi —
modrowłosą śle Marunę
do ciemnego nieszczęść łoża.

Żyje Maruna
w zamkach nad światem —
runy jej ciemne,
harfa milcząca.

Zale jej — tęcze — w morzu toną —
myśli jej — orły — w gromach ślepną,
tchnienia jej — kwiaty — w lodach więdną,
hymny jej — gwiazdy — w pieklach gasną.

Xiężyc wziął harfę —
zmarli powstają —
w jutrzenkach kwitną
zakłète bory.

Chodzą razem oblubieńcy
po ogrodach nad morzami.
Miodem gwiezdny go uśpiła,
w grotach ciemnych miecz wykuła,

dziewięć czarnych ran zadała,
krew tę piła, nas poczęła —
weź nas — weź, całuj nas —
owoc rwij, w grotach śnij.

WITEŻ.

Boga zmarłego słyszę róg—
już gra w głębinie morskich fal—

CZŁOWIEK.

Już schodzi do mnie z krzyża Bóg—
serce mi zwilża święty żal—
mogily żyją, duszę mam.

(Do Żalobnej kapłanki, która stoi wsparta o grań ołtarza, —i, jak Madonna, świeci modremi gwiazdami w gałązkach dębu).

CZŁOWIEK.

Mów do mnie, mogilna królewno!

ŻAŁOBNA.

Człowiecze!

nie obiecami ci ja moich ust,
ale ciemny nieszcześć grom.
Każda kropla krwi twojej wyciecze
na odludnym, zburzonym ołtarzu.
Natrafisz—palący się dom,
rozbite dziatki o próg,
starców żebrzących się psom.
A wiesz ty! gdzie Perkun-bóg?
a wiesz! gdzie z węzami Maruna?
gdzie korona twa leży?
gdzie harf zdeptanych drży struna?
gdzie słońce—umarłych rycerzy?

CZŁOWIEK.

Korzę się, Ziemi, przed tobą—
bom łzami nie rosił twych zbóż—
zaprzedałem twe łąki i bory—
odziany tęcz mych żałobą
nad głębinami mórz—
stałem w skarbach, jak król sercem chory.
Zrodzony w grudzie lepkiej
nie znałem nigdy promienia.
Jedna zima jest mi od kolebki,
jeden wilgny pocałunek Cienia.

Choćbym serce dał na twe ołtarze,
od łez słonych—ja się nie rozżarzę.

ŻAŁOBNA.

Do zniczów ognia wiecznego przyjdź.
(*Nagłym błyskiem pojawia się Planetnica*).

PLANETNICA.

Moje gwiazdy cię ubiegą.

CZŁOWIEK.

Oto dusza moja samotna i groźna,
jakież mną wstrząsa dreszcz?

PLANETNICA.

Powstałam z krwi twojej, gdy wspinałeś się na ostre lodowe baszty
księżycowego grodu.

Królu — ojciec mój.

Czemże ci ta ziemia i ten pył borykających się błotnych robaków?
Rozżarzam ogień nieśmiertelności, śpiewam pieśń głęboką i rozpaczną
o narodzinach miłości i Boga. Usta moje są stygmatami, które sączą la-
wy najgłębszych objawień.

*(Otula człowieka mgławicą Drogi mlecznej — wszystkie istoty żywe wyciągają do
Niego ręce błagalnie — On się chwilę waży w rozpacznej zadumie — aż chyli się w po-
calunku do ust Planetnicy i przebija ją sztyletem.*

*Oślepiający błysk — tworzy się chmura czarna, najeżona igłami — oczy zielone,
jak fosforyczne głębie wiru morskiego — pod huraganem skrzydeł Jej nagle zmrożony chyli
się bór.*

Ciemność —

*błysk fioletowy — jaskinie w chmurach, śnieżne lodowce — i tam, w górze, człowiek
z piersią poszarpaną i krwawą trzyma — piorun — drgającą w przedzgonie Planet-
nicę — i schodzi z nią po schodach rubinowych — i kładnie ją na granitowym menhirze).*

PLANETNICA.

Wziąłeś piorun — weź i mrok:
nim cię chrzcze! gwiazd otchłania!
a za tobą — szatan Gog!
Twoje serce się rozdarło,
twoje zboża cię porania,
twoje gwiazdy nademną — Umarła.

CZŁOWIEK.

Śnij, dumny bólu, tyś ma tajemnica,
z ołtarzem skuta na wiekuisty
hołd Nieznanemu. Srebrnolica,
śnij. Twe serce — w zimne przeświecił ametysty.

Idą grabarze! idą w czarnem mrowiu —
depcą kwiaty mych pól —
przygniotły mię trumny z ołowiu —
o jakież ból — nieśmiertelny ból!...

Węże ciemne i robastwo
w gnijących żyłach moich płyną,
płomienne w łańcuchach ptastwo,
karmione ślepą dzieciną
mego serca.

Ach, rzucam krew swą w przepastne otchłanie —
ach — — wrony i kruki i kanie
tu leca! nie orły — nie łabędzie — nie mewy!
pijcie mą krew, bagniska,
wy, czarcie ziola, trujące wyziewy —
krew moja pali — krew moja błyska —
i przebłyskują już — krzewy.

Zapalę bór — rozrzucę żar —
płonące węgle niech parzą me płuca —
wciągam tchnienia nieśmiertelnych wiar,
duch mój w otchłani się rzuca —
jak słońce — niosąc pożogę —
na nową — na najwyższą drogę.

Kto mię słucha w tej pustce wśród gwiazd?
znam was, duchy!
królowie tułacze —
a ja — czerw ziemny — wasz wódz!

Lecz mam wicher ogniowy stu płonących miast,
i zbroję skrytą pod łachy żebracze,
i wszystkie gwiazdy Weg — Erydan — Ofiuchy —
jam król — zaiste, król —
jam wódz.

ŻAŁOBNA.

Twe ciało z ziemi, twe kości z gór,
twa krew z mórz, twe myśli z obłoków —
więc pij wodę pod drzewami schnącemi,
rozsiej gwiazdy — w zgrzebny strojon wór,
unoś w niebo tabun zgniłych dusz
i daj serce pod młot — żelaznych wyroków.

CZŁOWIEK.

Dokonało się (*podpala żagwią stos ofiarny*).
(*Rabin wbiega z włosiem rozwianym — gnijący — straszny*).

RABIN.

Już zapiał kur!
już idzie na was z kosą ślepy Mór.
Gdzie wy niesiecie te lampy z lapis lazuli?
gdzie chcecie sadzić pęki złotego kwicia?
Jehowa nie jest Bóg życia,
i widziałem Go w śmiertelnej koszuli — aj!
Jeżeli by dusza była —
ona by mnie się objawiła —
ona mi z kości przecie wychodziła —
moja Lilith, moja miła!
Nu, nie patrzcie na mnie tak litośnie,
bo ja od was nie przyjmę pociechy.
Wolę ja tych bagnisk bulgot — śmiechy —
niżli kłamstwo o niebiańskiej wiośnie.
Mojej duszy niema i nie będzie:
— — — ach, z nią ja byłbym Syjonem!
W czarodziejstw zimnym obłędzie
skaczę aż do księżycy,
palę łojówki nad słońcem zgaszonym
i śmieję się, patrząc w jej zastygłe lica.

Nu, te wasze świątynie młodości
 ja wam do czuba oświecę
 próchnem robaczywej kości.
 Nu, ja z wami też polecę—
 i robakiem będę waszych żył,
 i krew będę chleptał—i krew będę pił—
 Witezie, włodyki, kapłany—
 dziś żebracy—dawniej pany—
 ja, wnuk Jankła—będę na cymbałkach
 grał wam tę nową pieśń o nędzy i pałkach—
 boście są naród ciemny, jak my—zgubiony, jak my,
 a głupszy od nas!

CZŁOWIEK WÓDZ.

Zdjąć mu ten siwy łeb i rzucić pod stopy, by konwulsją nóg
 swych myśl własną zdeptał.

Kadłub w grobie przybić kołem osiny, aby z grobu nie wychodził
 upiór.

Ręce mu obciąć i spalić, i popiół rozsypać na wietrze za winę, że
 się wyparły swego dzieła: Piramid—Syjonu—i Krzyża.

Nędzarcz ten miał orane plecy batogiem przez czterdzieści tysięcy lat
 księżycowych—i teraz chce przerażać wolnych, co idą ku śmierci.

Precz go!

(Witezie prowadzą Rabina, którego szat nagle się uczepia Błędny ogień Lilith).

LILITH.

Ojca mego nie przykuj do grobu—mnie weź—będę ci służyła.

CZŁOWIEK WÓDZ.

Świat umrze dziś z mojej ręki, lub się przeobrazi w sen wieszczcy
 z lodów i ognia.

Miłość otworzyła mi wszystkie Sezamy—chcę mocy, któraby mi ob-
 jawiła wszystkie szczyty męczarni.

Na co?

Tak żądam—i wolę mą zawieszam nad sobą, jak obrócony ku memu
 sercu ostry kamienny miecz.

(Do witeziów) Kto się chwilę zaważy nad spełnieniem słowa mojego, lub
 gestu—tego strącę napowrót w błotną rzekę Kocytu.

ŻAŁOBNA.

Stawszy się bohaterem, pragniesz zburzyć tablice świata, jak Demon?

CZŁOWIEK WÓDZ.

O nędzna! gdzie są szczyty gór tak ogromne, abym — na krzyżu rozpiąwszy moją duszę nieśmiertelną — nie wgniółł ich aż w czeluść piekieł?

(Kłęk przed sarkofagiem Planetnicy).

W sercu, gdzie łąka
błyskawicowy wąż —
radość ma
zgaszona jest.
I tak wciąż
zapadam w otchłań ciemną:
postać twa
żyje na wieki zemną.

Królestwo zórz,
katedry skał —
błękitnych mórz
ciche przelśnienia — —
ale już
milknie szął,
w ziemi śnią
zwiędłe wspomnienia.

Ukląkłbym
u twoich stóp,
odjąłbym
kamień z grobowca —
zimny trup
całowałbym —
idę w dal —
dusz ludzkich łowca.

*(Schyla się do ziemi, gdzie płoną pochodnie — jakby pił ogień — powstaje i prześwie-
tlony idzie ku Borom. Za nim Witezie, niosąc tarcze i zapalone smolne żagwie. Bo-
gunki korowodem uroczystym obchodzą ołtarz, gdzie śni Planetnica, i na swoich matych
harfach gędzą;)*

BOGUNKI.

Kwiaty będą lamentować,
 roski będą w grób się chować,
 wierzby siwe będą szlochać
 i kamienie poczną kochać.
 Haj, haj—fletku graj—
 zapaliły gwiazdy gaj—
 idą—idą—stare drzewa—
 idzie sobie bór i śpiewa.
 Grom—trzask—wielki huk—
 złamał się tysięczny buk—
 złamała się brzózka młoda—
 nic nie szkoda—nic nie szkoda!
 Bór się pali, bór się smali,
 serce moje się kryształili—
 nim się serce me okrzemnie,
 jeszcze jeden piorun we mnie!

(Wchodzi Hapun, udający Ajtwarosa, inkuba, nagabującego panny. W rękę trzyma grzyb, tak zwany Phallus impudicus).

HAPUN AJTWAROS.

Puk—puk—kto tam? swój.
 Jak się macie, świętochny? Co widzę?
 — — — ołtarze, popioły?
 czuję w powietrzu—karczochy!
 ach—pasterki, ach—lube, ach—szlochy!
 pewno pasterz was uwiódł wesoly?
 wszystko dał nam Figiel ku zabawie—
 wasz klin żalu—ja klinem poprawię.

Tak jest! ile będę mógł—będę wam osładzał. Możecie mnie pieścić z należytą czcią dla wieku. Niema posągu na waszym ołtarzyku? już jest.

(Wskakuje na mały głaz i sterczy na kulawej nodze, jak czapla).

Natura—gorąca pierś—coś, czego się nie wie, a co wzbiera—ach, rozumiem to! musicie czcić. A co? to mniejsza. Czy to nazwiecie raudonnikami, sterczącymi na mokrej ziemi, czy śpiącą w lubieżnych snach gromadą Satyrów—którzy się prawie całkiem zakopali pod liście—to zawsze, zawsze będę ja—wasz pra-pra-Praif.

Zbierajcie mnie, zbierajcie — która będzie miała więcej — ta się pochłubi przed swą mamą Lietuwiszką*), przed ciotunią Dapiumene**) i przed dziadkiem Pikajłem***).

(Bogunki rozbawione przysmalają go pochodniami, on baraszkuje — uwodzi je od Ołtarza ku gęstwinom.

Robi się mroczno, mgły przygniatają, zdaleka ozywa się jęk — krzyk rozpaczliwy kogoś, co się broni — śmiechy i rżenia.

Po niciach tęczącej pajęczyny nad grobowcem, gdzie śni Płanetnica — sunie Hapun — pajak z pazurami — oczy jego świecą, jak szmaragdy tarantuli — trujące haczyki występują kroplami jadu nad pyskiem.

Płanetnica zwolna powstaje i, nie mogąc przyjść do siebie, szepce w półśnie:)

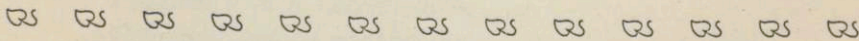
PLANETNICA.

Oślepił mię ogień miłości
i mego serca anioły
zamknął na wieki w pomroce.
Ach, kołem losów zatargam,
przyśpieszę obrót sfer,
dusze bezliczne w grób strącę,
zamrozę wody życia,
liśćmi usypię wąwozy —
lecz on — nie będzie już mój.

GŁOSY BŁĘDNYCH OGNI.

Ja tu — idę — nasycisz się mną — ja tobą.

(Hapun trwożnie się rozglądając — nagle się rzuca na planetnicę — tłumi jej krzyk — oplątuje siećmi — chwytą w łapy kosmate i z przerażającą szybkością unosi lecąc po rozpostartej pajęczynie.



Z mroku przebłykuje księżyc — na sierpnie widać Królowę Gwiazdy Zarannej, która gładzi włosy płaczącej Lilith).

GWIAZDA ZARANNA.

Dzieweczko, wypijaś napój trujący przez szal dla mego rycerza, który się zabłąkał w lesie Rozpaczy i Miłości. Weź ten maleńki szafirek —

*) Bogini wolności i roskoszy.

**) Ukończenie żniw.

***) Bóg piekielnych mąk.

niech go położy za kamień węgielny do mojej świątyni—to jest talizman tęsknoty mojej, gdy byłam samotna na ziemi.

Słyszałam tu jęk.

LILITH.

Mego ojca kołem osinowym przybili do trumny, aby nigdy upiór jego nie powstał.

Niedobrzy są ludzie żyjący, żalowali mu trochę tej krwi, którą wypił z każdego serca, czyniąc je bledszem.

GWIAZDA ZARANNA.

Otrząśnij mu nad skronią kwiatuszki zwane od moich łez*)—a obudzi się dawnym patryarchą, jak gdy ugaszczał Jehowę w namiocie.

Ta sieć drga—po niej prześlizgnął się szatan.

Każ mu, aby wszystkie ofiary swe uwielbił tej nocy dla Imienia mojego.

LILITH.

Już idę, królowo gwiazdzistych otchłani, która mi się pozwalasz nazywać moją Mamą.

GWIAZDA ZARANNA.

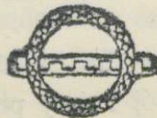
Pokój tym, co walczą w mroku, aby mieczami nakrzesać iskier, bo świętym jest wszelki Ogień.

(Cicho znika za wierzchołkami drzew — zostaje po Niej modry blask).

.....

(d. n.)

Tadeusz Miciński.



*) Białe polne storczyki.

Rozmyślania.

I.

*Powoli zdzieram ze siebie wszystkie pozory,
W które nas przypadkowość ziemską przystraja,
Zdzieram czasu i miejsca kolory
I troski dziwne, któremi duch mój jest chory
I wydobywam treść, co się w mej głębi zataja.
I tak oswobodzony od jeństwa,
Które nas gnębi od żywota świtu,
Do czystego idę człowieczeństwa,
Jakiem jest wiekuiście—po za maską przemian—
I jakim było u kołyski bytu,
Pokrewne światu nadziemian.
Dusza z tych pęt wyrwana,
W linię się zmienia, w punkt bezprzestrzenny, czysty,
Przez który zda się przelamana —
Drga tajemnica wszechjedni wieczystej.*



II.

Wciąż roję, żem się oderwał od ziemi,
 Że ponad ludzkie uleciałem cieśnie:
 I że, skrzydłami szumiący białemi,
 Duch mojej gwiazdy w łonie mojem wskrześnie.

Duch pierworodny—czysty—jednolity—
 I ostatecznych sięgający kresów—
 Z głębi nadirów w najwyższe zenity,
 Ze słońc edenów, w księżycy hadesów.

Jakdyby czasów rozdarłszy granice,
 Jakby wyszedłszy poza kres przestworów,
 Przystroił w boską niewidzialność lice,
 I rozkuł więzy kształtu i kolorów.

A przecież ciągle życie na mnie woła
 I nieraz widzę jakieś sny dziecięce,
 Co mi śpiewają jak cytry anioła
 I wyciągają do mnie białe ręce.

Lub wycie warg spienionych kurczem słyszę,
 I chóry łkań rozpaczy spazmatycznych
 I zgliszczów jęk, co mi rozdziera ciszę
 Lodowców moich krystalicznych.

Te cytr śpiewania i ten rozgwar dziki
 Drećzą mą zamyśloną duszę—
 I we mnie budzą okrzyki
 I na ziemię wracać muszę!



III.

Obywatelem jestem niebios bezgranicznych,
Mieszkam w nieskończoności zapadłym powiecie;
Tysiące we mnie planet błądzi eterycznych:
Skąd jesteście, umarłe gwiazdy? wy nie wiecie.

Nie wiecie, skąd przybyłem i z jakiej przyczyny.
Nie wiecie, dokąd pójdę, gdy rzucę tę ziemię.
Ale ja wiem, żem z innej spłynął tu krainy—
I że ten pobyt tutaj—to kara i brzemię.

Niegdyś żyłem daleko—na jakichś błękitach,
Których pamięć w mej duszy błąka się niejasno;
Na jakichś wyspach złotych, w promienistych świtach,
Gdzie miałem własne bóstwo i świątynię własną.

Tam mi dzwoniły arfy, szumiała zieloność,
Tam się kąpała dusza w jezior fali srebrnej—
Gdzie to było? Czy znajdę swoją nieskończoność,
Gdy znów ulecę z ziemi na ten szlak podniebny?



IV.

Oderwać się od siebie—wznieść się ponad siebie—
 Przestać być sobą—rozlać i rozlotnić ducha
 W moc, co w nadosobistem gdzieś bytuje niebie:
 Oto pieśń, co męczarnią z piersi mi wybucha.

Rozpłynąć się w żywiołach. Zieleniec na łące,
 Być wodą, co srebrzysta płynie po siklawach,
 I tem żórawi stadem, co krzyczą lecące—
 I tym wichru poświstem—i mchem na murawach!

Rozpromienieć się w gwiazdach, w chmurach rozobłoczyć,
 Ogarnąć wszystko. Wszędzie być i nie być razem:
 W niewidzialność się przelać, w bezmiar przeistoczyć,
 Skrą, wianiem, pieśnią, kwiatem, wodotryskiem, głazem!

Oderwać się od siebie—i być całym światem—
 Być wszystkiem: wszystkie bytu elementa wcielić—
 I być ich treści własnej żywym aromatem—
 I z niemi zmartwychwstawać, z niemi się popielić...

Oto mój sen męczący—oto sen bezdomny,
 Bo nikt zakreślonego nie przestąpi koła!
 Przekłete Ja! Przekłety nowy świat ogromny,
 Który wciąż mnie ku sobie niewolnika woła!

Więc walczę z tym szatanem. Ale on nademną
 Włada jak pan. Rozkazy jego, pełny trwogi,
 Wykonywam i ciągle patrzę w otchłań ciemną
 Jego źrenic, gdzie straszne przesiadują bogi.

Wlokę się z nim, jak ciężkim okuty łańcuchem,
 Nigdy się z tej przekłetej nie wyrwę niewoli:
 Próżno chcesz być sam z siebie wyzwolonym duchem—
 Twój duch od twego ducha ciebie nie wyzwoli.

I choćbyś kłamał sobie, żeś wylonił z siebie
 Treść, co samego siebie, jako Bóg przerasta—
 Jeszcze jesteś we własnych twoich planet niebie...
 Przekłete Ja!...

V.

*Nie chciałbym żyć na ziemi, gdzie nie masz cierpienia,
Bo cierpienie jest wielkie, cierpienie jest święte;
Ono imię nadaje rzeczom bez imienia
I w duszy nam Sezamy odkrywa zaklęte.*

*I gdyby mi otwarto edenowe wrota,
Możebym pełny trwogi znowu je zatrzasnął,
Że nazbyt jest promienną ta promiennność złota
I żebym w jej błękitach nazbyt słodko zasnął.*

*Niech mi duszę głód wieczny ogniem swym rozpala,
Niech u rozwartych niebios stoję wiecznie progu:
Niech mię nieustających ulud pieści fala,
Niechaj nienasycony idę wciąż ku Bogu.*

*Bo wielką jest cierpienią mądrość nieśmiertelna,
Świątą jest rozczarowań gorzka umiejętność,
Co urasta w bezmiary; głąb nieskazitelna,
W której lśni lodowato boska obojętność.*

*Jednako obojętnie własne męki znoszę
I cudze—i tak dziwnie do cierpień nawykłem,
Że mi samo cierpienie zmienia się w rozkosze
I że co cierpię—wszystko małem jest i nikłem!*



VI.

*Kiedy o sobie mówię, nie mówię o sobie,
Bo obcy sobie jestem, jakby rozdwojony:
Ciałem żyję w tym czasie, na tutejszym globie,
Ale duch zamieszkuje odmienne regiony.*

*Osoba moja własna jest mi obojętna—
I ludzie obojętni mi są i nieznani,
Ale jest we mnie jakaś melodia odświętna,
Co płynie we mnie z owej dalekiej otchłani.*

*Z tej otchłani mi płyną niewiadome głosy,
Które nieraz powtarzam, jako pieśń aniołów,
Pełną gwiazdnej muzyki i niebieskiej rosy—
Głos mój jest głosem owych nieznanych żywiołów.*



VII.

*Atlantydy kochałem niegdyś promieniste,
Platońskie, z mgły wysnute, senne Oceanie:
I tak się z niemi zżyłem, że przez czarów trwanie —
Były mi rzeczywiste, nazbyt rzeczywiste.*

*Lecz, że mię rzeczywistość coraz wrażej pęta,
Mara ta urojona a nazbyt cielesna
Znużyła mię... I nowa, złota, nieokreślona
Porywa mię ku sobie wizya wniebowzięta. —*

*Atlantyda nadziejska i nadwidziadlana,
Co nigdy w rzeczywistość form nie zejdzie sprzecznych —
Lub stanie się w godzinach bytu ostatecznych,
Jako najwyższa gwiazda — cała z snów utkana.*



VIII.

*Ty, który nowe Słowo masz powiedzieć światu,
Wiele masz okryć wieczną zasłoną milczenia,
Ażeby ono cieniem swego majestatu
Podniosło blask widomy słowa przeznaczenia.*

*Lecz mądrość jest znać miarę między temi dwiema,
Tą otchłanią milczenia i otchłanią mowy:
Niechaj więc długo warga twoja milczy niema,
Nim zahuczy płomienna gromami Jehowy.*

*A biada ci—i jesteś na wieki przeklęty,
Jeśli zamilczysz o tem, co mówić należy,
I jeśli powiesz światu, co ma paść w odmęty
Wieczystego milczenia grób wieczyście świeży.*



IX.

*A ty, dusz trucieliu, idź mi precz, Hamlecie!
Bo spowiedź moja nie jest spowiedzią niemocy,
Lecz piekłem, gdzie się w ogniu spżują prorocy:
Oto nadszedł dzień czynu, co wąpiące zmiecie!*

*Ofelia już na wieki śpi w głębiach jeziora.
A tam patrz: oto idą groźnemi szeregi
Potężne, zakowane w żelazo Norwegi—
A cień ojca cię wzywa: zbudź się, duszo chora!*

*Jam nad rozczarowaniem stanął i nadzieją.
Mnie cmentarze śpiewają, mnie się wichry śmieją—
I zjednoczyłem w sobie wszystkie moce sprzeczne.*

*Prysnął czar, coś mię dotąd pętał nim jak dziecię—
Poznałem, co jest wolne i co jest konieczne,
Co ziemskie i nadziemskie... Idź mi precz, Hamlecie!*

A. Lange.



Mój przyjaciel i jego Ocean.

Daj Boże, aby tak co dnia!

Dobrze to jest jednakże mieć szczęście do handlu.

Właściciele starej i renomowanej firmy „Aby szło“ pp. Dziś i Spryt do krwi pocierali ręce z uciechy.

W sklepach duszono się...

Żadano nowych pomysłów, nowych dreszczów, nowych sumień, — ba, niechby nawet starych, byle gładko odpoliturowanych... Bito się o hasła i teorye, duszy tylko nikt nie łaknął.

Tłum wrzał... Niekiedy nawet dochodziło do krwawych starć, tak było wielkiem roznamiętnienie w sprawach sztuki.

Tylko po dawnemu spokojnem było tajemniczo uśmiechnięte milczenie na kamiennych wargach odwiecznych sfinksów...

Ale to było hen w Afryce — na pustyni.

Tu kipiało...

Przyjaciel mój, Homunculus, wypadkiem przechodził koło sklepów. Porwany przez falujący tłum znalazł się w oddziale zbożowym, gdzie wprost dla przyzwoitości nabył za ostatniego trzygroszniaka garść ziaren wpół zwietrzałych, zapomnianych idei.

Ze sprawunkiem w kieszeni zwrócił się ku staremu miejskiemu parkowi, gdzie dzięki ogólnemu zainteresowaniu się pięknem i sztuką było pusto...

Ruch ogniskował się w kramnicach i po kawiarniach.

Przysiadłszy na pierwszej ławce, począł przeglądać ziarna i zdumiał.

„Tiens, tiens, to tam i takie rzeczy można nabyć?

„O — to trochę komiczne, — Mrs. Dziś i Spryt — i taki towar?

„Co ja z tem pocznę?

„Toż tego ludziskom nietylko że nie można ofiarować, ale nawet pokazywać byłoby niebezpiecznie...

„Ta pleśń zanadto mi coś Prawdą pachnie.“

— Tu jakiś podłużny cień wyrysował się mu pod nogami i —

„A cóż się dzieje z Oceanem...“ zapytał cień.

— „Oto głos oślicy Balaama“, błysło Homunculusowi i po kilku wzajemnych uprzejmościach pożegnał znajomego.

Chude nogi forsownie poniosły go ku domowi.

.....
Tu mały skok wstecz.

Homunculus był jak i wiele innych stworzeń człowiekiem.

Jak wielu też innych ludzi, miał w życiu rozmaite chwile.

Jedna z nich — było to dawno — scharakteryzowała się silnym, acz krótkim wybuchem łkania.

To się zdarza.

Ostatnia, najserdeczniejsza łza nie zdążyła spaść z rzęs i cofnęła się. Padła z powrotem w duszę.

I to się zdarza.

Nie wyschła tam jednak, ale poczęła się kształcić, — początkowo samoistnie.

Później pomagał jej Homunculus.

Wreszcie, wyrosła w duży, porządny Ocean.

Homunculus kochał go, cenił, nawet ubóstwiał go.

Tworzyli Jedność...

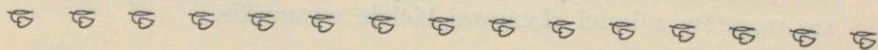
Mieszkał razem z nim na tak zwanym czwartaku.

Była to coprawda iście wielkopańska fantazyja i narażała go na wiele przykrości, z drugiej jednak strony czyniła dumnym i odludkiem co znów nie było bez korzyści.

Sąsiedzi też, a zwłaszcza przyjaciele utrzymywali w poufnych rozmowach, że Homunculus ma nietyłe ocean u siebie, ile wodę w głowie ale to tylko dla tego, że nie przedstawiał go nikomu, a przynajmniej prawie nikomu.

Byłem jednym z wyjątków — widywałem go,

Był bardzo piękny...



Świt.

Dymno-srebrne pasma porannych oparów przewlokły fale, iż tylko czasem niepewnie załsnia.

Ocean śpi...

Śpi cicho, rozkosznie jak młodość.

Czasem przez sen przeciągnie się omdlały, — zadrza mu łono przecuciem niedalekich żarów, westchnie głębiej, i sennie marzy...

Aż fale zadrgały jak powieka, od słońca całowana...

Ocean wstał...

Zaśmiał się gwarem fal pluskoczących, zamigotał srebrem pian i legł drząc rozkosznie pod słońca całunek, — świeży, dyszący ciepłem jak jędrne życie...

Cisza, blask i żar...

Miłosne rozmodlenie, uniesienie wzwyż i cisza...

Cisza — blask...

.....
W cichą, letnią odwieczną —

— o smutnem gaśnięciu słońca —

— zadumane milczenie snuje się po fali w przejrzystych owiewach mgieł.

Fala szemrze stłumionem bełkotaniem...

Lęk ją chwytą spłoszyć samą siebie...

Ocean pociemniał... Po granatowej głębi zrzadka świetłą się czerwone łuny — zrzadka — coraz rzadziej.

Zgasły.

Zatrzepotały fale jak śmiertelnie raniony ptak, załkał Ocean ostatniem szepem pożegnania — i zamarł w bólu tęsknoty...

Przeszedł sen życia...

.....
Ostry, rzeźki wiew drze ciężkie tumany.

Jasno i pusto.

Dwie otchłanie szepczą ze sobą.

Srebrny księżyc smugą łamliwą kładzie się na toni.

Świetlane struny drgają od pluskotu fal...

Ocean śpiewa.

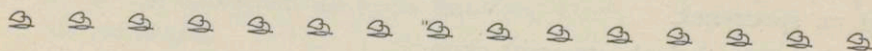
— Sto galer złotych, błyskając pyszną rzeźbą,
rozwała dziobami szafir otchłani.

Sto purpurowych żagli szeleści jedwabiem,

sto masztów z kości słońcowej bieleje wysmukle.

Sto róż szkarłatnych płąsa po głębinie, —
 ciemne róże — w jasnym pyle księżycznym aż czarne...
 Skąd przyszły? — A idą dokąd?
 Ciszy im trzeba, — cudu...
 Wypłynęły na toń...
 A Ocean cicho śpiewa pieśń o tajemnicy...
 Nie Ocean — Ocean śpi...
 Rozśpiewała się dusza otchłani w pieśń o cudzie, o ciszy, o ta-
 jemnicy...
 A fala słodko drga...

.....
 Głucho.
 Brudny odmęt zmartwiał.
 Gdzieś w dali — za rubieżą — warkot...
 Potwór się budzi.
 Głód go podnosi.
 Błady lęk uderzył srebrnym skrzydłem mewy w zasepiony nurt.
 Zapieniło się...
 Fala się skręca, — aż targnęła sobą wściekle i poszła w tan.
 Ratuj się, kto żyw chcesz być!...
 Bryzga Ocean szmatami pian brudnych...
 Zielone kolosy wstają pod niebo, — ohydne, wzdęte, przezrocyste...
 W elektrycznych światłach błyskawic trupio świecą zapienione gęby...
 Chichot, ryk i skowyt!...
 Zgraja bestyi, charcząc, bój stacza ohydny, o ból swój, o nędzę,
 o rozpacz...
 Purpurowe róże w strzepy stargane latają obłąkane męką trwogi...
 Drzazgi białych masztów na proch strzaskanych.
 Ocean szczyrzy białe kły i wściekłą paszczą łapiąc grotty błyska-
 wic, łamie je w drzazgi...
 Śmierć, zaguba i obłąkanie.



Biegąc po schodach, słyszał już Homunculus radosny mruk Ocea-
 nu, witającego z dala jego powrót.
 Wszedł i trzymając wysoko nad głową torebkę z ziarnami wołał:
 „Witaj mi, Oceanie!

„Witaj mi, o mój ty ja!
 „Witaj mi, stara kałużo! mam tu coś dla ciebie!
 „Raduj się...
 „Oto się już twoje wściekłe głody skończyły!
 „Tańcz, Oceanie, rycz, faluj, strój się w przepyszne, śnieżne filigrany grzbietów!

„Niech się tobą nacieszę!
 „Może to już ostatni raz takim cię ujrzę...
 „My to schowamy dla siebie...
 „Pochłoń te ziarenka i skryj je w głębi, aby nie było powiedzianem, żeśmy sieli zgorszenie...

„Boć oni nie wiedzą, jak my ich kochamy...
 „O, już się pienisz i dusisz rykiem?!
 „Aż do nienawiści? Prawda?
 „Kochamy ich!
 „Ach, jak ich kochamy...
 „Zabilibyśmy ich, iż ich kochamy, gdy miłości nie są godni...
 „Biedni, biedni, biedni...
 „Oni nie wiedzą, że zabilibyśmy ich do życia.
 „Więc płakaliby i przeklinali nas.
 „A lzy ciężkie są i przekleństwo grzechem.
 „My wiemy o tem, Oceanie.
 „My, którzy się znamy...
 „Boć Tyś ze mnie powstał, a jam się w Ciebie obrócił.
 „I otośmy burzyciele Pisma...
 „Otośmy zabójcy do życia“.

Ocean łąił się, wspinał i liżąc mu twarz i ręce, skomlał prośbą.

Homunculus uśmiechnięty smutnie, głaskał go po grzywach białych, wreszcie cisnął weń ziarna, a Ocean, przypadłszy do ziemi, począł je pożerać chciwie.

— A że było późno w wieczór, przeto Homunculus, znużony dniem, legł na spoczynek.

Przedtem jednak otworzył okno...

Miał szlachetną pasyę świeżego powietrza.

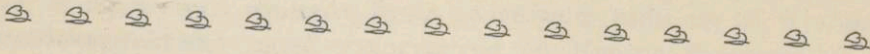
Ocean spać nie mógł.

Radość dzika, nerwowa trawiła go.

Podniecała go nocna cisza.

Począł pomrukiwać, drgać, w runa się wełnić, aż wreszcie własna tłumiona pieśń i taniec odurzyły go, iż rozradował się w szal zachwytu...

Uszło też jego odwagi, że kilka fal, a z niemi i ziarenek wypluśnięło za okno.



— Dziwnie się budzi Homunculus.

Dym prochowy go dławi.

Od wrzasków dzikich szyby drżą na czwartaku.

Wstał i wyjrzał...

W ulicy wrzał bój —

Tłum parł na tłum...

Masom przewodzili — miejski młynarz i piekarczyk —

Obydwaj na głowach dźwigali laury...

Przez tumult i szcęk nie słychać było hasel bojowych, lecz Homunculus już wiedział.

Zatroskaną i chmurną twarz zwrócił ku Oceanowi:

„Żle się stało, Oceanie,... źle...”

„Otośmy zgorszenie posieli.“

Ocean trwożny i zdumiony u nóg mu pytająco bełkotał.

„Nie rozumiesz, co zaszło?”

„Otoś ziarenka niebacznie uronił na bruk uliczny...”

„Pijany młynarz, znalazłszy, zmełł je, a zysku żadny piekarczyk chleby z nich dla tłumów uczynił.

„Spożyto je...”

„I oto walka wre, — brat bratu pierś przebija.

„I zgiełk ohydny czynią.

„I przekłęci są.

„Oto Prawda, stanawszy między nimi, postawiła ich naprzeciw sobie, — a że biedni ślepi są, przeto się zgorszyli!...”

„A mówiłem ci Oceanie, — przestrzegałem...”

„I oto nie zabójcami do życia „jesteśmy, lecz“...”

Nie skończył...

Ocean łkał jak obatożone dziecko.

Stefan Wodziński.



Maurycy Barrès.

Kiedy Maurycy Barrès wziął po raz pierwszy pióro do ręki, zdjęła go obawa, że zginie w olbrzymim Paryżu, jeżeli pisać będzie tak, jak mu własny dyktował temperament. Przywdział na siebie maskę i pokazywał się w niej przez czas długi, łudząc jednych, gniewając innych, niepokojąc wielu, a ciekawiąc wszystkich. Maską, z gatunku swego należąca do bardzo niepospolitych i trudnych: wyobrażała *dandyzm* literacki. Kto umie ją nosić, zwraca bądź co bądź uwagę. Barrès w noszeniu maski wykazał więcej talentu, niż dziesiątki zdolnych pisarzy artystyczną szczerością. Aktor stał się nietylko pierwszorzędnym wykonawcą, ale zajmującym, subtelnym twórcą. Balonem, wykonanym w pracowni Renana, wznosił się na szczyt inteligencji, z którego ludzie i czyny wydają się drobnymi i nikłymi, a realizm codziennego życia—godnym pogardy. Wszelkie grupy zjawisk i faktów układa więc w syntezy, a potem syntezy owe przerzuca sobie z ręki do ręki, patrząc przez obojętny monokl na popisy własnej zręczności. Gdy zdobędzie myśl głębszą, okrywa ją mgłami, aby przyćmić blask piękna, zbyt cennego dla tłumu. Zdziwiająco świadomy środków, gromadzi starannie sprzeczności, podkreśla drobiazgi i pisze umyślnie niejasno, aby odepchnąć głupców, a ludziom inteligentnym oznajmić: piszę, jak mi się podoba; możecie nie czytać, jeżeli nie umiecie smakować w strawie wytwornej! Kiedy delikatna, pajęczka przedza myśli zerwie się nagle, wiąże ją ostrym postronkiem, grubym jak lina okrętowa. Zachwyca się na zimno przedmiotami, które «porządnego człowieka» grozą

przejmują. Gdy się śmiać należy, skrzywi zaciśnięte wargi, ale niewiadomo, czy do śmiechu, czy do splunięcia. Okazuje lodowaty spokój wszędzie, gdzie czytelnik spodziewa się smutku; za to w okolicznościach najmniej odpowiednich zdejmje sobie z oka łzę (naturalnie z ziewnięcia powstała...) i patrzy, jak czarująco błyszczy na palcu. Dopóki przypuszcza, że nie wywarł wrażenia, bywa gadatliwym, sady się na wyszukane paradoksy, każdej myśli zapożyczony od Renana, Goethego lub... ze szkolnych podręczników — nadaje intrygującą etykietkę. W książkach swych potrzebuje tysiąca podziałów, dziwnych tytułów, matematycznej formuły; każdemu rozdziałowi daje nazwę, każdy rys podkreśla filozoficznie. Stara się pogłębić metodą, zadziwić budową, zmęczyć mistyfikacją. Tak samo jak u Stendhala, wszystko w jego dziele wiąże się i rozwija składnie, więc daje mu uciechę rozwiązywania zadania, a jednocześnie miłe złudzenie, że porusza i reguluje najważniejsze problemy życiowe. Podobnie jak ów dandys szyku, co nosił rękawiczki, nad którymi pracowało pięciu robotników (jeden dla każdego palca), nakłada na swą duszę szatę, sklejoną z kilkudziesięciu najrzadszych strzępów myślowych i woła: patrzcie, jaka rzadka, jaka „niewydana“, jaka jedyna! Chcąc się przekonać, czy dźwięcznie brzmią jego słowa, wypowiada je w psychiczny fonograf własnego wynalazku; chcąc wiedzieć, czy dobrze wyglądają jego postawy i giesty, staje przed lustrem i powtarza starannie rolę. Gimnastykuje się ze sprawnością atlety, wywraca koziółki filozoficzne ze zręcznością kłowna i nieuctwem dyletanta. A kiedy piękność swej gry dostatecznie stwierdzi, kiedy pò wszystkich, najbardziej karkołomnych trapezach pobuja, wtedy ostrzega widzów i słuchaczy, żeby nie myśleli przypadkiem, że to dla nich „pokazywał“, gdyż wszystko, co czytali, wyłożył jedynie przez «zmysł porządku». Na znak zaś, jak mało go obchodzi wszelka gawiedź czytelnicza, składa publicznie pocałunek na lustrze („un baiser sur le miroir“), taki wygłaszając monolog: Mógłbym być znacznie innym niż jestem, ale w każdym razie smakuję w sobie nieskończenie. Wszystko, co czuję, jest moją wyłączną własnością; zupełnie mi obojętne myśli wasze, gdy się dowiadujecie o moich uczuciach i wrażeniach. Wiara w świat zewnętrzny wynika z niekompletnego rozwoju. Wyście wszyscy barbarzyńcy. Są pomiędzy wami ludzie, którzy się zabijają; nie popełniliby tego głupstwa, gdyby mnie czytali. Samobójstwo wynika ze ślepego przywiązania do pięciu lub sześciu przedmiotów, oraz z tępej wiary, że istnieją na świecie sprawy poważne. Tymczasem należy pamiętać, że istnieją jedynie sposoby patrzenia na rzeczy, że każdy z nich zaprzecza następnemu i że przy od-

robinie zręczności możemy posiadać je wszystkie o jednym przedmiocie. Należy bawić się środkami, ale nie dbać o cel. Wyraził to cudownie „król psychologów“ Ignacy Loyola, kiedy w zakończeniu swych „Ćwiczeń duchowych“ powiedział: „a teraz wierny powinien rozpocząć na nowo.“ Budujmy codziennie i z najgorętszą energią marzenia, ale wiedźmy, że nie doprowadzą do niczego. Bądźmy zapaleni i sceptyczni!

Taki frenetyczny hymn na cześć indywidualizmu musiał naturalnie znaleźć głęboki oddźwięk w kraju olbrzymiej centralizacji i tyranstwa burżuazji, w kraju urzędniczych kopii i parlamentarnej czczości. Młodzież literacka przyjęła głos Barrèsa z uwielbieniem. Znaleźli się tacy, po za Francją nawet, którzy mu powiedzieli: „Słuchamy cię z głęboką uwagą; przypominasz nam Spinozę i Kartezjusza! Przyjemnie zdziwiony mistrz posyła hołdownikom zimny, renanistyczny uśmiech, w którym mówi; „A gdyby to jednak było prawdą!...“

Niekiedy miewa Barrès przykrości, przelotne wprawdzie, ale bolesne, jak rapiru uklucie. Wynikają z jego ogromnej, jasnej, wyjątkowej inteligencji. Od młodego wieku nęciły ją ideologiczne marzenia, a wraz z tem gnębiło zrozumienie nicości wszelkiego na tym świecie istnienia. Chociaż najchętniej mówi Barrès tylko o sobie, nie chce, aby go podejrzewano o słabość publicznej spowiedzi. W chwilach dla próżności własnej niebezpiecznych ratuje się ironią, jakby pragnął przygotować sobie *alibi*. Ironia Barrèsa drwi mniej więcej ze wszystkiego i wszystkich. Mężczyźni są dla niego *barbarzyńcami*, strąconymi w niedościgłą głąb z planety jego jaźni; każe im uzbroić się w wielkie teleskopy, aby ogrom tej jaźni wymierzyć zdołali. Kobiety, któremi się zajmuje, są już to «trapezami gimnastyki moralnej», już to «raketami psychologicznymi.» Często ironia jego przybiera cechy zemsty za to, że nie zwraca na siebie dostatecznej uwagi. W takich razach przypomina Barrès piętnastoletnich gimnazystów, gdy rozgniewani, że na balu nikt się nimi nie zajmuje, wyśmiewają się z tancerzy i z całej ludzkości. Zwykle jednakże stara się Barrès usilnie, aby nie poznano, gdzie się zaczyna jego ironia, a gdzie się kończy szczerzy kult dla drogocennego zjawiska, jakim jest własna jego jaźń. Wtedy podsuwa czytelnikowi mniemanie, że najpiękniejszą część duszy chowa dla siebie, a to w myśl przykazania Lemaître'a: «Wiedzieć samemu tylko o tem, że się szydzi, to—najwyższy stopień wyrafinowania w szyderstwie.»

Bogata, przesubtelna maska tak przywarła wkrótce do twarzy Barrèsa, że tracił z wolna poczucie naturalnej swej indywidualności. Jeden z jego przyjaciół i wielbicieli radził nawet z tego powodu, aby go

wcale nie określać. «Nie żądajcie—mówił—od niego niczego w szczególności i nie sądźcie go w niczem specjalnie: jest on poprostu «un ensemble», jest krajobrazem, amatorem dusz.»

Oddawna przecież, równoległe z Barrèsem — ideologiem, «entuzjastycznym sceptykiem» i ironicznym dandysem, występował na widownię publiczną Barrès czynu, o fizyonomii mało oryginalnej, ale interesującej dla tego właśnie, że pokazuje stan duszy wprost przeciwny temu, który się objawiał w utworach literackich. Ten inny człowiek choruje na wytworną niemoc, która kruszy wszelkie kamienne postawy młodego mistrza, a pseudo-bohaterskie jego giesty otacza melancholią, niekiedy zaś wprost śmiesznością. Człowiek, który uśmiechał się w pismach swych szyderczo, gdy zagadano o obowiązkach,—począł nawoływać do obowiązków i wygrażać pięściami, jak pierwszy lepszy szowinista uliczny. Barrès-czynu zapatrzył się, wzorem wielu poprzedników i wielu dzisiejszych anemicznych Francuzów, w potężną postać Napoleona I-go. Po wielokrotnem tedy zastrzeżeniu, że «czyny nie mają żadnego znaczenia, jeżeli myśli im przeczą», po ujawnieniu wszelkich słabości, wstąpił w życie pogardzonych «barbarzynców», zarysowując się na tle politycznego tłumu paryskiego, już to jako balzakowski Rastignac, już to jako stendhalowski Julian Sorel. Postępowanie własne wydaje mu się głęboko uzasadnionem. Doszedłszy do wniosku, że ani myśli same przez się ani czyny nie są wystarczające, nakazywał każdemu ze swych marzeń «karmić się rzeczywistością na nieograniczonym polu świata, aby nie było chimera nieuchwytną, ale stało się istotą żyjącą, istotą, która pożąda i cierpi.»⁴ Więc wytworny ideolog stawia swą kandydaturę do Izby, ucieka się do grubiańskich afiszów wyborczych, do wymyślań na zebraniach publicznych, stając się podobnym do des Esseintes'a, kiedy w szynku angielskim, przy dworcu św. Łazarza zajadał rosół, któregoby nie dotknął w domu. Wybrany deputowanym z Nancy w dwudziestym szóstym roku, nie okazuje Barrès—polityk ani joty przejrzystości w myślach i krytycznej świadomości czynów, którymi sownie darzył własnych bohaterów powieściowych. Wydaje mu się, że i w polityce *czyn* nie ma żadnego znaczenia, jeżeli w duszy posiadamy wewnętrzne jego zaprzeczenie. Ulega tak silnie temu złudzeniu, że nie umie zadowolnić własnej ambicji, nie może zaznaczyć swej osobistości. Przenikliwy jego wzrok nie sięga w polityce po-za granice «barbarzyństwa;» monokl dandyzmu nie zbliżył horyzontów. Barrès, jako deputowany, żył odgłosem cudzych teorii, prowadził bezowocną propagandę na rzecz decentralizacji, kierował szowinistycznym dziennikiem (La Cocarde), szukał mar-

szalkowskiego berła przy zamachach stanu (był gorącym zwolennikiem i pomocnikiem generała Boulangera) i w wypadkach tych okazał takie uparte niezrozumienie położenia, taki zdumiewający brak krytycyzmu, że widziano go na placu Narodowym podczas donkiszockiego buntu, niefortunnie pomyslanego przez Deroulède'a!

II.

Jeden z przyjaciół Barrèsa przypisuje mu taką rolę w stosunku do młodych umysłowców francuskich: „Maurycy Barrès uczynił nam wielką grzeczność: powiedział, dlaczego żyliśmy i w jaki sposób wypełniliśmy tę formalność od lat dziesięciu.“ (*)

Odjąwszy w tem przeświadczeniu nieco przesady, będziemy mieli, bądź co bądź, stwierdzenie hypokryzyi sentymentalnej, w jakiej literacka młodzież francuska żyła przez cały szereg lat. „Barrezyzm“ miał bardzo wielu zwolenników. Na czymże polega ten kierunek? Jest on „raczej sympatją, niż określonym poglądem“. Barrès stworzył nowy „stan duszy“, a mianowicie obudził ludzi, którzy badają siebie z zupełną szczerością. Każdy, kto ma odwagę „podnieść głowę ponad tłum i oświadczyć: wart jestem *tylę*—ani mniej, ani więcej!“—jest barrezystą. Znaczy, że barrezystów byłoby niemal tyle, co Jourdainów, którzy się dowiadują, że mówią prozą. Potrzeba publicznej spowiedzi była i jest w młodej literaturze francuskiej tak powszechną, że każdy pisarz zaczyna od niej swój... zawód. Nie w samym zatem fakcie opowiadania o sobie szukać należy wyjaśnienia sławy Barrèsa. Z innych źródeł wypłynęło jego powodzenie. Przedewszystkiem zbudował coś w rodzaju systematu, wskazującego panaceum na niedomagania duchowe. Następnie systematowi owemu, dzięki formie „romansu ideologicznego“, nadał, wobec umysłów łatwowiernych, cechę głębokości, wreszcie wyłożył go w sposób oryginalny, niekiedy ciemny i zawiły, ale zawsze nacechowany siłą i czarem pierwszorzędnego stylu.

W roku 1888 ukazała się w Paryżu książka pod intrygującym tytułem: „Pod okiem Barbarzyńców.“ Byłaby zapewne utonąła w powodzi nowych, pięknie zatytułowanych utworów, gdyby na nią nie zwrócił uwagi Paweł Bourget, który w owym czasie nie tracił jeszcze całego życia na zwiedzanie buduarów niewieścich i rozwiązywanie «okrutnych

(*) Revue Indépendante. XXII str. 163.

zagadek» alkowianych. Odnalazł on w młodym utworze niezmiernie ciekawą «genezę wrażliwości.» Nagle zaczęli się zachwycać powieścią nawet tacy, którzy wcale jej nie rozumieli. Zachęcony autor ogłosił wkrótce dwa nowe utwory («Człowiek wolny» i «Ogród Bereniki»), związane z pierwszym jednością systemu i rozwijające poprzednie założenia. Pomimo uwielbień młodych, krytyka niezbyt dobrze rozumiała wielkość przedsięwzięcia. Opatrzył więc Barrès trylogię swą dodatkowym komentarzem, ważnym dla tych, którzy chcieliby pojąć, czemu sam autor tak bardzo jest sobą zachwycony i czemu ten zachwyt udzielił się tylu jego towarzyszom literackim. Utwory swe pisał Barrès z troską «podania szczegółowego, wzruszającego i udzielającego się opisu stanów duszy», a pisał je dla tych jedynie, którzy podzielają opisywane uczucia Cudzoziemiec wykluczonym ma być z uczyty, gdyż «nie zrozumie tej monografii sześciu lat terminatorstwa młodego umysłowca francuskiego.» Chodzi tu o budowę nowego rodzaju twórczości. Widziano już romans historyczny, pławiono się po uszy w romansie obyczajów paryskich, «dlaczego więc pokolenie, zrażone do wielu rzeczy, do wszystkiego może, prócz bawienia się pojęciami, nie miałoby spróbować romansu metafizycznego?» Próba, w przeświadczeniu samego autora, posiada wysoką wartość. Monografie jego przedstawiać mają potrójny interes: proponują wielu ludziom dokładne formuły uczuć, których sobie dostatecznie uświadomić nie zdołali; stanowią dokumenty, albowiem informują o typie współczesnego młodzieńca francuskiego; są wreszcie nauką, gdyż «wszelka wielka poezja jest nauką», a Barrès chce, żeby go uznawano «za mistrza, albo za nic.»

Bohaterem romansu jest skomplikowana postać, w pierwszych dwóch tomach występująca bezimiennie, w trzecim zaś, na dandyso-wsko wyrażone «żądanie publiczności» — pod imieniem Filipa. Odbywa się w nim taki dramat wewnętrzny:

A. FILIP SZUKA SAMEGO SIEBIE.

Wchodzimy do duszy siedemnastoletniego młodzieńca. Abyśmy mieli niejaki wyobrażenie o fizycznej stronie bohatera, podano nam przed każdym rozdziałem odpowiedniki życiowe («concordances»). Streszczają one wypadki z życia codziennego, w samym zaś rozdziale rozwija się treść wewnętrzna, duchowa. Na skutek złego wychowania, Filip nic dobrego nie myśli o ludziach. Stał się bojaźliwym i odludnym, czyta książki, z których czerpie pośpieszne i gorzkie wiadomości, pyszni się dziwacznymi bólami, których sam nie wymyślił. Wewnętrzny dyalog,

jaki się w nim toczy, już to pomiędzy męskim a żeńskim pierwiastkiem duszy, już to z symbolicznym mędrce, — zraza go do miłości, do przyjaźni, do nauki, gdyż «wszystko już powiedziano; niema myśli, którąby można powtórzyć bez wstydu.» Istnieje wprawdzie złudzenie, że tylko forma wypowiedzenia myśli ma wartość; ale formy i głupcy nauczyć się mogą. Widzi młodzieniec przed sobą cały szereg walk. Odzywa się w nim popęd płciowy, ale zna on dziedzicznie «za wiele rzeczy przed ich poznaniem; umarli pożarli mu serce», więc jest «zmęczony przed wysiłkiem.» A gdy młodość i siła instynktu przeważyły, ogarnął młodzieńca smutek. Zrozumiał, że się zabrudził, «ponieważ upadł do poziomu myślenia o kimś innym», nie o sobie. Entuzjastycznie podniecony, zagłębia się w uczuciowe, *szkolnego* pokroju marzenie. Widzi, jak w Serapeum, w Aleksandryi, ginie *pod okiem barbarzyńców*, z ręki fanatyków, ostatnia z Hellenek, Atene, wyobrazicielka starożytnego piękna greckiego. Tłum, niby szczęki dzikiego zwierzęcia, zwarł się silnie i rozdarł członki dziewicy, a ostatnią cześć oddali jej tylko kurtyzana i płochy rozpustnik. Rozgrzany własnem marzeniem młodzieniec woła: «Cóż znaczą, o nieśmiertelna dziewico, te przejściowe upadki ludzkie! Melancholijna twa dola i cnota twoja płyną po przez wieki, a wnukowie tych, co sztydziłi nad twem męczeństwem, klękają przed twą apoteozą i, płonąć ze wstydu za swych ojców, błagają cię, abyś zapomniała o rzeczach niepowetowanych. Ponura niepewność, co niegdyś pobudziła przodków przeciw tobie, zmusza dzisiaj najszlachetniejszych do zamknięcia się w wieży z kości słoniowej i rozważania miłośnie twego życia i twej nauki.»

W dwudziestym roku życia młodzieniec zjawia się w Paryżu. Nie znajduje tu ludzi wyjątkowych, o jakich marzył i z powodu których pogardzał sobą przez lat kilka. Nie zadawalniają go także uciechy paryskie. Patrzy na otoczenie ze swej «wieży z kości słoniowej,» jak na grubiańskich fanatyków. Nie cierpi życia, ponieważ «nie umie zbudować sobie dokładnie stałego wszechświata.» Pewnego wieczora spotyka w kawiarni dawną swą kochankę i poznaje przez nią «boskiego gawędziarza, mistrza, który na wszystkie pewności zbudował podwójne rozwiązania.» Zbliża się do niego, opowiada mu swe życie i prosi o wskazanie celu istnienia. Sceptycznie-ironiczny starzec podaje mu typową receptę wytwornego karyerowiczowstwa. Należy — mówi — przywiązać się do samego siebie, nie zaś do niejasnych obrazów duszy. Twórz sobie tysiąc wszechświatów; niechaj myśl twoja zmienia się do nieskończoności. Nie okazuj nikomu swych wad. Rozważywszy do-

kładnie, czem jesteś i czem masz się stać, posiadziesz dokładną formułę własnego postępowania. Niechaj każdy z postawy twojej odkryje, że zrodzony jesteś do celu, który sobie tajemnie oznaczyłeś. Pilnuj swego ubrania, pamiętaj o swych uprzedzeniach i śmiesznościach! Na pomocników nie wybieraj sobie kolegów, ale ludzi starszych, którzy znają wiele sekretów życiowych. Staraj się podobać, umiej chwalić i nie dbaj o poklask. Chociaż dorożki w Paryżu są drogie, nigdy nie zaszkodzi pomagać innym. Nie należy być zazdrosnym, gdyż zazdrość męczy, a powstaje z prostackiego złudzenia, że istnieją na świecie rzeczy ważne.

Jako przykład dobrych rezultatów takich zasad, stawia starzec samego siebie. Otóż młodzieniec, przez «dziedziczny widocznie szacunek dla kategorycznego imperatywu» przeszedł granice pyrronizmu, który mu wykładano, i obłożył skomplikowanego starca kijem. Od tej chwili wzrasta w nim niezgodność pomiędzy źle określonymi zamiłowaniem, a warunkami życia. Dochodzi do wniosku, że dwie tylko rzeczy mają znaczenie: rozwijać się dla samego siebie i być dobrze wychowanym. Chociaż nawiedza go kochanka, uważa, że nie warto kochać się, jak wszyscy, skoro się posiada... książki filozoficzne. Zaczyna się odsuwać od tłumy; sądzi, że barbarzyńców pozostawić należy samym sobie, a barbarzyńcą jest każdy, kto stoi po za nim. W ciągu sześciu miesięcy piastuje wprawdzie urząd w ministeryum i zyskuje nawet opinię człowieka, umiejącego chodzić około własnych spraw, ale jednocześnie uczuwa coraz większy wstręt do stykania się z ludźmi. Wreszcie pewnej bezsennej nocy, wśród płomiennej ekstazy wyczuwa swoją *jaźń*. Zwróciwszy oczy duszy na świat i życie, widzi tam wrzaski barbarzyńców, co wszystkiemu dali nazwy, co wiedzą, kiedy się należy śmiać, a kiedy być poważnym; przejmuje go groza, że zeszedł do ich poziomu. Parodyując naszego Gustawa, woła: «Rzeczy niskie mogą ograniczyć ze wsząd moje życie, ale nie chcę brać udziału w ich miernocie. Odnajduję siebie; jestem wszystkimi wyobrażeniami, jestem królem wszechświatów, które mogę wywołać! Niechaj wejdą we mnie wszystkie siły mojej dumy i niechaj ma dusza, pogardy pełna, zetrze z siebie pot, którym ją zabrudził niegodny trud—niechaj się weseli! Pilno mi było do tej nocy, o moja ukochana, o moja jaźni, aby się stać na nowo bogiem!»

Po ekstazie następuje smutek, przygnębienie i wyczerpanie. Młodzieniec tonie w rozmyślaniach i spostrzega, że umie się tylko powtarzać. Uczuwa potrzebę płaczu, chciałby pozyskać przyjaciela i skarżyć się przed nim i oderwać się od świata.

B. FILIP BUDUJE METODĘ KULTU JAŻNI.

W drugiej części spotykamy Filipa na wyspie Jersey, z towarzyszem lat dziecięcych, Szymonem. Pędzą czas na rozmyślaniach i układają najpierw takie zasady: Największe szczęście daje egzaltacya; analiza zwiększa ogromnie rozkosz egzaltacyi: należy zatem czuć jak najwięcej, a jednocześnie jak najwięcej analizować. Pragną więc oderwać się od świata i stworzyć sobie atmosferę wyszukanych doświadczeń duchowych. Porzucają dziewczyny, które z sobą zabrali, likwidują sprawy swe w Paryżu i „uwolnieni od wieku“, zamykają się w schronieniu, w Saint-Germain, na skale wulkanicznej, naprzeciwko Wogezów. Zabrali ze sobą bibliotekę, z której wydalili tylko Balzaka, ponieważ „ten namiętnik nadaje wartość walkom i goryczy życia współczesnego“. Z mieszkania usunęli wszelkie ozdoby; mury kazali pomalować wapnem. Aby się załatwić z instynktem płciowym, wybierają sobie dziewczynę wiejską, umawiają się z jej rodzicami i są z niej „zupełnie zadowoleni“. Po instalacyi fizycznej, następuje instalacya właściwa, — duchowa. Rozporządzając niewielką dozą siły nerwowej, postanawiają pilnować jej użytku, aby nie wydawać niczego napróżno. Zakony religijne stworzyły higienę dla duszy, która pragnie doskonale wielbić Boga; młodzieńcy nasi szukają podobnej higieny, aby doprowadzić do wzniosłości uwielbienie Jaźni. Rozpoczynają sprawę od fizycznego i moralnego rachunku sumienia. Widzą, że są obydwa melancholikami, z czego są bardzo zadowoleni, gdyż apetyty melancholika przyjmują raczej cechę namiętności, niż stałej potrzeby; zdołają przeto pozostać całkowitymi idealistami. Gdy nadeszła chwila rachunku sumienia moralnego, młodzieńcy ubrali się we fraki, czarne krawaty i lakierki, pili dużo herbaty, spożyli mnóstwo cukrów i położyli się spać dopiero o świcie, aby zaznaczyć ten wielki dzień kilku wybitnymi szczegółami. Moralny rachunek sumienia uświadomił sobie Filip w taki sposób: W grupie rodziny, czyli pośród stosunków, których sam nie wybierał, — grzeszył myślą, słowem i czynem. Grzechy myślą uważa za najważniejsze, ponieważ myśl jest samym człowiekiem. Otóż miewał przesady co do sytuacji społecznych i szanował ludzi, którym się powodziło. Wiele grzeszył słowem, albowiem, nie chcąc uchodzić za obojętnego, wypowiadał tysiąc miernych zdań. Grzechy czynem nie mają dla Filipa znaczenia, jeżeli myśl protestuje. Ale i takie niekiedy popełniał, bo na przykład odmówił sobie fotelu z poduszczkami, w którym mógłby rozmyślać szlachetniej... Drugą kategorię grzechów stanowią te, które się odnoszą do życia czynnego, a więc — popełniane pośród ludzi,

których Filip poznał z własnej inicjatywy. Grzeszył tu myślą, ponieważ zajmował się opinią publiczną; słowem — ponieważ wypierał się własnej duszy; czynem — ponieważ nie zamknął się w samotności, a wynajdywał ludzi wyższych, aby mieć rozkosz poniżania się przed nimi. Dochodzi Filip do wniosku, że życie jest nieznośnem dla tego, kto nie posiada w każdej chwili pod ręką entuzjazmu. Chce więc tak zmechanizować duszę, aby mu dała najrzadsze wzruszenia, aby go zrobiła człowiekiem *wolnym*. Ale w jakim sposób zebrać takie mnóstwo wzruszeń? Potrzeba na to *pośredników*. Dla Filipa pośrednikami są: Benjamin Constant i Sainte-Beuve, których poczytuje za części samego siebie. Podoba mu się Benjamin Constant ponieważ żył w wysuszającym pyłe myśli, nie oddychał nigdy naturą, a uczuwał rozkosz w ironicznem czuwaniu nad duszą. Jeżeli przyznawał wartość dwom lub trzem wypadkom życia zewnętrznego, to dla tego, żeby skierować gdzieindziej wzruszenia wewnętrzne, które go męczyły. W życiu Sainte-Beuve'a zatrzymuje Filipa tylko pierwsza młodość wielkiego krytyka, kiedy stawał zdziwiony przed sobą i kiedy najdrobniejszy szczegół własnej uczuciowości budził w nim głębokie wzruszenia. Potem Sainte-Beuve zaniedbał się i posiadał talent — jak wszyscy. Popełnił błąd, ponieważ szukał miłości w kształtach szczęścia; należało jej poszukiwać w kształtach cierpienia, gdyż cierpienie jest źródłem wszelkich cnót. Zresztą pośrednicy mogą oświecić jedynie ostatnie, najświeższe części jaźni Filipa. Aby poznać ukryte, instynktowe jej pierwiastki, należy rozejrzeć się w historii własnej ziemi rodzinnej. Rozbiera zatem kolejno: narodziny, dzieciństwo i rozwój Lotaryngii i smuci się, spostrzegając „niepowetowaną niadostateczność duszy, jaką mu zbudowała rasa“. Rozpatrując następnie śmierć Lotaryngii, widzi jasno, że w rasie jego „objawiła się z najpiękniejszej strony jedna z form bezinteresowności — obowiązek wojskowy“. Uważa przeto, że jeżeli sam zdobędzie się na podobną energię i wytrwałość w bronienu się od obcych, od barbarzyńców, to stanie się *człowiekiem wolnym*. Nie może zdążyć szybciej, niż rasa, ale powinien mieć jasne wyobrażenie o przyszłości, która się znajduje w rasie w stanie pożądania, a której ta urzeczywistnić już nie może. Zaczyna jednak Filipa niepokoić, że i Szymon dochodzi do podobnych wniosków, ale drogą całkiem odmiennych rozumowań. Nie chce już Filip interesować się kontemplacją samego siebie; zajmuje się jedynie przyszłością swej jaźni i oznajmia to Szymonowi. Rozchodzą się ideowi przyjaciele, i Filip pracuje dalej sam nad urzeczywistnieniem dążeń własnej jaźni. Aby ją zadowolnić, pragnie się wzorować na ludziach, wskazanych przez instynkt, jako podobnych, ale wyższych od niego jaźnią

Jedzie do Wenecji. W drodze, na jakimś dworcu kupuje i rozważa pamiętniki Maryi Baszkircew, która również zajmowała się jedynie abstrakcją. W Medyolanie zatrzymuje się nad portretem mistrza swego, Ignacego Loyoli i, rozmyślając nad nim, widzi, że rozejrzał się dokładnie w środkach, że zna już podstawy swojej jaźni; winien tylko doskonalić się codziennie w mechanizmie Loyoli, aby dowolnie kierować wzruszeniami. Głowa Chrystusa przez Leonarda da Vinci, którą oglądał w galerii Brera, nasuwa mu myśl, że bez dobroci nie podobna niczego rozumieć. Dotychczas zajmował się własną niedoskonałością; obecnie pojmuje, że winien sobie dać piękno, jakiego pragnie.

Przez rozważanie historii Lotaryngii i pobyt w Medyolanie Filip pojął samego siebie, jako moment nieśmiertelności. Przyjeżdża do Wenecji i ulega czarującemu jej wpływowi. Przeświadczony, że Wenecja wydobyla z siebie widzenie wszechświata analogiczne, ale wyższe od tego, które budował z takim trudem,—postanawia kształcić się na rozwoju Wenecji. Zewnętrzne piękno miasta nie czyni na nim wrażenia. Błądzi po ogrodzie arcydzieł, mało wrażliwy na bogactwa geniuszu weneckiego, a troskliwy wyłącznie o Absolut. Najdoskonalsze formy wydają się symbolami dla jego ideologicznej ciekawości. Rozważa duszę Wenecji, a w tej duszy znowu własną jaźń. Wynika stąd szereg podobieństw między nim a Wenecją, a mianowicie: Wenecja zbudowaną była przez grupę ludzi niezależnych i poczucie swobody zachowała zawsze; najpierwszą zaś cechą umysłowego życia Filipa było unikanie *barbarzyńców*, — obcych. Będąc bohaterską wobec cudzoziemców, nagromadziła Wenecja w duszy swych obywateli najpiękniejsze skarby bezinteresowności; Filip także odczuwał zawsze naturalną szlachetność. Walcząc długo za swe istnienie, wytworzyła w sobie Wenecja osobiste widzenie wszechświata; Filip również obudził się wcześniej i wytworzył w sobie osobiste pojęcie o rzeczach. Z malarzy weneckich nie wybiera sobie Filip ani Tycyana, ani Tintoretta, ani Veronese'a, ale Tiepola, który, podług niego, stanowi świadomość Wenecji. Zbliżając się do duszy Wenecji, zyskuje Filip całkowitą świadomość siebie i wierzy, że stałby się bóstwem, gdyby jaźń jego próbowała wszelkich doświadczeń poprzez nieskończoność. Zresztą pociesza się, że wyrobić sobie o danej sprawie pojęcie jasne i dokładne—znaczy posiadać ją w pewnej mierze. Aby jednak poznać i uszlachetnić resztę grzechu, która w nim pozostała, wraca do życia, do Paryża. Znalazł tu wkrótce „ordynarne wzruszenie“, którego szukał: zakochał się we wnuczce sławnej aktorki. Zrazu próbuje bawić się analizą, ale potem oderwać się nie może od Przedmiotu (tak się nazywa dziewczyna). Gnę-

bi go myśl, że zasadniczy pierwiastek jego szczęścia istnieje wśród barbarzyńców, że istnieje po za jego jaźnią. Przekonywa się, że wycieczka w życie przeszła jego oczekiwania, że oszukało go oszustwo, które tak metodycznie organizował. Otrząsnąwszy się wreszcie z niewolniczego uczucia, wraca Filip do życia sztucznego i wierzy, że gdy namiętności spiskować będą na rachunek życia, to potrafi zmechanizować duszę, aby je pchnąć w innym kierunku. Świata zewnętrznego--Barbarzyńców, nie boi się już Filip wcale, bo „przy alkoholu, bifszytkach i pieniądzech w kieszeni można znieść wszelkie styczości“. W rezultacie Filip staje się, we własnym przeświadczeniu, obcym światu zewnętrznemu, obcym swej przeszłości, obcym instyktom -- zna zaś tylko wzruszenie, które sam wybiera. W taki to sposób stał się „prawdziwym człowiekiem wolnym“.

C. FILIP, JAKO CZŁOWIEK CZYNU.

Przewidywał autor, że taka nadzwyczajna „wolność“ duchowa mogłaby być podwójnie interesująca, gdyby się objawiła na tle czynów. Otóż pokazuje nam Filipa pośród kampanii wyborczej. Już podczas pracy nad metodą kultu Jaźni przypominał nam Filip niekiedy przysłowio-owego polskiego imiennika z Konopi; nie dziwny się zatem, że go oczarował Boulanger. Uważa go za przedstawiciela „instyktu ludowego“. Stawia swą kandydaturę w okręgu Arles. W hotelu, w którym się zatrzymał, spotyka przypadkiem kobietę w żałobie i poznaje w niej dawną swą znajomą--Berenikę. Znał ją niegdyś jako dziewczynkę w balecie paryskim i przypomina sobie, że już wówczas to dziecko miało na twarzy chłód, pod którym domyślał się „szalonej potęgi uczucia“; już wówczas dziewczynka płakała na samo wspomnienie o muzeum króla René w Joigné, przy którym wychowała się jako córka stróża muzealnego. Muzeum zebrał pewien patriota, który dowodził, że wpływ renesansu włoskiego na francuski był bardzo szkodliwy, bo ten ostatni dążył właśnie do rozwoju całej swej oryginalności. Na potwierdzenie tego zebrał ozdoby ścienne, miniatury i wyroby jubilerskie z dwunastego i trzynastego wieku, które nie zdradzały nic włoskiego. Mała Berenika spędzała wśród piękności muzealnych długie popołudnia i tłumaczyła bezpośrednio na uczuciowe wzruszenia wszystkie dzieła sztuki, które się ku temu celowi nadały. Stąd dusza jej stała się wyjątkowo uczuciową i wytworną. Filip odwiedza Berenikę w Aigues-Mortès i dowiaduje się o jej przeszłym życiu. Dziewczyna kochała Franciszka de Tronse, który, chociaż była przedtem libertynką, żył z nią i wzajemnością jej płacił. Życie Franciszka nie podobało się rodzinie, więc go wysłano w podróż naokoło świata.

W tydzień po wyjeździe chłopiec umarł, i Berenika pozostała wdową. Dom, w którym mieszka, otrzymała właśnie od ojca zmarłego kochanka. Pierwszy dzień, spędzony w otoczeniu Bereniki, w atmosferze czarująco wysubtelnionej przez autora, wywarł na Filipie takie wrażenie, że przewiduje formę miłości wyższą, niż posiadanie. Długie godziny pędzi na rozmyślniach w ogrodzie. Widzi, że Berenika harmonizuje całkowicie z krajobrazem, zazdrości dziewczynie i ziemi, która ją otacza, i ciągłości w rozwoju; on przecież nie może uzgodnić nawet wzruszeń wczorajszych z dzisiejszemi. Pojmuje, że dla skutecznej kultury duszy lub świata zewnętrznego należy poznać dobrze środowisko, w którym się pracuje. Przez Berenikę i jej ogród dotyka Filip „nieskończonej potęgi, niezwalczonej energii duszy wszechświata“. W Berenice odnajduje instynktową, nieświadomą, pełną przeszłości duszę ludu.

Namiętność, która wstrząsa drobnym ciałem dziewczyny, pozwoliła jej żyć równolegle z wszechświatem, drzeć jego wewnętrzną siłą, posiadać całkowitą jedność życia wewnętrznego. Spieszno Filipowi przedstawić Berenikę dawnemu swemu przyjacielowi, Szymonowi. Ale nie mogą się już towarzysze porozumieć. Szymon nie chce uwierzyć, żeby Berenika „odkryć mogła na głębiej życiową i uczucia mas poglądy ważniejsze, niż poszukiwania uczonych specjalistów“ i żeby Filip „w nędznym ogrodzie dziewczyny odnalazł podwaliny wszechświata“. Filip zapewnia, że, zbliżając się do maluczkich, zobaczył, jak w każdym czynie, razem z działalnością świadomą, pracuje nieświadomość, jak „instynkt, wyższy od analizy, tworzy przyszłość“. Wyobraża sobie chwilę, gdy się właśnie pograży cały w instynkcie i dojdzie przez to do Jaźni całkowitej, która jest jego zasadą, celem i pobudką jego kultury. Będzie wówczas absolutem, będzie wówczas Bogiem. Lud objawił mu istotę ludzką, a nawet więcej, bo energię twórczą, jedność — Nieświadomość. Szymon tych wszystkich poglądów nie podziela, więc towarzysze ponownie się rozchodzą. Wróciwszy do Arles na akcyę wyborczą, dowiaduje się Filip o zbrodniczej miłości Bereniki dla przyjaciółki, ale to go nie zasmuca. Owszem, gdy mu oznajmiają że pewien senator, który był ojcem Bereniki, zapisał jej znaczny posag, Filip namawia dziewczynę do ślubu ze swym przeciwnikiem politycznym, Martinem. W jakiś czas potem, już jako poseł w parlamencie, dowiaduje się Filip, że Berenika nie znalazła szczęścia przy poziomym Martinie i że jest ciężko chorą. Zrozumiał Filip swój błąd, zrozumiał „nadzwyczajną trudność tłumaczenia woli Nieświadomości“. Berenika umiera, a Filip pociesza się, że przyswoił sobie jej zmysł życia, jej zgodność z instynktem, jej jasne pojmowanie natury. Uważa,

że właśnie on stanowi pierwszy etap jej nieśmiertelności. Chcąc się bratać z Nieświadomością „pokonywać dusze“, poprosił Filip panią X., aby przez jej pośrednictwo rząd ofiarował mu „koncesyę jednego z hippodromów podmiejskich“, zapewne na zebrania publiczne. Tymczasem przygotowując się do przyszłego życia, rozmyśla Filip, czyby nie warto „zamknąć się, niby w klasztorze, w mocnej niezależności materyjalnej“, bez pieniędzy bowiem kult Jaźni byłby mało interesującym.

Tak wygląda szkicowy rysunek gościów, myśli i postaw barresowskiego bohatera. Fiorytury stylu, piękne krajobrazy, melancholijne nastroje, tajemniczość metodycznego wykładu, ironiczne uśmiechy i skomplikowany aparat myślowy urozmaicają sownie opowiadanie i nadają mu pozory siły. Cudzoziemcowi, a zwłaszcza Polakowi, trudno może zrozumieć, dla czego ta „trylogia“ wywołała tyle niespokojnych dyskusji i tylu umysłów głowę zawróciła, dlaczego poczytano ją za „breviarz, z którego młodzież zaczerpnie pociechę i podporę“, za „tajemniczy poemat nowego dziecięctwa“, za „nowe źródło dreszczów życiowych“*). Bo też omyli się każdy, kto w tych książkach szukać pocznie samej tylko artystycznej potęgi, i zrozumie, że z niej wypłynęła ich poczytność. Nie myślał Barrès o stworzeniu dzieła sztuki. Przedmiotowy obraz świata zewnętrznego nie przedstawia dla niego żadnego interesu. Zajęty zbogacaniem swej jaźni, wrzuca w nią wszelkie pierwiastki piękna, jakie po za sobą znajduje i opowiada, jak się ta praca odbywała. Zamiast więc utworu artystycznego w zwykłym znaczeniu, pokazuje raczej *duszę artysty*, wyraźnie przeświadczony, że tego rodzaju spowiedź zajmie „barbarzyńców“ równie silnie, jak zwyczajne anegdoty powieściowe. Fizjonomia Filipa interesuje zresztą nietylko dlatego, że jest portretem samego autora. Posiada ciekawe podobieństwa i różnice w stosunku do innych postaci w literaturze francuskiej. Obserwacja jej nasuwa przede wszystkim na myśl huysmansowskiego des Esseintes'a (z „A rebours“), nie dlatego, żeby pomiędzy temi dwiema postaciami istniała jakaś analogia zasadnicza, ale że są dwoma wprost przeciwnymi przejawami protestu przeciwko poziomości mieszczańskiego życia, obłudzie myśli, stadowym instynktom tłumu, fałszywej wolności, nudzie codziennego obcowania z filistrem. Chcąc się oderwać od głupoty społeczeństwa i des Esseintes i Filip zamykają się w „wieży z kości słoniowej“, szukając we własnej duszy celów wznioślejszego istnienia. Ale kiedy pierwszy z nich

*) «La Plume», Tom V, str. 9.

wyraża swe niezadowolenie przez żywot „à rebours“ i buduje z olbrzymim nakładem pracy zmysłowy podręcznik sztucznych rozrywek, nie czując w sobie ani woli, ani potrzeby prawdziwego życia, — drugi, czyli Filip, szuka racji bytu w sposobach upartego rozwoju osobistego. Podstawowa odmienność tych natur wyraziła się najlepiej właśnie w ich stosunku do otoczenia: des Esseintes, cały skupiony w zmyśle wzroku, posiada w duszy pustkę i wysila się ciężko, aby komplikować świat zewnętrzny, który wydaje mu się za prostym w barwach i liniach; Filip zaś, przy najprostszych zjawiskach codziennego życia, przechodzi przez nadzwyczajne komplikacje wewnętrzne. I jeden i drugi ratują się sztucznocią, ale nie jednakowo jej używają: kiedy des Esseintes pograża się bezwiednie w tajemnice chemii i optyki, Filip szuka sposobów zmechanizowania duszy, aby dobrowolnie sprowadzić namiętność, rozkosz lub cierpienie. Stąd też „A rebours“ jest książką wyszukanego artyzmu, walką literata ze słownikiem, aby zbudować szereg wyrafinowanych obrazów malarskich; barresowska zaś teoria kultu Jaźni jest utworem literacko-filozoficznym, oddziaływającym na umysły głównie etyczną treścią.

„Barresyzm“ Filipa jest jednym krokiem naprzód od czysto literackiego dyletantyzmu Lemaître'a i France'a, chociaż daleko mu jeszcze do logicznego i konsekwentnego systemu. Gdybyśmy próbowali wygrodzić z książek Barrèsa ich podstawę, nie zdołalibyśmy trzymać się ścisłości terminologicznej, gdyż umysł autora tak wielką ma prężność, że rozsa-
dzi każdą określoną formę i ukaże się natychmiast w formie innej. Nawet samo źródło rozmyślań nie otrzymało ustalonej nazwy: nazywa się już to *kultem* — uwielbieniem Jaźni, już to jej *kulturą* — upiększaniem, przyozdabianiem. Ogólna treść systematu da się zamknąć w takich, niezbyt oryginalnych aforyzmach: Jędyną dotykającą rzeczywistością jest nasza jaźń, wszechświat zaś — to fresk, który ona czyni brzydkim lub pięknym. „Jaźń“ oznacza sposób, w jaki nasz organizm reaguje przeciwko wpływom środowiska, a kult lub kultura jaźni polegać będzie na oczyszczaniu naszego ja z wszelkich cząstek obcych, napływających z życia i na zbogacaniu go wszystkim, co się daje asymilować, co się z niem łączy bez reakcyi instynktu. Kult Jaźni jest zasadniczą potrzebą istnienia. „Moralność, religie, uczucia narodowe — zawiodły. Niepodobna czerpać stamtąd reguł życia. Zanim przeto mistrze zbudują nowe aksjomaty, należy trzymać się jedynej rzeczywistości — Jaźni“. Zobaczymy później, w jaki prosty sposób rozwiało się dla samego Barrèsa złudzenie nie już siły moralnej owego „kultu“, ale samej możności wyodrębnienia „Jaźni“. Tymczasem spojrzymy jeszcze na postępowanie Filipa, który me-

totalną poglądową wykładają cały systemat. Stwierdzimy, że kult dla samego siebie wyraża on głównie przez godzenie kontrastów. Próbuje pogodzić myśl z uczuciem, syntezę z analizą, gorące żądze ze sceptycyzmem. Gdyby się chciało z tej próby wyciągnąć szczerą naukę, otrzymałoby się niewesołą receptę szczęścia: Należy usuwać przyczyny bólu przez dokładne tych przyczyn rozumienie; należy być obojętnym dla własnych czynów i zmechanizować własne uczucia. Ideałem więc barresisty będzie nie — szczęście naturalne, znoszące wszelkie granice, ale szczęście sztuczne, rzadko wychodzące z więzienia uczonej mierności. „Skoro — mówi Barrès — życie dotykalne, świat zewnętrzny i wszelkie interesy, które się do nich odnoszą, są czystą nicością, więc i wysiłki oraz cele, których życie to jest zasadą — są również czczem wstrząśnięciem. W ten sposób znikają bolesne sprzeczności myśli i czynu, które ludzie starają się od wieków usunąć“.

Jakże daleko odchodzimy, rozpatrując tę naukę, od moralności romantycznej, tej moralności nierozsądnej, ale butnej, co wrzucała swych adeptów w szalony wir życia i kazała im „łamać, czego rozum nie złamać“... i nie bała się ani zawrotów głowy nad głębiami, ani cierpienia, ani „barbarzyńców“! Jakże zresztą dalekimi są od barresisty—Taine lub Renan, gdy prawdę naukową stawiali jako najwyższy cel, jako najwznioślejszą pobudkę życia! Barrès nie chce szczerego poszukiwania prawdy, nie chce szczerzej walki z „barbarzyńcami“, nie chce szczerzej rozkoszy, ale szuka mechanicznych sposobów usuwania cierpienia. Wprawdzie, odczuwając przeraźliwą suchość swego „systematu“, próbował dodać mu nieco krwi w dodatkowej rozprawie, gdzie proponuje lekarstwo na pogodzenie sceptycyzmu z czynem: „Tej jedynej rzeczy — mówi — która by usunęła nasze skrupuły, zbudowała jedność umysłów rozsypanych wobec życia, szukać należy w źródle, z którego zaczerpnęliśmy potrzebę działania. Otóż do wydobywania się z własnej indywidualności popycha nas jedynie miłość, więc też *miłość* przewodniczyć winna działaniu społecznemu“. Wyniknie stąd cały szereg błogich następstw, a przede wszystkim takie, że każdy, dający swe myśli innym, przyjmie za sprawdzian ich wartości nie ich budowę logiczną, lecz podatność do zwiększania szczęścia na ziemi. Rada bardzo słuszna. Ale skąd barresista, zapatrzony we własną jaźń, mechanizujący wszelkie drgnienia duszy, zdobędzie się na szczerą miłość? Gdzie znajdzie współczucie dla „barbarzyńcy“? Prawdziwy barresista, podobnie jak Filip, nie ma ani instynktów, ani namiętności, ani uczuć, ale czysty intelekt, ubóstwiający samego siebie.

III.

Trylogia ideologiczna nie wyczerpała w Barrèsie potrzeby systematyzowania. Wyobraził sobie słusznie, że gdy „człowiek wolny“ zechce pogodzić praktyki życia wewnętrznego z koniecznościami życia czynu, musi stanąć w kolizji z „barbarzyńcami“ i pocnie tworzyć utopię swych stosunków do społeczeństwa. Z rozmyślań takich powstał nowy romans ideologiczny — „Nieprzyjaciół praw“. Obawiając się, że przerazi czytelnika samym tytułem, oświadcza autor, że nie ma zamiaru dowodzić, ani przekonywać, ale pragnie opisać „wrażliwość ludzi dzisiejszych, posiadających intensywniejsze i ozdobniejsze życie wewnętrzne“. Z ironiczną troskliwością zapowiada, że „aby pobudzić ludzi do zdobycia przynajmniej czystości, należy im zaproponować—raj“. Przechadzka po tym „raju“ pokazałaby oburzającą mierność rozkoszy, gdybyśmy pragnęli traktować ją zupełnie poważnie, to jest gdybyśmy odgradzili od siebie dwie składowe części romansu: jedną — prawie żartobliwą i drugą — prawie poważną, i liczyli się tylko z drugą. Ale Barrès daje swem postępowaniem naukę, z której dobrze jest korzystać w zastosowaniu do niego samego. Wyniosłą pobłażliwość dla innych posuwa do takich granic, że wcale nie zwraca na nich uwagi. Nie pora więc na pedantyczną powagę. Chociaż jestem „barbarzyńcą“, a więc jednostką istniejącą niezmiernie mało, nie obrażę autora grubiańską analizą jego uśmiechów i szyderstw... Nie szukajmy dramatu w zabawie.

Do „raju“ barresowskiego prowadzi nas ta sama postać, którą już znaleźliśmy poprzednio, która jednakże otrzymała całkiem odrębne imię i nazwisko: nazywa się — Andrzej Maltère. Dwudziestoosmioletni profesor uniwersytetu staje przed sądem za artykuł, dowodzący między innymi, że wychowawcy szkoły wojskowej w Saint-Cyr nie posiadają dostatecznych kwalifikacyj do rozkazywania. Na sądzie uderza Maltère publicznością prostotą zachowania i argumentacji. „Pragnąłem — mówi — swobodnego rozwoju wszystkich władz, chciałem nadać kompletne znaczenie wyrazowi *istnieć*. Chociaż jestem egoistą, to przecież nie odmawiam innym dobrodziejstwa mego jasnego patrzenia na rzeczy. Zdaje mi się, że należę do gatunku ludzi, których cała wartość polega na tem, że rozumieją i dezorganizują“. Jak zobaczymy, Andrzej zdeorganizował tylko siebie, a przejął się złudzeniem, że przerabia cały stan społeczeństwa. Skazany na trzy miesiące więzienia, staje się Maltère bohaterem dnia. Prasa rozbiera jego żywot, zapraszają go zewsząd, jako curiosum

Wyrok zbliżył do Maltère'a, między innymi, dwie kobiety: Klarę Pichon-Picard, idealistkę, pochłoniętą przez abstrakcję; oraz zabawną wschodnią księżną, kobietę grubych zmysłów, utrzymującą, że „pozwole się zabić bez dyskusji — bo to najpiękniejsza rzecz“. Maltère zadawałnia z pierwszą z tych niewiast zamięłowania ideologiczne, z drugą zaś — potrzeby swej zmysłowości. Obiedwie kobiety odwiedzają go w więzieniu. Chcąc przedstawić Klarze całokształt swych poglądów, uważa Andrzej, iż najlepiej opowiedzieć historię ich powstawania. Podobnie jak Filip nienawidzi on rozpraw bez życia; każdy system musi widzieć przed sobą, jako istotę zorganizowaną, której się dotyka dłońmi, z którą sympatyzuje, lub której nienawidzi. Wykłada przeto Klarze podręcznikowy rozbiór charakteru, celu, taktyki i urzeczywistnienia systemu Saint-Simona i Fouriera, z czego wyciąga taką zasadę: Nie należy wywierać nacisku na skłonności człowieka, ale przystosowywać je do formy społecznej; każdy człowiek może być pożytecznym przez odpowiedni rodzaj działalności, a jednocześnie znaleźć w nim własne szczęście. Po wyjściu z więzienia pragnie Maltère informować się dalej o związkach pomiędzy ludźmi i teoryami i zamierza zbadać, do jakiego stopnia wrażliwość Niemców uległa wpływowi reformatorów. Klara proponuje, aby razem próbowali doświadczeń, jakie uznają za niezbędne i ofiaruje na ten cel część własnego majątku. Zawarli więc rodzaj szczęśliwego małżeństwa, polegającego na „jednokowym kierunku marzeń i dwóch, wzajemnie dopełniających się sposobach patrzenia na świat.“ Tymczasem kiedy Klara zajęta jest przygotowaniem biblioteki i wyprawy, Maltère spędza z księżną kilka tygodni w Wenecji i Turynie. Księżna muzeów zwiedzać nie chce, gdyż posiada „zbyt rozwinięty zmysł życia, aby mogła smakować w uciechach sztucznych“. Spędzają czas na rozkoszach zmysłowych, a gdy się wreszcie rozstają, Andrzej zapewnia kochankę, że nic już nie może ich rozłączyć, ponieważ mają w sobie „dwie pomieszane razem chwile natężonej zdolności przyjmowania wrażeń.“

Po ślubie z Klarą wyjeżdża Andrzej w towarzystwie żony do Niemiec i roztrząsa działalność Lassale'a i Marxa. Badania te powiały na Klarę chłodem i zmroziły ją, jak traktat geometryczny. Zrozumieli oboje, że główną cechą Francuza stanowi próżność, skąd pochodzi marzenie o równości i żądanie sprawiedliwości; podstawą zaś Niemca jest apetyt, a stąd wynika tęsknota za dobrobytem, oraz żądanie ulepszeń materialnych. Razem z reformatorami francuskimi domaga się Maltère nie reformy ekonomicznej, ale całkowitej reformy umysłowej. Ludwik bawarski, budujący skorupę dla swej jaźni, interesuje Maltère'a tyleż, co Fou-

rier, organizujący falanster. Odbywa z Klarą ideologiczną podróż do zamków Ludwika II-go i uważa, że kto nie posiada stanu duszy Ludwika, temu na nic się nie zdały pałace bawarskie. Znowu więc stwierdza wartość poprzedniego wniosku, iż nie należy marzyć o krępowaniu ludzi regułą szczęścia, ale podsunąć im taki stan umysłu, który zawiera szczęście. Po powrocie z Niemiec przekonywa się Andrzej, że ma już dosyć abstrakcyi. Szuka głębokiego wzruszenia. Spostrzega, że z Klarą wiąże go tylko książki, rzeczywisty zaś „zmysł życia“ wiąże go z księżną. Klara rozumie to wszystko, wie, że małżonkowi potrzeba „potarganych nerwów“, aby nie był „bezdźwięcznym“; sama też zaprasza księżnę do swego domu na stałe mieszkanie. Andrzej zresztą wytłómaczył żonie, że prawa były potrzebne naszym przodkom, ale dziś ten aparat jest całkiem zbyteczny. Dogmaty i kodeksy wlały nam w krew poczucie litości i sprawiedliwości. Kiedyśmy zasymilowali najlepszą ich część, wprawiają nas tylko w kłopot próżnemi formułami. Wdzięczna Klara całuje męża w rękę za to, że ją nauczył „budować wrażliwość odpowiednią poglądom“. I oto Maltère zamieszkuje z dwiema kobietami na wsi, w odosobnieniu, na łonie natury. W tem „laboratoryum wrażliwości“ pędzą sobie żywot „nieskończenie doskonały“, chociaż samorzutny jak wzrost drzew. Nie zrywają kwiatów, gdyż cierpienie roślin zmniejszyłoby ich własne rozkosze. „Udoskonalona wrażliwość usuwa wszelką niemoralność“. Czynią dobro przez taką samą potrzebę, jak rozpusznik dąży do rozkoszy.

Wychodząc z rajy, w którym rozstrzyga się problemat „organizowania pokolenia rzeczywiście wolnego“, zatrzymajmy się na chwilę u wrót; ponieważ nie boimy się żadnego archanioła szyderstwa, — spróbujmy na chwilę poważnej rozwagi. Z pośród wielu nasuwających się myśli, najdłużej może zatrzyma nas zdziwienie, że pracowita „kultura Jaźni“ zdobyć się umiała na proste zanurzenie się w falach instynktu! Falanster przyszłości, w którym Andrzej zamknął się ze swemi kobietami, byłby, bez dalszych, głębszych komentarzy, poprostu małżeństwem we troje. Andrzej nie jest właściwie żywą postacią, ale rodzajem algebryzmu myślowego; rozkosze życia traktuje niby punkty partyi szachów. Nie trudno więc utrzymać się zdoła na wysokim poziomie swej „udoskonalonej wrażliwości“. Ale czy tak samo postąpią obiedwie kobiety? Czy Andrzej utrzyma w spokoju swe idylliczne gospodarstwo? Wątpię. Smutno i nudno mu będzie we własnym rajy, więc wróci do stolicy i poszuka sobie innych wzruszeń; poszukiwania opowie w stylu, jak zwykle, pięknym, więc interesującym być nie przestanie.

Sam Barrès spostrzega nasze zamyślenie i, zimno uśmiechnięty, tłumaczy; „Wierście mi, że nie ma wywczasu rozkoszniejszego, jak budowanie systematów w powietrzu. Wpadamy w chmury metafizyczne i upajamy się kontemplacją czystych myśli. Nie rozumiemy już wcale, o czym myślimy, lub na co patrzymy. Ale cóż to znaczy? Im mętniejsze myśli, tem mocniej czujemy się wśród olbrzymiej atmosfery, którą odychamy z boską niemal rozkoszą“.

Czy więc należy cały raj Barrèsa brać za ironię i sarkazm, za grę metafizyczną? Zauważyliśmy, że Barrès, jeżeli miał jakiś utrwalony pogląd na rzeczy, nie objawiał go wyraźnie: bywał dyskretny. Bądźmy przeto i my dyskretni: udawajmy, że wierzymy w szczerą jego rajskiej utopii, kiwajmy nawet głowami porozumiewawczo, a, przy dobrej woli, uśmiech nasz nie zamieni się w parsknięcie...

IV.

Uwięziwszy Andrzeja Maltère'a w smutnym „falansterze przyszłości“, wyjechał Barrès w podróż po Europie, poszukując zawzięcie energii oraz żywego potwierdzenia własnego systematu. Osiągał rezultaty bardzo rozmaite i bardzo ciekawe. Przez „egzaltację jaźni“ zyskiwał „wskazówki najdogodniejszego leczenia niektórych właściwości duszy nowoczesnej“ („Trzy stacje psychoterapii“), a jednocześnie tworzył przedziwne historie, nazywane „namiętnymi ideologiami“ („Wśród krwi, rozkoszy i śmierci“), które ilustrują dawniejsze przesłanki i wnioski filozoficzne. Zręczne streszczenie całej doktryny podaje rozdział, zatytułowany: „Rozwój jednostki w muzeach Toskanii“. Artyści, zebrani w muzeach objawiają podróżnikowi trzy stopnie rozwoju: istnienie, budowanie wszechświata, zabawę. Istnienie, czyli uświadomienie sobie jaźni zrodziło świat muzealny i odbyło się w czternastym i piętnastym wieku przez żywot takich artystów jak Giotto, Ghirlandajo, Lorenzo di Credi, Botticelli. Potem nastąpiła chwila budowania życia wewnętrznego, rozumienia wszechświata, obejmowania wszelkich stron rzeczywistości i układania jej praw; objawiło się to zwłaszcza w postaciach boskiego Lionarda. Granicą pierwszego etapu było całkowite poznanie i rozważanie rzeczywistości. Ale tego było za mało; należało zamiast owej rzeczywistości stworzyć inną, odpowiednią naturze twórcy, co dokonaniem zostało w postaciach potężnego Michała Anioła. Jaźń jest tu mistrzynią, która wszechświat do własnej nagina woli. Nie długo przecież zdoła się jaźń utrzy-

mać na takim wzniosłym poziomie. Potrzebuje metody moralnej, która by pozwoliła władzom duszy zachować całą tężyznę i doznawać na jakiś czas egzaltacji życia wyższego. Właśnie malarze z końca szesnastego i siedemnastego wieków (Guido, Dominiquino, Guerchino, Carracio etc.) przedstawiają „istoty, które otrzymują impulsy nie z zewnątrz, ale z własnego świata wewnętrznego, a tworzą nie z resztek starożytnych lub z modeli, ale podług poruszeń własnej duszy“. Namietność dochodzi w nich za pomocą *sposobów mechanicznych* do pożądanej potęgi, czyli staje się zupełnie świadomą.

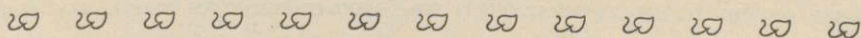
Zatrzymuje się Barrès i rozmyśla tylko w miejscach, mających znaczenie dla duszy. We Włoszech nie lubi jeziora Como, bo widzi tu szczęście zbyt apatyczne. Woli już Isola Bella, jako obraz zwycięstwa człowieka nad światem otaczającym. Z przyjemnością rozmyśla o Parmie, rozkosznej ojczyźnie Correggia, bo imię jej wiąże się z poszukiwaniem szczęścia w uczuciach tkliwych. W grobie Ravenny pożądania światowe wzywają myśli jego ku śmierci. Rozkoszuje się w ogrodach Lombardyi, dokąd spieszą po szczęście ludzie, dla których wszystko jest cierpieniem po za rozkoszą. Czaruje go ukochana oddawna Wenecya, miasto marzenia, uśpione w gorączkowych lagunach, niby wschodnia kobieta w gorącym i ciężkim powietrzu haremu. Widzi w niej żywy paradoks, dzieło sztuki w całości, tryumf woli nad naturą. Specyjalną uwagę poświęca naturalnie psychologii Rzymu, jako miastu, które jest „najkompletniejszym skrótem kultury europejskiej“. Inne miasta pociągają od pierwszej chwili: Paryż kokieterią i wdziękiem, Londyn — gościnnością, Wenecya — romantyczną gorączką; Rzym zaś wyzwolony został z wszelkiej popolitości: — to nie piękna gospodyni, która podejmuje i dogadza naszym przyzwyczajeniom, ale — władczyni, co zgina i łamie w nas wszystko niegodne jej majestatu.

Ulubionym jednak krajem Barrèsa nie są Włochy, (tak bardzo ukochane przez innego poszukiwacza energii — Stendhala), ale Hiszpania. Barrès miłował zawsze sprzeczności, a właśnie Hiszpania jest prawdziwym krajem antytez. Ścierają się w niej wzajemnie, tworząc krzyczące kontrasty: zniewieściałość i tęgość, rozkosz życia i ascetyzm, Andaluzya i Kastylia, Alhambra i Eskurial. Wielbi Barrès w Hiszpanii natężenie życia nerwowego, siłę namietności, niepohamowaną niczem nienawiść, śmiertelnie mocną miłość. W przepysznym, kryształowym języku tworzy wyrafinowane, zmysłowe marzenia, zdobiąc je obrazami cierplivej, niekrepowanej żadnymi skrupułami energii. Najpiękniejszym z tych marzeń jest historia „amatora dusz“, — Delrio, który próbuje metody mecha-

nicznego wzbudzenia namiętności. Przypomina on chirurga szczepiącego raka człowiekowi zdrowemu, aby się przekonać, co z tego wyniknie. Mieszka w okolicach Toledo, we wspaniałym, zrujnowanym zamku, budzącym egzaltację dla piękna i myśl o śmierci. Pograżony w rozmyślaniach, znajduje Delrio zadowolenie estetyczne w potężnych rzutach geniuszu Michała Anioła i Pascala. Mieszka z dziewiętnastoletnią siostrą, Pią, dziewczyną o zimnej powierzchowności, a gorącym sercu. Uważając, że dusza rozkwita dopiero w namiętności, próbuje Delrio doświadczenia na siostrze. Wybrawszy jednego z przyjaciół jako przedmiot, ku któremu namiętność Pii winna się skierować, udaje się z młodą parą w podróż, szukając środowiska, odpowiedniego dla przyszłej ich miłości, Pragnie poddać Pię potężnemu wpływowi różnych kontrastów Hiszpanii, aby utworzyć jej duszę giętszą i silniejszą. Pokazuje Pii najpierw wzniosły, tragiczny Eskuriał, „granitowy wyraz katolickiego pojęcia o śmierci“. Stamtąd przenosi ją odrazu do płomiennej Grenady, a chcąc spotęgować wrażenie, opowiada siostrze, podczas oglądania przepysznych pałaców, straszne, krwawe przygody, jakie się w tych murach odbyły. Wreszcie czyta głośno namiętne, czarujące poezye i czeka aż wszystkie te wpływy rozpalą w dziewczynie gwałtowne uczucie. Jakoż nie zawiodło doświadczenie. Dusza Pii buchnęła płomieniem, ale ten skierował się nie do proponowanego narzeczonego, lecz do rodzzonego brata, do Delrio właśnie. Biedna dziewczyna, nie mogąc przemódz występnej namiętności, zabija się pistoletem i umiera na rękach brata.

Uprawiana długo wrażliwość Barrèsa, domaga się wrażeń mocnych, potrzebuje odpowiednich warunków i położenia. Młoda Hiszpanka, chcąc pomścić krzywdę ojca, zgadza się na najgorsze traktowanie, aż staje się żoną bandyty, który stosunek z nią zaczyna od gwałtu. W innym opowiadaniu mieszczanin z Bruges żyje pośród dwóch żon: Flamandki, dobrej gospodyni i Włoszki, dobrej kochanki, zainstalowanej obok pierwszej na skutek wyższego prawa miłości. Żywoty podwójne interesują Barrèsa żywiej, jako płodniejsze w uczucie i ożywione sprzecznościami.

W całej podróży jaźń drży wzruszeniami i czuje swe kruchości. Kontrasty życia, układając się w symfonię harmonijnych niezgodności, podsuwają podróżnikowi nieustannie myśl o śmierci i jeszcze bardziej zwiększają czar książki. Wszędzie przebija żądanie lepszego poznania ludzi, aby się nauczyć władzy nad nimi.



V.

Uporczywa troska o pogodzenie antynomii czynu i myśli miała podstawę w dualizmie natury Barrèsa. Dyletant kłócił się w nim nieustannie z człowiekiem czynu, a kłótnia była tem trudniejszą do uśmierzania, że dyletant posiadał znaczne środki rozumowe, błyskotliwą i pełną inteligencję, wielką zmienność gustu, ciekawość i jasną pojętność; człowiek czynu zaś nie zdołał wznieść się nigdy na stopień wciąż zapowiadanej oryginalności. Od roku 1889 do 1893 zasiadał Barrès jako deputowany w Izbie francuskiej. Przez cały ten czas był niemy, wiernym stronnikiem generała Boulanger'a i nie wyszedł ze sfery „giestów“ literackich. Taine oczarował go analizą, ale analiza w polityce jest śmiercią czynu, podobnie jak w miłości jest śmiercią uczucia. Napoleon ołsnął go potęgą przedsięwzięcia, lecz widok nadmiaru działania dotyka rodzajem paraliżu kontemplacyjnego. W rezultacie nie zdziałał Barrès w polityce niczego.

Pobył w parlamencie wydalili go na zawsze z granic jaźni: „barbarzyńcy“ zemścili się za długie upokorzenia... Wyperswadowali Barrèsovi potrzebę uwielbiana samego siebie, bo zwrócili uwagę na niewielkie bogactwo gatunkowe jego jaźni. Dowiedli, że chociaż istnieją obowiązki wewnętrzne, ale niepodobna ograniczyć się do badania organizmu wciąż takiego samego, patrzenia na ruchy lokomobili i nieustannego powtarzania, „o, jakże ja doskonale funkcjonuje!“

Postawił sobie Barrès pytanie, czy istnieje jaźń ściśle wyodrębniona. O wysokiej powadze własnej jaźni był zawsze mocno przeświadczony, chociaż miał „pięć lub sześć dosyć żywych wątpliwości“ o najlepszych jej częściach. Ale wkrótce musiał przyjść do wniosku, że złudną jest wiara w całkowitą samodzielność i oryginalność *Jaźni*. Skoro świat zewnętrzny, owo *nie — ja* odbija się w jaźni, posiada więc bądź co bądź nieco rzeczywistego istnienia. Przypuściwszy raz to istnienie, jaźń musiała rozpląnąć się we mgłę. Szukał dla niej Barrès ratunku w łączności z nieświadomem, „z siłami życia powszechnego“, ale swą jasną inteligencją pojął wkrótce, że wyrazami nie można samego siebie okłamać. Wyswobodził go całkowicie profesor Izoulet wykładami o „rozwoju psychicznym w stosunku do rozwoju społecznego“. Wytłomaczył Barrèsovi, że jaźń Francuza nie jest jego wyłączną własnością, ale wytworem całego ogółu, że się zwiększa lub zmniejsza zależnie od tego, czy społeczeństwo jest w postępie lub upadku. Spowiadając się z rezultatów tej

nauki, zapewnia Barrès, że zagłębiając się długo w pojęciu Jaźni za pomocą metody poetów i romanso-pisarzy doszedł przez obserwację wewnętrzną aż do ustępujących łatwo piasków i w najdalszej głębi znalazł jako podstawę *zbiorowość*. Zaszła więc okoliczność dziwna, chociaż łatwa do przewidzenia: sam Barrès przestał być barresistą.

Obserwowanie przeniewierstw panamistycznych pobudziło go na chwilę do karykatury pamfletowej. Nie chwycił się głębszej analizy psychologicznej, ale naszkicował kilka grubych konturów w trzyaktowej sztuce dramatycznej („Jeden dzień w parlamencie“), przypominającej gorzkie i jadowite rysunki satyryczne Foraina. Sztuka oparta na głośnym aresztowaniu ministra, nie posiada wyższej wartości scenicznej. Szeroki dramat panamistycznych upadków i oszustw, zastępują zręczne dyalogi, przystosowane do potrzeb „théâtre rosse“, cieszącego się wówczas powodzeniem w Wolnym Teatrze Antoine'a. Subtelny analityk własnych stanów duszy użył grubiańskiego naturalizmu w rysowaniu postaci, które przecież musiały być znacznie więcej złożone niż pierwszy lepszy typ z drobnych wiadomości dziennikarskich.

Pobyt w parlamencie natchnął Barrèsa do przedsięwzięcia znacznie poważniejszego. Zamierzył zbudować „romans energii narodowej“, zawarty w wielkiej trylogii, której pierwsza część rozważa ogólne przyczyny rozkładu dzisiejszej Francji, druga kreśli historię bulanżyzmu, trzecia wreszcie — historię Panamy. Metodę i cel zasadniczy całości wyjaśnia najlepiej część pierwsza, pod tytułem „Wykorzenieni“ (Deracinés). Choć autor pamiętał o ogólnym wątku dramatycznym i szczegółowej obserwacji charakterów, chociaż wszędzie wykazuje wielką siłę artystyzmu, nie myślał o tworzeniu właściwego *romansu*. Napisał poprostu *książkę*, skomponował utwór patryotyczny, ożywiony przekonaniem, że ojczyzna kłoni się do upadku. Obok części ściśle literackich i pięknie napisanych, mieszczą się liczne stronicie wykładu pseudo-społecznego, nadające utworowi wyraźną cechę dydaktyczną. „Starając się — mówi Barrès — wprowadzić do opowiadania mocny ton rzeczywistości, chciałem wzniesć się ponad postacie, które maluję i kłótnie, które opowiadam. Pragnąłem pokazać początki ludzi i wypadków, oraz ich stosunek do zasad. Jest nas takich wielu, którzy pragną w ten sposób pracować nad przerobieniem Francji przez poznanie przyczyn jej osłabienia“. Przychodzą na myśl historyczne prace Taine'a, chociaż podług odwrotnej tworzone metody. Taine w gromadzie faktów poszukiwał systemu przyczyn; Barrès zaś, posiadając w ręku przyczyny, stara się wyrazić je w systemacie faktów. Kilkadziesiąt różnorodnych postaci otacza

w opowiadaniu samego autora, który miesza się w ich postępkę, usuwa je na dalszy plan, kiedy sam ma przemawiać i objaśniać, prawić kazania polityczno-społeczne, lub przytaczać myśli, jakie mu nasuwa obserwacja własnych bohaterów. Całość składa się z bardzo różnorodnych elementów. Czytamy złośliwy, na piętnastu stronicach, życiorys Portalisa, pamiastycznego redaktora dziennika „XIX Siècle“, wchodzimy na obiad do barona Reinacha, poznajemy w oddzielnym rozdziale uwielbienie autora dla Napoleona, obcujemy z Taine'm, wprowadzonym zrecznie do powieści, oglądamy, (opisany z balzakowską drobiazgowością), sławny pogrzeb Wiktora Hugo. Przewodnią nicią wypadków są pierwszorzędne zagadnienia na tle „osłabienia energii we Francyi“. Gubi Francję, zdaniem Barrèsa, niczem nie zwalczona centralizacya. Potężnie utrwalona przez Rewolucyę i Napoleona, doprowadzoną została dzisiaj do takiego stadyum, że Paryż niszczy, pożera prowincyę. Urozmaiconą „metoda poglądowa“ potwierdza tezę. Poznajemy siedmiu lotaryńczyków, próbujących podbicia Paryża. Podczas nauki filozofii w liceum w Nancy, ulegli wpływowi profesora Bouteliera, który zamiast karmić wiadomościami urzędowemi, zapragnął obdarzyć uczniów „najsilniejszym z bodźców: wyobrażeniami epoki współczesnej“. Boutelier posiada czarującą wymowę i surowe obyczaje; kantysta — w filozofii, jakobin — w polityce, żyje w osobistych stosunkach z Gambettą i posiada zasady moralności bezwzględnej, wyrażone w maksymie: „działać zawsze w taki sposób, aby postępowanie nasze mogło uchodzić za regułę powszechną“. O potrzebach Republiki posiada Paweł Boutelier dosyć mizerne pojęcie, ale wzbudza w swych uczniach tak głęboki entuzjazm, iż marzą o pójściu za nim do Paryża. Wykładami swymi odrywa młodzieńców od „gruntu i środowiska społecznego, z któremi są związani“. Chociaż zakreślony na portret zmarłego Burdeau, profesor Boutelier wyraża symbol pojęć społecznych, panujących w obecnym ustroju państwowym Francyi. Siedmiu lotaryńskich argonautów spotykamy jako studentów w Paryżu, w Quartier Latin, gdzie nie znajdują „warunków, któreby lepiej odpowiadały ich wrodzonym pojęciom“. Wyrwani z zakątka rodzinnego, nie zapuszczają mocnych korzeni w nowym gruncie. Pięciu żyje z zasiłków, nadsyłanych przez rodziców i studjuje medycynę lub prawo; dwóch zaś, na których autor największą zwrócił uwagę, Racadot i Mouchefrin, męczą się w okropnej nędzy, podzielanej przez towarzyszkę, dziewczynę publiczną, Leontynę. Wewnętrzne swe nastroje i upodobania podzielił Barrès pomiędzy dwóch młodzieńców. Pierwszy z nich, Sturel, mieszka w „pension de famille“, gdzie żyje w zażyłych stosunkach z piękną

damą kaukazką, Astine Aravian, dosyć wierną kopią księżnej z „Nieprzyjaciela praw“. Sturel jest gwałtownym czcicielem Napoleona, więc do grobu cesarza prowadzi swych kolegów i wykląda im entuzjastycznie żywot potężnego „mistrza energii“. W ogólnym tonie przypomina Sturel stendhalowskiego Sorela. Drugim ulubieńcem Barrèsa, powiernikiem i wykładaczem jego najgłębszych sympatyj jest Roemerspacher, młody student — historyk, wielbiciel Taine'a. Pracuje on podług taine'owskiej metody i w dzienniku założonym przez siedmiu młodzieńców, помещa wybitne studyum o autorze „Inteligencji“. Poważny i sędziwy mistrz odwiedza Roemerspachera w studenckim mieszkanku i prowadzi z nim zajmującą rozmowę na temat własnej metody oraz przyszłości naukowej młodzieńczego ucznia*). Opis przechadzki Taine'a z Roemerspacherem oraz wykład mistrza przy płataniu, na skwerze Inwalidów, należą do najpiękniejszych stronic Barrèsa.

Młodzieńcom swym dał Barrès środowisko najbardziej typowe i najmocniej niszczące zdrowe instynkty w człowieku: założyli dziennik p. t. „Prawdziwa republika“, z pieniędzy najbiedniejszego z kolegów, Racadota. Dziennik walczy przez czas jakiś z niedostatkiem i upada, dając Barrèsowi sposobność przytoczenia wielu wymownych i zjadliwych szczegółów na tle niesłychanej korupcji dziennikarstwa francuskiego. Wyczerpawszy wszystkie możliwe źródła pomocy i nie mogąc wydobyć się z długów, Racadot i Moucheffrin uciekają się do zbrodni. Zaciągają piękną panią Aravian na brzeg Sekwany i, wiedząc że zmysłowa dama nosi na sobie wspaniałe brylanty, zadają jej śmierć morderczą. Dzieje się to tego samego dnia, kiedy Paryż gotuje Wiktorowi Hugo olbrzymi i teatralny pogrzeb. „Sprawiedliwość“ zdołała pochwytać jednego ze zbrodniarzy, Racadota. Głową, złożoną pod gilotynę, okupuje on centralistyczne nauki Bouteliera. Czarujący zaś kantysta, co zaciągnął do Paryża siedmiu „wykorzenionych“, podbija najpierw świat polityczny żywością i giętkością inteligencji, a potem, zredagowawszy znakomity raport, który posłuży za podstawę przedsięwzięcia panamskiego, staje w parlamencie, jako przedstawiciel Lotaryngii. W postaci tej pragnął Barrès dać „przykład częściowego rozkładu narodowego“ i wytoczyć przez nią rodzaj procesu przeciwko wykształceniu uniwersyteckiemu, oraz przeciwko kantzizmowi jako „doktrynie najwłaściwszej do tworzenia *wykorzenionych*“

*) Historia podobna przytrafiła się istotnie Karolowi Maurrasowi, gdy w «l'Observateur français» umieścił studyum o pracach Taine'a.

a stanowiącej we Francyi moralność państwowa. Szkodliwość kantyizmu polega, zdaniem Barrèsa na tem, że przenosi ludzi do świata odrębnego, do świata poezyi i bohaterstwa, zbyt oderwanych od rzeczywistości. Boutelier winien jest złamania życia siedmiu młodzieńcom. Są to rośliny, zatrzymane w normalnym rozwoju, chore i schnące powoli. Nikną dlatego, że Paryż stał się jedynem otwartem polem dla wszelkiej inicjatywy, na prowincyi zaś Francuz zamieniony zostaje w urzędnika polityki, pojęć i uczuć. Wychowanie prowincjonalne „zniszczyło w nich świadomość narodową, czyli uczucie, że istnieje przeszłość w kantonie rodzinnym“.

Jako wierny uczeń Taine'a, wyciąga autor niekiedy wnioski zbyt daleko posunięte; drobny fakt ubarwia następstwami, przez wyobraźnię dyktowanemi. Ale potrafi szczerze interesować i do myślenia pobudzać.

VI.

Barrès wykazywał zawsze zamiłowanie do poruszeń duszy francuskiej, czy chodziło o niszczenie, czy o budowanie. Można jednak powiedzieć, że w niszczeniu okazał się znacznie wyższym. W roli odnowiciela wszystkie myśli posyła na usługę sile, ale sam siły nie posiada. Uważał niegdyś, że „mieć o jakiejś rzeczy wyobrażenie jasne i dokładne, znaczy zawładnąć nią całkowicie“. W polityce zawiodło go mniemanie takie, a teraz będzie miał sposobność przekonać się, że reformator potrzebuje czegoś więcej, niż jasnej inteligencji, niż posiadania „wielu dusz“, niż „bawienia się środkami, bez troski o cel“. Gdy zestawię wszystkie postawy i uśmiechy Barrèsa i spojrzę na dzisiejszą, ultraszowinistyczną jego fizyonomię, przypomina mi się inny mistrz uśmiechów, ten wielki mistrz, co napisał „Dyalogi filozoficzne“, a w głębokich nad życiem rozmyślaniach taką zostawił notatkę dla Barrèsa: „Zarówno w moralności, jak w sztuce, mówić — nic nie znaczy; ważnym jest czyn jedynie. Idea, ukryta za obrazem Rafaela, małe posiada znaczenie; tylko sam obraz bierze się w rachubę. Tak samo w moralności: prawda zyskuje pewną wartość dopiero wtedy, gdy przechodzi w stan uczucia, a osiąga najwyższej ceny wówczas, gdy się urzeczywistnia w świecie jako fakt“.

Jan Lorentowicz.



Św. Szymon Słupnik.

Pomiędzy niebem a ziemią, nad grzechem
i nędzą świata,—samotny i święty—
stoję i czekam wielkich sądów Boga.

Tam, w dole, szumi miasto oszalałe,
tam rozhukaną strugą życie płynie
i grzeszna rozkosz doczesna—przeklęta;
tutaj, pod niebem, na mojej wyżynie,
cisza jest wielka, zaledwie zmacona
dalekich głosów rozpierzchniętem echem,
co się po krzewach suchych i po głazach
wzwyż skrada ku mnie, by u stóp mych skonać...

Na słupie z drzewa twardego, na słupie,
którym własnemi ociosał rękoma
i jak krzyż ciężki wyniósłszy na wzgórze,
tu ponad miasto skazane na zgubę,
wbił między głazy, spalone od słońca:
stoję i patrzę na szeroką ziemię,
którą skalało grzechem ludzkie plemię,—

stoję i patrzę na nieba przeczyste,
gdzie wśród aniołów Ty królujesz, Chryste!

Lata mijają. Ile lat już stoję,
tym ociosanym pniem drzewa wzniesiony
nad miasto, niwy, nad dalekie morze,
w błękit i w jasne, czyste światła boże:
próżnobyć liczył. Zda się, że korzenie
suchy słup w ziemię zapuścił jałową,
a nogi moje, stężale w bezruchu,
same się stały jako martwe słupy.
Włos nieczesany na barki me spływa
i krwawą nagość moich ramion kryje,
z których płaszcz opadł, zdawna już zbutwiały,
i skóra spada, jak kora na drzewie,
od ostrych wiatrów spękana i słońca.

O Panie! dręcz mnie, niszczone mnie, siecz pożarem
słońca, pragnieniem pal i łam me kości
i w niepojętej swej Sprawiedliwości
ze mnie zapłatę bierz za grzechy świata—
Baranku święty, zmaż nieskalany,
któryś niewinnie cierpiał za nas rany!

O Antyocho, grzesznico bezwstydna!
Co dnia cię widzę w pośrodku zieleni,—
w nocy twe światła błyszczą mi wśród cieni,
i nad najsroźsze męki mej katusze
ta mi najcięższa, że się patrzeć muszę
wiecznie grzechowi w bezkarne oblicze!

O Panie, Panie! jak mi jeszcze długo
czekać tak każesz dnia Twojego gniewu,
który pognębi pyszne i szalone!
Czyś Ty przepomniał, Panie, o tem mieście,

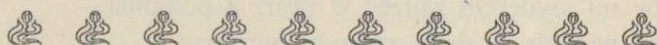
co Miłosierdziu Twojemu urąga
i Sprawiedliwość Twą straszłą wyzywa
zmaza, zaprawde, gorszą od tej zmazy,
dla której poległ Babilon, Niniwa
w gruzy upadła i ogień siarczasty
pożarł Sodomę—iż się mścić nie kwapisz
krwie znieważonej Twego Syna, Boga?
Jeślić są miłe te moje cierpienia,
to nim powołać raczysz mnie do siebie,
ażebym z Tobą królował na niebie:
ukaż mi tryumf Twojego Imienia,
które się w gromach zapali nad miastem,
ginącym gwoli swych grzechów ohydnych!

Od lat nie zwracam twarzy ku wschodowi
i zapomniałem, jak Twój brzask wygląda,
wpatrzony ciągle w to rojne mrowisko,
by nie uronić snadnie onej chwili,
gdy Miłosierdzie Twoje się przesili
a Sprawiedliwość grom na grzeszne rzuci!
Co rano słońce za plecyma memi
wstaje i idzie niewidne ku górze,
żar coraz sroższy lejąc na mą głowę,
by mi szyderczo zajrzeć w twarz z południa,—
co wieczór w złotej zachodu purpurze
oczy me krwawe, wiecznie wyteżone,
bezsenne oczy ślepi swym płomieniem:
a ja daremnie czekam tej godziny,
kiedy Ty poczniesz karać ludzkie winy!

Bo to nieprawda! to nieprawda, Panie,
bym chciał od zguby zbawić miasto ono!
Jeśliłm się Tobie ofiarował za nie,
to nie by wstrzymać Twoją dłoń wzniesioną,
lecz by tę ranę, którą grzechy świata
w Twem Sercu złością, zagoić ofiarą!

Owszem, o Panie! rychło rzuć płomienny
 grom na nieprawę! Wstrząśnij skały ziemi
 i gór zwaliska strąć przemożną dłonią
 na dom grzeszników! Niechaj moje oczy
 zobaczą jeno pustynię a gruzy
 na onem miejscu, gdzie Twemu Imieniu
 bluźniono; cisza niech wieczna pogrzebie
 te ludne place, ulice szerokie,
 po których dzisiaj bałwochwalstwo płąsa
 a zaś plugawa szaleje rozpusta
 i w wyuzdanym, niesytym bezwstydzie
 urąga niebu swą straszną ohydą!
 Niech nie zostanie kamień na kamieniu
 z tych marmurowych i cudnych pałaców!
 Niechaj te drzewa bujne i kwitnące,
 te sady złote zmarnieją i poschną!
 Niechaj się morze cofnie wstecz od brzegu
 i nie śle chłodnych wiatrów ku ruinom,
 po których przeszedł orkan Twego gniewu!

A gdy pustynia tu zalegnie sucha:
 w pokoju, Panie, zwolnij mego ducha!...



Żar południowy odegnał tę garstkę
 wiernych, co przyszli nakarmić me ciało
 i kroplą wody zwilżyć usta moje,
 modląc się zasię, abym w Imię Pana,
 przez które moc mi nad przyrodę dana
 za świętość moją – chore ich uleczył
 i wskrzesił trupy, pod słup przyniesione.

Zbudziłem zmarłe, niemocne-m pokrzepił
 i znów sam stoję na wyżynie mojej.

Senność ogarnia cały świat—i miasto,
co jutro może będzie prochem tylko,
znużone grzechem, niebaczne, leniwe
na lazurowej i złotej śreżodze
południa leży, zasnąwszy w upale,
jako drapieżny, jurny tygrys—syty.

Białe marmury i porfiry ciemne,
znikome dzieła próżnej ludzkiej pychy,
na tle ogrodów w słonecznej powodzi
tak błyszczą zdala, tak się lśnią i świecą,
jako klejnoty w więź ujęte cudną,
któremi—niegdyś widziałem!—kobiety
stroją bezwstydnie swe lubieżne łona...

Tam przed bramami miasta, na tych łąkach,
gdzie kwitną modre i różowe kwiaty,
chłopiędziem owce pałem białorune...
Słodki głos kobzy niósł się w dal, na światy,
gdzie wody czyste, na pachnące sady,
gdzie pod złotymi drzewy w jasnej tęczy
stał Chrystusa cień przedemną błądy
i wskazał dłonią to kamienne wzgórze...

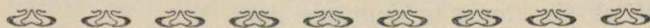
Gdzie ten ciernisty pośród skał manowiec—
poszedłem, białych mych odszedłszy owiec,
i Tobie, Panie, w utrapieniu służę,
jak zóraw czujny, jak głąz nieruchomy,
a czekający na Twe jasne gromy—
a owce moje białe, gdzieś po świecie
rozbiegłe, skubią łąk Twych wonne kwiecie...

O, jak falują te niwy zielone,
o! jak się kłonią te szumiące gaje!

O, jakież słodki cieńby dały drzewa
głowie mej w ogniu słonecznym spalonej!
O, jakże błoga jest kryniczna woda,
kiedy odwilża spiekie podniebienie!
O, jak rozkosznie nad srebrnym strumieniem
rozciągnąć członki na puszystej trawie
i rozprostować stawy, co zakrzepły
i jak drewniane zawiasy się zwarły,
iż ból dotkliwy targa moje ścięgna,
gdy z trudem ramię podnoszę ku niebu!...

Oto wśród ciemnej zieloności łąnów
snują się drogi żółte, w dal wiodące...
Jedna w górzysty wiedzie kraj, w parowy
i w rozszumiałe na skałach dąbrowy,
ponad przezyste ruczaje, gdzie owce
stadami chodzą po wilgotnej łące,—
a inna biegnie na zachód, ku morzu,
kędy jest przystań lazurowa, cicha...
Tam się zrywają w wieczornej godzinie
statki skrzydlate, białe morza ptaki,
i na wiatr żagle rozwiawszy nieścigłe
leczą za słońcem gdzieś w dalekie kraje,
kędy spiekota nie wypala mózgu,
ni nocna rosa nie żre chłodem ciała,
ani ból kości zdrętwiałych nie łamie...

Żar południowy ogarnia mnie, gryzie,
kąsa i pali... Cisza jest wokoło,
jeno koników polnych gdzieś rykanie,
jeno brzęk pszczoły zbłąkanej i tętna
bolesne bicie w mych zeschniętych żyłach...
Bądź uwielbiony, Panie mój i Królu,
dawco cierpienia i szafarzu bólu...



Oto się zbliża godzina zachodu,
która pasterzom słodki pokój wieści
i stada krzepi na zielonych łąkach;
oto powiały już wiatry od morza
i sieją rosę na powiędłe sady,
na zapyłone ziół przydrożnych liście
i na me wargi spiekłe i spragnione,
w ciszy wieczornej Panu rozmodlone...

Gdzieś nad łąkami kobza brzmi pasterska,
a razem z rosą szklane krople dźwięku
sypią się z cichym szelestem na niwy
i na to miasto, niegodne, zaiste!
byś mu wieczory słodkie dawał, Chryste!

Oto je widzę, jak co dnia, w ogromnej
lunie zachodu, która jako pożar
płonie na dachach, zrazu złoty, potem
krwawy, aż w siność przejdzie i zagaśnie
pod ciężką nocy duszącej oponą.
A ledwo zmierzchną blaski dnia ostatnie,
zaledwie mroki w śnie zaułków wioną,
miasto, czerwone od krwawych pochodni,
jak lew, pod wieczór wstający z komyszy,
z chrzęstem swe członki przeciąga i dyszy
żądzą, do grzechu budząc się i zbrodni
z dziennej martwoty, opętane szałem,
który wśród cieniów wstrząsa jego ciałem.

I przez noc całą światła niezliczone
płoną po rogach ulic, w oknach domów,
kędy nieprawość mieszka i niepamięć,
że jest na niebie Bóg, co karze winy,—
i przez noc całą słycać głos zmieszany
pijanych śmiechów, rozpusty, szaleństwa,

mącający wrzawą senny pokój świata!
Bo chociaż cisza nocna ukolebie
wszystką przyrodę, chociaż wiatry nawet
posną, w skaliste załomy wtulone,
i nie szeleszczą po zeschłych badyłach,
by nie przeszkadzać woniejącym kwiatom,
które w gwiazd świetle mówią z Tobą, Panem:
to jedno miasto nie zna snu ni ciszy
ani spoczynku w nieustannym grzechu!

Ha! już się zrywa wielki szum, jakoby
morze falami o mój ostrów biło,—
po twardych brukach tętnią złote wozy,
i echo gwarów zmieszanych zagłusza
pieśń, którą brzmiała gdzieś kobza pastusza!
Oto krzyk ziemi się ozwał—grzesznica
powstała na swe tany wyuzdane,
piersz cudzołożną obnaża i błyska
załotnie oczu białkami i pianę
z ust malowanych toczy,—już się ciska,
w błocie szatańskich objęć już się szarga,
krew jej skażoną podła chuć przenika,
zwierzęcym krzykiem drży jej spiekła warga,
członki jej skreca jakaś rozkosz dzika:
rzące, rży, parska, miota się i wyje
w okropnych, wściekłych, piekielnych podrzutach!

Oto się światła zażęgły jaskrawiej,
jakoby pożar chodził po ogrodach
i marmurowe oplatał kolumny
włosami z ognia... Z otwartych podwoi
pałaców, bóżnic, łaźni i zamtuzów
tłum się wylewa,—już ulice pełne,
a oni płyną wciąż i wciąż—bez końca!
nad głową jak słońca,

niosąc pochodnie jaskrawe,
 których blaskami złoci się i broczy
 fala ludu czerwona,—
 o, Panie!
 otchłani piekielna, roziskrzona, parna!
 wszystko się mąci, przewala,—choć oczy
 przymknę, to jeszcze przez zwarte powieki
 światła rozżarzone ćwieki
 w mózg się wbijają,—o Panie! litości!
 a Ty na krzyżu umęczony, Chryste,
 Ty biczowany w cierniowej koronie,
 Ty we krwi własnej skąpany potoku,
 Święty! o zbaw mnie od tego widoku!

Niechajże noc ta już będzie ostatnia!
 niechaj śmiertelna rozewrze się matnia,
 Niechaj się wstrząśnie ziemia i pochłonie
 te opętane, bezbożne i głupie!

O grom Cię, Panie! błagam na mym słupie!

☞ ☞ ☞ ☞ ☞ ☞ ☞ ☞ ☞ ☞

Kręgi płomienne, żółte i czerwone
 tańczą tam w dole przed oczyma memi,
 tam ponad miastem, które jest w tym cieniu
 do kłębu węzów ognistych podobne,
 przewalających się w czarnej otchłani
 i zaś ze sykiem wznoszących swe szyje.

O Chryste! bądź mi ku pomocy!
 W rozpasanego grzechu strasznej nocy
 to miasto żywym stało się szatanem!
 Oto mi widny

na tej równinie, u stóp mego wzgórza
 polip stuoki, potworny, ohydny!
 Z mroku się wynurza
 i tryumfować chcąc nad Tobą, Panem,
 wspina się ku mnie, po stoku się wije,—
 tysiącem macek ruchliwych, jak żmije,
 głazów się czepia
 i pełnie wyżej...
 O Królu nieba! Widzę krwawe ślepie,
 bezzębną gębę rozwartą, plugawą,
 tułów ohydny, wzdęty, trupiosiny,
 po którym, jak po zgniłym stawie,
 krążą i ciekną mętne oka pawie...
 Słup mój długimi okręca ramiony
 i wlecze po nim kadłub owrzodzony,
 puchnie, pęcznieje, rozrasta się, wzdyma:
 oto już blizki—
 ziemię przed memi zakrywa oczyma,
 w lekkie mnie garnie uściski,
 rośnie, jak góra — — o, Baranku światła!
 dusi mnie, dławi, przygniata!
 czuję na ustach skórę gadu śliska,
 brak mi tchu!—Panie! ratuj!—Exorcisco!...

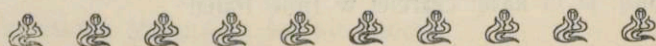
Oddycham wolno! Znowu gwiazdy widzę,
 nad bagnem ziemi stojąc na kolumnie,
 jak kwiat lilii na smukłej łodydze...
 Mgły powiały ku mnie,—
 świat pochłonęło gęste, szare morze,
 a w wnętrzu jego, jak gdyby kto żary
 rzucił do wody: wrzenie, syk i gwary
 we mgle niewidnej, pjanej ludzkiej trzody...

Nad to zmaconych grzechem fal przestworze
 wzniesiony stoję, a to wielkie morze

bije o twarde zrąb mojego wzgórza
i pianą pryska, kotłuje się — płynie,
jak rozszałała, z nieb strącona burza.
Fala za falą rozhukana pędzi,
coraz szaleńszy wyścig na głębinie:
czuję dreszcz ziemi i wód pęd straszliwy,
na skalnej tu stojąc krawędzi...
Zawrót mam w głowie... Panie! co się dzieje!
Słup mój, jakby żywy,
drgnął i kołysze się, chwieje:
zerwał się z ziemi i nad tonią grzechu
krąg* zatoczywszy, płynie — coraz chyżej!
W uszach świst wichru, w piersi brak oddechu —
a tam w dole fala
kłębi się, huczy, przewala:
straszne z ciał ludzkich uplecione morze!
Wir potępieńczy! głowy i ramiona!
białe kły, kurczem wykrzywione twarze!
stargane włosy! nagie, krwawe łona!
ócz błyskających białka! zamęt! krzyki,
rżenia, śmiechy, przekleństwa i płacze!
wycie rozkoszy i wrzask mordów dziki! —
a słup mój, wyrwawszy się ziemi,
ponad nurtami leci piekielnemi!

Ha! to już nie słup! to szatan mnie niesie!
Między rogami na włochatej głowie
stoję, na wściekłym, rozhukanym biesie,
w którego pal mój się z nagła przedzierzga!
Hop! hop! po falach sady jak szalony!
hop! hop! — cwałuje — krew bryzga na strony!
hop! hop! — kopytem rwie chmury i wierzga
i ryczy śmiechem!... Święci Aniołowie!
otom jest w przepaść niesion przez szatana! —
Stój! ja ci każę! czarcie! w Imię Pana!

Czy to był majak? Stoje, jako wprzód
 nad rozlanemi w krąg szeroko mgłami,
 które spóźniony księżyc srebrem plami..
 I tylkom czczości pełen jest i nudy:
 piasek gorący czuję pod powieką
 a szpik dreszcz mroźny wysysa mi z grzbietu,
 język w mych ustach gorzką stał się żmiją—
 oślizgłem ciałem spiekłe wargi łechce,
 spelza mi w gardło i kasa i dławi..
 Senność mnie morzy... Módlmy się do Pana,
 wróg bowiem czycha. Grzech na świecie włada—
 ja jeden nad nim, jak biała kolumna.
 Módlmy się Panu,—On skrzepi i wzmoże.
 Trzeba nam czuwać... Kości się rozchodzą
 w bólu zdrętwiąle... A te moje owce
 upajające kędyś skubią ziola—
 a Bóg nie zsyła gromu na grzeszniki—
 a mgły się wiją srebrzyste dokoła:
 dźwięk jakiś dziwny—cymbały, klarnety,
 bęben i śmiechy i weselne śpiewy,
 na mgłach tańczące półnagie kobiety:
 gną się i chylą, wyciągają dłonie,
 —o, zejdz, ty święty szaleńcze, ze słupa!—
 włos wonny, złoty, rozkosz w oczach płonie,
 piersi falują, drżą lubieżne usta,
 —zejdz na uciechy niewypowiedziane!
 katusza twoja głupia jest i pusta!—
 Precz! precz odemnie! jam jest święty! boży!
 Ta woń... te śpiewy... różel! winogrady!
 te ciała gibkie, miękkie... Sen mnie morzy...
 Precz! precz... Ostatek sił zwątlalych zbiorę:
 trzeba mi czuwać—śród pokus i cienia...
 Wspomóż mnie, Panie! rozwiej nocną zmoreł!...



Oto świt wstaje... Zimne, ostre światła
z tumanu cieniów zbladłych rzeźbią kształty
i zacierają srebrną łzę księżycy,
po bladym niebie spływającą w morze...
Cisza... Po nocy szaleństwa i grozy
miasto zasnęło i w świtach się pławi—
śpiące, srebrzyste, spokojne i ciche,
a Pan tymczasem rozsnuwa swe światło
po nieb ogromnych błękitnej kopule:
grają już tęczą na dalekim morzu,
już się na leśnych szczytach gór rumienia
i wnet tu do mnie,—złotopióre ptaki—
zlecą i skrzydłem z boku lic musnąwszy,
padną przedemną na miasto i zwolna
zbliżać się będą tu, pod moje stopy,
świadcząc mym oczom o wschodzącym słońcu.

Czyś Ty szatana moc już zdeptał, Chryste?...
Wszystko jest ciche i srebrne i czyste,
że nie podobnym zda mi się do wiary,
iż tu był w nocy grzech—i różne mary
piekieł i straszna szaleństwa pożoga,—
a nad domami temi ręka Boga
wisi i mściwy grom na niebie trzyma...
Wilgną mi oczy bezsenne; pierś wzdyma
jakiś żal dziwny... czy grzeszny żal, Panie?
To miasto piękne jest tak niesłychanie!
żrenice moje w ciągu lat przywykły
patrzeć na cud ten, przeklęty i nikły,
iż mimowoli prawie lęk mnie chwytą,
że wyglądany dzień, ów dzień! zaświta,
kiedy wstające z za gór kędyś zorze
rozzłocą niebo i rozzłocą morze,
a próżno szukać będą na równinie
miasta, co w gruzy upadnie i minie—

i jeno słup mój potrąca, jak co dnia,
słup rozploniony świtem, jak pochodnia,
ponad pustynią suchą i jałową...

Już pierwszy promień padł w dolinę... Co to?
Powodnią światła w krąg oblany złotą
mój cień tam w dole! Cienia mego głową,
strącon z wyżyny, padłem w środek miasta!
i tak mnie słońce wschodzące zastało:
tutaj na słupie nędzne moje ciało,
a tam—cień czarny, co z pod stóp wyrasta,
jakoby dusza moja zła i ciemna,
która uciekła z piersi mojej w nocy
i podczas, gdy się ja z szatanem zmagam,
szalała może razem z szalonymi
i wraca teraz do mnie w świt poranny,
ociągająca się, znużona grzechem,
czarna, skalana, aby znów zamieszkać
w mem łonie, jadem trując je gryzącym!

W miarę, jak słońce wznosi się na niebie,
cień mój się sunie ku mnie—coraz bliższy...
O Panie! ratuj mnie przed moim cieniem!
bo ten cień marny miazdzącem brzemieniem
zwali się na mnie, bo on mi przyniesie
grzech tego miasta, w którym mimowoli
jam uczestniczył—cieniem! Panie! Panie!

Karz mnie! jam winien! Pozwoliłem w serce
wkraść się miłości ku grzesznicy, która
takim przepychem piękności się stroi,
i szatan z mojej słabości skorzystał!
Karz mnie! jam winien! Pozwoliłem snowi
znużonem ciałem zawładnąć—i oto,

w tej, jako mgnienie powiek, krótkiej chwili,
cień mój się wykradł ze mnie—tam! i grzeszył,
łakomem okiem patrzył w tan rozpusty
i jako zbrodniarz, uwięziony długo,
kiedy się wreszcie na wolność dostanie,
szalał i w kale ohydy się pławił!

Daremnie stałem tutaj lata całe
na twardym słupie w twardą wbitym skałę,
darmom katusze znosił niepojęte
i klątwy miotał na miasto przeklęte,
daremne modły, wysiłki i znoje
i z szatańskimi pokusami boje
i życie w gorzkim przepędzone trudzie
i ten świętości mojej rozgłos w ludzie—
wszystko daremne! W piersi mojej żywie
grzech: niezgaszone pragnienie i miłość
świata, nad którym chciałem tryumfować!
O! karz mnie! Panie! bom ja robak lichy
co z nierozumnej i zbrodniczej pychy
na pal tu wpelznął i chciał ponad światem
stać się lilii śnieżno-białym kwiatem...
Karz mnie! jam więcej grzeszny, niż te tłumy,
bom się przed Tobą okrył płaszczem dumy,
a nie umiałem wyrwać z swego wnętrza
tego, co klątwą jest ludzkiego rodu
i ojcem grzechu: wieczystego głodu!

Ha! ziemia drgnęła, jak fala się spiętrza,
głuchy grzmot ryje kędyś skał posady:
trzęsienie! W pył się wała miast kolumny...
Czemuś wysłuchał mnie! Panie? Ha! tłumny
lud biegnie ku mnie—z przerażenia błady:
Pójdźcie! ja winien! grzeszny, jak wy sami,
na miasto wasze ściągnąłem zaturę!—

pójdźcie! rozdieram mą ostatnią szatę,—
pójdźcie! z ostreми w dłoniach kamieniami...

Co to? tłum przypadł—do stóp słupa zgięty:
podnoszą ręce, skażą się i płaczą
i głosem wzdętym strachem i rozpaczą
modlą się do mnie: Ratuj nas! ty—Święty!...

Jerzy Żuławski.



Szkice.

I.

INTERMEZZO.

Flet jest ową śliczną pasterką, w sukience à paniers, która zbliża się krokiem menuetowym i pierwsza zaczepną strzałę piskliwym głosikiem wypuszcza.

Natychmiast rożek, niby kochanek mdlejący i posłuszny, podejmuje wdzięczny motyw i powtarza go, jak wyuczona papuga.

Ale bas, komiczny starzec w pudrowanej peruce, z kolei zaczyna wikłać się w komplementach i głębokich ukłonach na prawo i lewo.

Wówczas, przywykły głównie do bawienia się serengą w ciałkach różowych i pulchnych, zabiera głos puzon, wybuchając trywialnie i hałaśliwie.

A tymczasem pastuszek zalotny słodką pieśnią fujarki zdobywa sobie śliczną, wzruszoną pastereczkę, i oboje, wtórując sobie przy towarzyszeniu szybkiej gamy tercyowej, uciekają, zostawiając na placu oszukanych kochanków, drących się niemiłosiernie, aż dopóki nagle rozbudzony cymbalista nie rzuci im swych kotłów o łeb, ażeby zakłócić cisza wreszcie powróciła.

II.

MARTWA NATURA.

Smuga gorącego światła wpada przez ostrołukowe okno do ciemnej kuchni i podczas nieobecności kucharki nadaje, przedmiotom wyzwołonym z pod jej czujności, wygląd fantastyczny hofmanowskiej sceny.

Oświetla jabłka, szkarłatne, niby policzki wiejskich dziewczuch; pada na marchewkę, zdobną w rudą grenadyerską czapkę z długą, zieloną kitą, na cebule, połyskujące miedzią, niby poucinane głowy bonzów japońskich z kępką włosów na szczycie łysych i lśniących czaszek.

Oświetla rzodkwie kragłe i brunatne, jak piersi murzynek, kapusty włoskie, przewrócone korzeniem do góry, niby marynetki w spódniczkach, pęczniących na krynolinach, oraz orzechy kokosowe o korze kosmatej, jak zad małpi.

Ale zostawia w ciemności wdzięczny wysmukły wazon, z którego wychyla się puszysta główka róży, wyłaniającej z szat jedwabistych: drobna chińska księżniczka oczekuje niezawodnie w charakterze kochanka jakiegoś grzyba, ukrytego pod białym parasolem mandaryna.

I marynowanego śledzia o brzuchu chudym i mieniącym, śledzia, który, rozłożony niedbale na kwicistym półmisku, jak stary, dziwaczny gentleman o śpiczastej twarzy, w kamizelce atlasowej wzorzystej, spoczywa nieruchomy obok mapy Sycylii, którą wyobraża różowy kotlet, i spogląda obojętnie na wszystko okrągłemi sardonicznymi oczami w złotej obwódce okularów.

III.

KRYTYK MUZYCZNY.

Każdemu wiadomo, iż pierwszym przymiotem krytyka sztuki jest być ślepym, lub co najmniej jednookim, zaś krytyka muzycznego — głuchym. I panu Fifrely, uprawiającemu niepospolicie zaszczytną drugą profesję, nie jest to obcem. P. Fifrely jest to człowiek uśmiechnięty, z okrągłą buzią i ogromnemi uszami, na których bujnie kępki włosów się rozrastają. Ponieważ dotychczas nie zdołał utracić w zupełności słuchu, i niejasne zewnętrzne szmery, pasaże, gruchania i rulady są jeszcze w stanie przeniknąć do trąbki Eustachiusza, wysila się dowcipnie celem zapobieżenia tej niewygodzie. Sądzicie niezawodnie, że p. Fifrely zadawalnia się towarzyszeniem swego chrapania chrapaniu wiolonczel i kontrabasów lub że urządza się tak, aby poprostu przybyć po skończonym koncercie? Bynajmniej. P. Fifrely, mimo swe stanowisko krytyka muzycznego, jest człowiekiem b. sumiennym, i zgoła niepospolite są sposoby, których się ima, aby nic nie usłyszeć! Oto jak się bierze do rzeczy.

W chwili, kiedy flet preluduje, niby pasterka Watteau, lub kiedy głos zabierają poważne rożki, p. Fifrely, pełen życia i zalotności, zjawia się. Rzuca się ku swemu miejscu, płoszy garstkę osób, przewraca parasol, podnosi wachlarz, przygniata kilka odcisków, uderza łokciem w wystawę bujnej jakiejś niewiasty, i po tysięcznych przygodach siada na swym fotelu, pokaszując i zapiąc. Tam-tam chińskie wybija takt; p. Fifrely podnosi się, znowu siada, wyciąga się wygodnie, zdejmuje cylinder, gładzi go batystową chustką, ociera pot z czoła, trzepocze się, macha rękami, rzuca się, jak grzechotka, wykrzywia pociesznie swą postać i pochyła głowę w ukłonach, kiwa nią na prawo i lewo, jak główką sałaty.

Nie koniec na tem. P. Fifrely zupełnie nie dba o chudą śpiwaczkę, która drze się na estradzie w nieskończonych trelach. P. Fifrely pochyła się ku sąsiadce uszczęśliwiony, p. Fifrely rozprawia, płacząc Wagnera z Rossinim, szczebiocze, jak kumoszka, gada, jak sroka, skrzeczy, jak papuga; p. Fifrely wynurza się, jest wygadany, p. Fifrely plotkuje, szepce, p. Fifrely sądzi, potępia, bredzi. P. Fifrely peroruje, a gdy ostatnie arpeggia harfowe gasną, gdy skrzypkowie smyczki składają, puźoniści ślinę z trąb ścierają, p. Fifrely obraca się, znowu zawraca, uspakaja, rzucając z miną zadowoloną spojrzenie przychylnie orkiestrze, i wreszcie milknie.

IV.

KRYTYK LITERACKI.

Pan Home siada zdyszany w swym wyściełanym fotelu; p. Home wodzi kosmatą ręką po swej łysej czaszce i małemi szparkami swych oczu okrągłych spogląda na poważny stos, wznoszący się na jego pali-sandrowym stole; księgi olbrzymie i książeczki maleńkie, okładki zielone, czerwone, żółte, powieści, opowiadania i pamflety sąsiadują w malowniczym nieładzie z historyjkami, odami i bajkami: p. Home jest krytykiem literackim.

P. Home jest wściekły. Karp' przy obiedzie był za zimny i indyk spalony. A p. Home ma smak nie lada. On to zaraz pokaże. Biada tym wszystkim pismakom, poetom, humorystom, bazgraczom, kleksiarzom, którzy podpadną pod kosmatą łapę pana Home. Niema takiej winietki drastycznej, przedmowy dowcipnej, ilustracyi dwuznacznej, dedykacyi bał-

wochwalczej, która by zdolną była ułagodzić nieprzejednany brzuch pana Home. W tej chwili p. Home marzy tylko o klopsach z literatek, fryturach z powieściopisarzy, marmoladach z prozaików, dość zuchwałych, aby przypuszczać, iż on zechce ich czytać. Przedewszystkiem pan Home ma co innego do roboty; dość jeszcze znajdzie czasu do zmiażdżenia ich; teraz on chłepce swoje mleczko z wanilią i rozkłada wieczorne pisma.

Przy jakim czwartym wierszu pan Home wpada w drzemkę. Lśniące jabłko jego chwiejnej głowiny pochyla się coraz to niżej, w końcu pada śród rozpiezchłych liści na biurko palisandrowe. Teraz słyszy się tylko chrapanie pana Home, grającego romans na swej wiolonczeli, podczas gdy tik-tak zegara takt wybija: pan Home śpi sobie.

Ale nienawiść ku autorom prześladowa go i we śnie. P. Home ma jedną słabość: krytykę naukową. I w swoim koszmarze widzi nieszczęsnych pisarzy, rozłożonych na stole jego, jak podczas sekcji. P. Home bierze ofiarę za włosy, skalpuje je ostrożnie, z uśmiechem odpiłowuje czaszkę i zręcznie wydobywa mózgi. Pan Home przygląda im się, waży je i przewraca na wszystkie strony; nic przed nim ukryć nie są w stanie: p. Home wie, co kto ma w głowie. Teraz trzeba wszystko położyć na swoim miejscu: szatańska myśl rodzi się w umyśle pana Home: gdyby tak właścicieli wypróżnionych czaszek pozbawić mózgow? P. Home wpada w śmiech na taką farsę. Wtem słyszy jakiś hałas. Prędko, pochować wszystko! W zamieszaniu i pośpiechu zrzuca stos ksiąg, które z łoskotem spadają na podłogę; pan Home budzi się. Pociera powieki, ażeby rozszerzyć szparki dla swych okrągłych oczu, spogląda na zegarek, połyka resztę mleka z wanilią, stęka, pluje, kładzie szlafmycę i idzie wsunąć się pod pierzynę w oczekiwaniu jutra, kiedy zacznie to samo na nowo.

(Tłóm. L.)

Tristan Klingsor.



Okolo śmierci.

III.

I tak, z tym ciężkim, pustym, przygniatającym poglądem na świat, ludzi, na życie, na siebie samego, żyłem przez lat pięć, tłukąc się po szerokim świecie, jak Marek po piekle, szukając sobie miejsca. — Bóg wie czego — spokoju, wrażeń, zajęcia, celu, nie mogąc znaleźć nic, prócz niezadowolenia ciągłego, stałego, przerywanego tylko od czasu do czasu chwilami zapomnienia, kiedy nazbyt zmaltretowana, przygnębiona młodość, chęć życia upominały się o swoje prawa. Nie robiłem prawie nic, do dawnych zajęć naukowych nie wróciłem, moje dawne rojenia o nauce, zostały gdzieś w przeszłości wraz z latami, które przeszły i tymi, którzy pomarli. Majątek uwalniał mnie od trosk o byt materialny, od walki o egzystencję. Żyłem, coraz bardziej stając się widzem życia, obserwatorem, ale nie obojętnym przeciwnie patrzącym na nie bacznie, z niepokojem. Ostatecznie wiele ciągnęło mnie ku niemu — ale i coś trzymało zdaleka — przekonanie o jego nicości, o głupstwie tego wszystkiego, co się w życiu dzieje.

„Jammer“, „Weltschmerz“, „Spleen“ — dużo jest słów... obcych, na oznaczenie czegoś, czego ściśle określić nie można, co stanowiło i stanowić będzie zawsze pierwiastek tragizmu — wszędzie, gdzie się ów rozczyn rozejdzie. Kto go zna, temu opisów nie potrzeba: coś cięży pod pierściami, siedzi, ssie, wyciąga z duszy i ciała wszystkie soki życia, wiecznie puste, głodne; jak polip rozciąga niewidzialne ramiona po

wszystkich fibrach ciała, po wszystkich drogach i zakątkach duszy, wszędzie roznosząc głuchy, niewyraźny, gniotący ból, ciężkość wewnętrzną; warzy wszystkie uczucia w zarodku, płacze wszystkie porywy; ciało staje się mdłe, dusza smutna, beznadziejnie smutna. Coś w tem jest z jesiennego, dżdżystego dnia, z jego melancholii, mokrych szyb, miarowego łoskotu kropel deszczu, wilgotnych murów, mgły: nudy — apatycznej, chudej, wynędzniałej, która późno w noc wlecze po błocie zmoczone suknie, opadające jej z chudych, wysuszonych bioder.

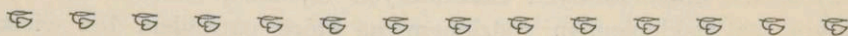
Jest to może głód szczęścia — nie ten, który ma nadzieję, szuka, walczy; nie ten, podniecający energię, który gna wilka mile całe, każe sępom krążyć po nad najwyższymi szczytami gór, który przyśpiesza oddech, zaostrza zmysły, pobudza instynkty i inteligencję do wysiłków — ale ten beznadziejny głód szczęścia, niezaspokojony, który począł już organizm trawić, przytępił zmysły, osłabił myśl, wołę, sprowadził apatyę i ból, że szczęścia znaleźć nie można ani na świecie ani w samym sobie. Myśl przeżuwa się nieustannie sama, kręcąc się około zagadnień nierozwiązalnych, pytań, bez odpowiedzi. Cała energia młodości zużywa się w tem trawieniu wewnętrznem, które wykreca wnętrze, niszczy uczucia, sprowadza bezład życiowy — wreszcie zmęczenie, wyczerpanie. Chwilami zjawiają się reakcyje, wybuchy nagłych nadziei, chwile wielkich rozmarzeń, niestety po to tylko, aby sprowadzić jeszcze głębszy ból, jeszcze większą beznadziejność.

I przypominają się te długie dni, kiedy całe życie zdaje się być ciężarem: ten [wlecze się ciągle wszędzie: nie pomogą nic, ani zmiany miejsca, ani nieba: wszędzie szaro, nudno; niesmak życia trzyma zdala od wszelkiej rozkoszy, od wszelkiego użycia. Człowiek łązi po świecie, patrząc się na wszystko osowiałym wzrokiem chorego, który już nic nie może, którego nic nie zajmuje, oprócz może jednej tylko rzeczy — jego własnej choroby. Przypominają się dni wyrzekań, długie rozmowy z przyjaciółmi, chwile zupełnego wewnętrznego bezładu, rozdarcia, rozpacz, momenty zrezygnowanej melancholii lub filozoficznego spokoju.

Jeżeli to trwa długo; jeżeli życie czemś nie porwie, jeżeli nie zjawi się w duszy zbawcza idea, która nada sens życiu, nie błysnie nadzieją szczęścia — wtedy nikt z podobnych stanów nie wychodzi bez szwanku: natury silniejsze twardnieją; kwas wewnętrzny pozostawia tylko to, co było w nich twarde, mocne, odporne; stają się może wyższe, ale tracą świeżość, zapach, młodość. Natury słabsze wypalają się w tej walce, zwyrodniają się, łamią; natury słabe podleją i giną.

Skutek ów poczułem dobrze na sobie wobec nowego wypadku

śmierci, która zabrała ostatnią ofiarę z najbliższego mego otoczenia — Julię. Patrzyłem na cały przebieg choroby i zejścia, tak jak się patrzy na jeszcze jeden fakt dobijający, potwierdzający rozpaczliwą jakąś prawdę, przeciwko której nie ma żadnej rady. Śmiercią Małgorzaty byłem zrozpaczony; śmierć ojca złamała mię. Śmierć Julii przybiła mię tylko bardziej, zmęczyła, chociaż patrzyłem na nią więcej już jako obserwator życia jako tylko na fakt, nie przynoszący z sobą w zasadzie nic nowego, potwierdzający jeszcze bardziej to, co mi dały poznać przeszłość i smutne własne doświadczenie.



Julia, jej mąż wraz z dzieckiem, tworzyli rodzinę typowo miejską ze sfery t. z. inteligencji dzisiejszej, miejskiej.

Ona nie wiele wniosła do domu takiego, co by go bardzo podnieść mogło. Julia z jej naturą skromną, bez namiętności i szerszych ambicji, rasowo przeznaczona na żonę, matkę i gospodynię domu,—biegiem czasu, po dziesięciu latach małżeństwa zmieniła się zupełnie w ciasnym obrębie swej niewielkiej rodziny, przywiązana do niej wszystkiem — do męża, do dziecka. On,— z rosnącą coraz bardziej praktyką młody lekarz, zajęty, zapracowany po za domem — w domu, przy niej był tylko ojcem i mężem — zabiegliwym, znoszącym do domu wszystko, co zdobywał na szerszym świecie. W domu u nich panowała atmosfera ciepła, ostatecznie może miła, ale duszna, zaduchem zbyt dobrze zabezpieczonego gniazda. Żyli przeważnie z sobą, znajomych mieli nie wiele, związków z szerszym życiem również nie dużo, zapatrzeni w siebie i w dziecko — ośmioletniego, wątłego chłopca, który w niczem niestety nie zapowiadał nic nadzwyczajnego.

Przywiązany byłem do Julii, ona do mnie. Niestety, było to przywiązanie wyniesione z domu rodzicielskiego, które następnie nie rozszerzyło się, nie pogłębiło, może nawet przeciwnie z czasem zmniejszyło się trochę. Z jej mężem nigdy nie byliśmy mocniej zżyci. W ostatnich czasach oboje poczęli mnie nie rozumieć, patrzeć na mnie jak na dziwaka. Przychodziłem do nich tylko tak, jak się przychodzi do rodziny: pogadać o drobnych sprawach, interesach, pobawić się z siostrzeńcem, zobaczyć, co się dzieje — a nie zaś jak do przyjaciela, któremu można powiedzieć wszystko.

Julia, która zawsze względem mnie była trochę matką, naturalnie rozpytywała się mnie o to, co mi jest, chciała mię pocieszyć: całowałem ją w rękę i prosiłem, aby mi dała pokój.

— No tak, ja wiem, ja cię nie rozumiem, ty masz swoje myśli—ja jestem kobieta — mówiła, trąc sobie czoło, zmartwiona — to też ja się nie o to chciaam pytać, a tylko, co ci jest — może ci co pomoże, jesteś sam i mnie to przykro, kiedy o tobie myślę.

Prosiłem ją, żeby się nie martwiła, bo nic nie zmieni, że sam sobie jakoś poradzę.

Stosunek nasz — z nią i z jej mężem — był ciepły, ale dla mnie ich życie nie miało żadnych zasadniczych tajemnic, znałem ich całych, z całym ich zasklepieniem rodzinnem, na które patrzyłem bez wielkiej sympatii. Oni czuli we mnie jakiś świat odrębny, ale do którego dostępu nie mieli. Gdyby nie byli rodziną, nigdy ani ja z nimi, ani oni ze mną, nie żylibyśmy bliżej, tak mało było między nami wspólnego: przeciwnie różnice były tak duże, że zjawily by się antagonizmy może nawet antypatye; ja byłbym dla nich dziwakiem, oni dla mnie zwykłymi ludźmi, którzy żyją egoistycznym życiem zajętej sobą pary—bezmyślnem, płytkiem w gruncie rzeczy. Ale życie nie postawiło nasz sobą w kolizyi, a dawne wspomnienia i stare sympatje zbliżały i trzymały mocniej, chociaż przy pomocy związków, sięgających nie głęboko.

Julia miała trzydzieści dwa lata. Nie wyglądało młodziej ani staro: jej nikłe rysy blondynki, temperament spokojny, jasna zrównoważona natura nie pozwalały czasowi i wypadkom pozostawić na niej zbyt wiele śladów. Nie wyglądała nigdy kwitnąco — nawet jako panna; jej śniadawa cera przy włosach blond nie zbyt równa, matowość ust, lekki cień w oczach zawsze odbierały jej świeżość, chociaż na ogół była zdrowa, nie skarżyła się nigdy na nic. Dzieci przyszły na świat lekko bez żadnych komplikacyi. Po śmierci młodszego chłopca wyglądała najgorzej. Ale następnie poprawiła się i w ostatnich czasach, kiedy ją widziałem, przed moim wyjazdem zagranicę, wyglądała dobrze. Mąż jej dostał niespodziewanie jakiś dosyć duży spadek — oboje byli bardzo kontenci, robili projekty; ja nie bardzo przyjmowałem w nich udziału, bo nie miały nic sympatycznego w sobie. Skutkiem tego pożegnanie było chłodniejsze niż zwykle. Oboje, szczególnie on, mieli do mnie trochę pretensyi za to, że stosunki nasze nie mogły się zacieśnić.

— Gdyby cię tam zagranicą jaka złapała, a dobrze — to było by najlepsze lekarstwo dla ciebie — rzekła mi Julia na pożegnanie, a mąż

ej z uśmiechem kiwał głową, pokazując swoje duże, gładkie, zdrowe zęby.

W parę miesięcy po tem list szwagra donosił mi, że Julia ma być matką.

— Trzydzieści dwa lata? Nie, jej nie będzie, nie jest panną — pomyślałem odkładając list. Pozwolili sobie na dziecko — to zapewne skutek owego spadku.

W parę tygodni po tem przyszedł list drugi: z niewiadomych na razie przyczyn nastąpiło poronienie. Julia bardzo osłabiona, leży. W następnym liście mąż zawiadamia mię, że Julia ma się trochę lepiej, ale że konieczny jest wyjazd do wód; prosi mię, abym zjechał się z siostrą na czas kuracyi, jeżeli nie będę miał nic ważnego do roboty.

Siedziałem wtedy w Berlinie, zajmowałem się trochę matematyką, ale więcej wóczyłem się po teatrach, knajpach, prowadząc życie cygańskie w towarzystwie odpowiedniemi, zabijając czas w literalnem prawie tego słowa znaczeniu. Życie to nie dawało mi nic. Zbliżały się wakacje. Bardzo łatwo zdecydowałem się spędzić jeden sezon gdzieś w jakiejś miejscowości kąpielowej, przy siostrze. Miałem rozklekotane nerwy — zresztą nieokreślona nadzieja, że jednak coś, gdzieś w życiu znaleźć się jeszcze może, przerzucały mię łatwo z miejsca na miejsce w coraz to nowe warunki i otoczenia. Knajp, berlińskiego cygaństwa miałem dosyć. Kiedy dowiedziałem się z listu, że Julię wysyłają do Nicei, ni z tego ni z owego wstąpiła we mnie jakaś otucha, przesunęła się przed oczami jakaś figura kobieca — wspomnienie, prędeż marzenie, odezwanie się niespełnionych pragnień życia.

Julia z mężem zatrzymali się w Berlinie. Niby dla wypoczynku, ale właściwie głównie dla porady u znakomitości berlińskich, bo w Warszawie o długotrwałem osłabieniu chorej nic stanowczego powiedzieć nie umiano. Julia wyglądała mizernie, starała trzymać się, ale chodziła z trudnością. W twarzy jej uderzył mię niewyraźny, tajony wyraz niepokoju, złych przeczuć, instynktownego poczucia, że się w niej coś dzieje, co dla doktorów nie jest jasne, ale dla niej jest, chociaż do tego ani sama przed sobą, ani przed nikim przyznać by się nie mogła. Szczególnie krótkie, dotychczas u niej nie znane mi, badawcze, niespokojne spojrzenia, które czasami zwracała na mnie, uderzyły mię przykro. Starałem się nie widzieć ich. Ale ona spostrzegła to i raz rzekła kiwając głową, kiedyśmy byli sami:

— Zdaje mi się, że muszę być bardzo chora.

Przecucia kobiece, takich natur jak Julia, są tak okropnie pewne!

Doktorzy berlińscy uznali jako przyczynę poronienia i choroby — krótko: raka i operację za konieczną. I odtąd zaczęła się historia cierpień kobiety, na które patrzyłem. I nie pamiętam przedtem ani potem takiego okresu, w którym nad czemkolwiek bądź myślałbym z taką zaciekłością, jak wtedy nad banalnym pytaniem, jaki sens w naturze, wogóle, mają, mogą mieć podobne cierpienia — a właściwie cierpienia takiej pojedynczej, biednej kobiety, która nikomu nic nie zawiniła, zjawiała się na świat bez własnej woli, robiła wszystko, co jej kazano, szła wiernie za instynktami, włożonemi w nią przez naturę, spełniła wszystko uczciwie, co do niej należało i w trzydziestym roku życia, matce i żonie, dano jej za to wstrętą chorobę. Gdyby była złą — można by to wytłumaczyć jakąś karą, zemstą natury. Ale ona?

Już nie pamiętam pięć czy sześć razy wciągu niespełna roku robiono jej wielkie operacje, które nic nie pomogły; rak wreszcie ukazał się na piersi. Odcięto jej piers. Rany goiły się się prędko, z wpływów krwi poprawiała się łatwo. Niestety, złośliwy nowotwór po każdej operacji powracał. Przed ostatnią doktorzy namyślali się, czy ją robić czy nie, ale Julia, słaba już, wycieńczona, prosiła ich ze łzami, aby jeszcze spróbować. Tłumaczył im, że jeżeli ma umrzeć, to jest jej wszystko jedno, czy z choroby czy z operacji.

Chciała żyć, bardzo chciała. Nigdy nie zapomnę jej spojrzeń, kiedy poczęła tracić nadzieję, że żyć będzie. Początkowo miała tylko złe przecucia — chociaż nie wiedziała, że jej choroba, to rak. Wmówiono jej jakąś, inną; ale kiedy wystąpił jej na piersi, poznała się na nim sama.

— Wiesz, to ja mam raka, rzekła raz rano, witając mnie — a więc nic ze mnie już nie będzie.

Musiała myśleć nad tem przez noc całą. Jaka to była noc dla niej? Nie mam o tem żadnego wyobrażenia — a na samą myśl, że mógłbym coś podobnego odczuć, robi mi się zimno.

Przez dziwną złośliwość losu właśnie Julia musiała mieć raka tam, ona, która już jako mężatka starsza rumieniła się na najmniejsze zatrącenie jakiegoś tematu drastycznego, wstydliva do śmieszności, która kiedyś rozplakała się jak dziecko, kiedy mąż wspomniiał jej, że przy pierwszym porodzie będzie asystował doktor — mężczyzna. Nie chciała się zgodzić za nic ani przy drugim porodzie. I teraz musiała znieść konsylium, a następnie chorobę, o której mówić nie można było. Nie pamiętam, aby mi kiedy wyraźnie coś o tem powiedziała, nawet wtedy, kiedy już zniosła kilka operacji, po kilku miesiącach choroby. W pierw-

szych czasach przyjmowała odwiedzających tak, jak gdyby na niej jakiś zarzut ciążył, jak gdyby choroba była jej występkiem. Rumieniła, się, spuszczała oczy, gdy ją pytano o zdrowie; każde odwiedziny lekarza kosztowały ją: musiano to robić w tajemnicy. A potem, po operacji, piersi zjawiła się nowa troska, o której musiała myśleć często i dawniej, kiedy jeszcze miała nadzieję wyzdrowienia. Obawiała się, że będzie dla męża wstrętną, że miłość, szczęście małżeńskie przepadnie, że mąż jej nie będzie się czuł szczęśliwy, przywiązany na zawsze do kaleki.

— Nie tłumacz się, ja wiem, ale ja umrę — odpowiedziała mu.

Patrząc na nią, niestety, zdobyłem jeden fakt w swoim smutnym doświadczeniu. Widziałem, jak mało miejsca u takich ludzi jak Julia, zajmowała troska o sam fakt śmierci o to, co się z nią „tam“ stanie. Julia nigdy z usposobienia nie była mistyczką, nie żyła wiele myślą i wyobraźnią. Dla niej „tam“ było to, w co jej wierzyć kazano. Nie rozbrajała tego, nie rozmyślała jak „tam“ być może. Później, pod wpływem męża — zwyczajnego indyferenta w rzeczach wiary — oraz współczesnego otoczenia, w wierzenia owe wkradły się różne powierzchowne wątpliwości, które ukazały się, w nowym dla niej, stosunku do dziecka. Mały rozpytywał się o niebo, o piekło, dyabłów, aniołów, świętych — matka opowiadała mu, objaśniała go, ale trochę tak, jak gdyby opowiadała mu bajki. Gdyby się jej zapytano wtedy, czy w nie wierzy, na pewno nie wiedziała by, co odpowiedzieć. Gdy mały jej synek, wrażliwe, delikatne dziecko, zbyt przejmował się tymi historyjami, uspokajała go, siejąc w nim wątpliwość. Kiedy raz ktoś — jakiś jego „kolega“ powiedział mu, że jest głupi, bo się boi dyabła — i stało się to przy matce. Julia zarumieniła się niezadowolona. Nie chciała, aby syn jej wierzył zbyt naiwnie w to wszystko, co mu ona opowiadała.

Duma matki wzięła górę po nad wiarą. Wiem, że później, — nadto pod wpływem męża, który syna chował na racjonalistę, — powstrzymywała się od podobnych opowiadań i na zapytania syna odpowiadała zwykle:

— Nie wiem, mój kochany, tego rozbrajać nie można — jak będziesz starszy, to sam się dowiesz wszystkiego.

Po za tem, wciągu życia, mało ją interesowała zagadka po za grobem; nie więcej wobec zbliżającej się śmierci. Co się z nią stanie, o tem na pewno nie myślała wiele w czasie bezsennych nocy podczas choroby.

Ale za to samo *rozstanie* z życiem, było dla nie bardzo ciężkie.

Zaraz z samego początku, jak tylko przeczuła niebezpieczeństwo,

było to pierwszą jej myślą: rozstanie i troska o to, co się stanie z tymi, których zostawi. Myśl, że zostaną sami, bez niej; że przed jej małym synkiem roztwiera się cała przyszłość, że mąż jej będzie żył dalej, że obaj pójdą przez życie bez niej, a ona w niem udziału nie weźmie — męczyła ją ciągle pod rozmaitemi postaciami.

Tak widocznie chciała wiedzieć co będzie, znać ową przyszłość, której doczekać nie miała, zbliżyć ją, dobrze upewnić się o niej, przeżyć ją, przebyć chociaż w wyobraźni, odejść z tym złudzeniem, że wszystko tak się stanie, jak gdyby się z nią stało, jak gdyby dalej żyła.

Nie raz przywoływała mię do siebie.

— Usiądź, porozmawiamy, nie nudzisz się ze mną? — mówiła, biorąc mię za rękę. — Ja, widzisz, tak bym chciała wiedzieć wszystko, co się z wami stanie.

Wypytywała mię, co ja robić będę w życiu.

— Ożenisz się prędzej czy później, będziesz żył z żoną, będziecie mieli dzieci.

Radziła mi koniecznie, abym się ożenił.

— Sam nie wytrzymasz długo bez nikogo, mówiła, namysławiając się, jak gdyby patrzyła w siebie, albo myślała o tem, że ona jakoś będzie sama „tam“.

Mężowi radziła także, aby się ożenił drugi raz. Kiedy on i ja upewnialiśmy ją, że nie mamy zamiaru żenić się ani on po raz drugi, ani ja po raz pierwszy, była bardzo zadowolona:

— W takim razie obaj wychowacie mi mojego syna, kończyła i lży ciężkie wzbierały jej w oczach.

Wiele razy wracała do tego tego tematu, co raz poważniej, co raz więcej uporczywie. Dawała rady, wyrażała życzenia, jak ma być chowany jej syn. A zawsze pytania kończyły się jednym:

— Co wy będziecie robić beze mnie!

Przygotowywała się na śmierć z drobiazgową starannością, aby wszystko urządzić, wszystko zostawić w porządku, nam nie przysporzyć nic, żadnego kłopotu. Może to był jej sposób zabijania swych własnych myśli o sobie myślami o innych, bo pod koniec ciągle miała jakieś interesy do nas, do służby; wybrała sobie nawet bieliznę i suknie.

— W tem mię pochowacie — mówiła, jak gdyby wydawała dyspozycję jako pani domu i gospodyni.

Synka swego trzymała ciągle przy sobie na długich rozmowach. Co się w niej działo — trudno to powiedzieć. Ale rozstawać się z wszystkim, czem żyła, było ogromnie ciężko. Śmierć sama nic nie przerażała

jej. Sprawy pozagrobowe wystarczająco rozwiązała i zasłaniała jej religija. Nie myślała o nich, bo o tem za nią pomyślano, a ona tylko przyjęła to, wiedząc.

Ale życie, skomplikowana wikłanina spraw i stosunków ludzkich, świat pełen ludzi, walki — ten ją straszył, był dla niej niebezpieczną przyszłością, której pozostawiała tych, do których była najwięcej przywiązana.

W połowie czerwca, w gorący, słoneczny dzień odwieziono ją na miejsce spoczynku. Stałem przed kościołem, oczekując na rozpoczęcie obrzędu. Z ogrodu pokapucyńskiego na Miodowej wychylały się na ulicę kwitnące akacje, w ciszy kościelnego ganku słychać było zawzięte ćwierkanie młodych wróbli, które ćwiczyły głosy, próbując skrzydeł.

Na ulicy panował ruch, tysiące ludzi przesuwało się przedemną w codziennej ruchawce życia; jeden człowiek ubył — jakaś młoda kobieta Julia Ławicka lat trzydzieści trzy, mężatka, pozostawiła męża i syna? Zwyczajna rzecz. Codziennie kilkanaście podobnych konduktów żałobnych przeciąga przez najruchliwsze dzielnice: krzyż, kilku księży, naprzód, karawan takiej i takiej klasy, trumna ubrana kwiatami, ciemna dla mężczyzn i starszych kobiet, jasna dla młodych kobiet i dzieci wieńce z napisami, rodzina, grupa przyjaciół, znajomych, mniej lub więcej długi szereg karet i powozów. To się nazywa „pogrzeb“. Rzadko komu przyjdzie do głowy, że tam na wysokim wozie leżą szczątki człowieka. Ten i ten — Julia Ławicka, Jan, Piotr, Paweł — umarł — to jest jego pogrzeb. Jego osoby jak gdyby nie było. Tylko najbliższa rodzina wie, co się stało — naturalnie jeżeli wie, co się właściwie stało. Najczęściej jest tylko smutna i płacze.

Wróciłem z pogrzebu ze szwagrem, odprowadziłem go do domu, przyjrzałem się pustce, którą umarła po sobie pozostawiła, widziałem strapioną minę świeżego wdowca, pytające, zdziwione spojrzenia małego chłopca, który nie mógł się zorientować, co zrobiono z jego matką, co się z nią stało? On jeden może miał naturalny, czysty pogląd na całą tę historię... bo jej nic nie rozumiał. I ja także. Dla wszystkich była ona smutna ale naturalna, zwyczajna — nawet zroszumiała, zupełnie zroszumiała.

— Nie można żyć wiecznie. Kto się urodził, musi umrzeć..! to trudno!



Pomimo to wszystko wkrótce po tem życie wciągnęło mię w swoje tryby. Co to pomoże: człowiek albo się wynosi z tego świata, albo decyduje się żyć i — żyje. A wtedy musi podlegać wszystkim zwykłym konsekwencyom życia, chociażby nie wiem jak bardzo uważał je za mizerne, głupie. Miłość i obawa śmierci — odwieczne siły, które pchają ludzi naprzód, wciągają do życia nowe istoty — pomimo mej woli zabrały mię ze sobą. Tak blisko i tak dobrze przyjrzałem się temu, na czem się życie kończy i pomimo tego rozpocząłem je na nowo! Włóczęcąc się bez celu po zagranicy poznałem tę, która od razu zapełniła sobą całą moją pustkę, zasłoniwszy resztę jakąś przyszłością, która się otworzyła przedemną. Gdyby życie było gorsze, gdyby było sto razy gorsze niż mi się przedstawiało — jeszcze zdecydował bym się żyć, aby żyć z nią, przy niej.

Ożeniłem się.

Dziś mam lat czterdzieści pięć, troje dzieci — najstarsze dziesięcioletnie — dom, stosunki, pracę, żonę. Żyję, jestem zajęty, załatwiam rozmaite sprawy, cudze, swoje, administruję majątkiem, przyjmuję udział w życiu publicznem, jestem czasami tak zajęty, że brak mi czasu na sen, na jedzenie. Robię pozornie to, co robią massy innych — jestem najzwyczajniejszym człowiekiem i moja historia najzwyczajniejszą pod słońcem. Ludzie uważają mię za szczęśliwego — może nim jestem; przyznają mi bardzo dużo zalet — może je mam; mają za człowieka zasad określonych, zrównoważonego, który wie dokąd dąży — zapewne takim się wydaję, skoro uważają mię za takiego.

Ja sam widzę, że w życiu, w sprawach życiowych, w wielu rzeczach mam wiele wyższości ponad innymi, chociaż ich nawet dobrze określić nie potrafię. Ale widać je w praktyce, w tem co robię.

A jednak czuję, że mię tylko coś pcha, że ja jestem narzędziem ślepym, że coś robię, że nie jedno zrobię nawet dobrze, ale zawsze tak jak gdybym robił to nie ja a jakiś inny.

Ja zaś tego wszystkiego w gruncie rzeczy nie rozumiem wcale. Żyję, bo jestem przy życiu; pracuję, działam, myślę, mówię — no, bo to są konsekwencye tego, że żyję. Kiedy zapomnę o drugim „ja“, i pograżę się w wir spraw życiowych, zdaje mi się czasami aż do naiwności, że wszystko dobre jest dobre, wszystko złe jest do poprawienia, że po za tem, co jest, już nic więcej nie ma, że wszystko zamyka się w złem i dobrem bieżącej chwili, która toczy się naprzód a ja z nią, zajęty, zaabsorbowany nią w zupełności. Kiedy nie sięgam daleko w przyszłość ani nie oglądam się zbyt po za siebie, nie zastanawiam się nad

bieżącą chwilą, wszystko przedstawia się nie źle — stosunkowo tak, jak każdemu przeciętnemu człowiekowi, który dużo żyje, bardzo jest życiem zajęty, nie zwraca sobie głowy zagadkami bytu albo ma je raz ne zawsze rozwiązane przez wiarę lub formułę jakiejś wystarczającej mu filozofji.

Ja zaś nie mam ani wiary ani wystarczającej filozofji.

I czasami siedzę w swoim gabinecie późno w noc. Znacie tę ciszę, która poczyna wtedy otaczać — jakaś żywa, wymowna. Lampa płonie, porozrzucane papiery błyszczą się w złotawem świetle, reszta pokoju w cieniu. Za oknem stały, oddalony, lekki szmer miasta; zegar wybija takt czasu. W mieszkaniu cisza — wszyscy śpią, ja tylko sam siedzę i czasami zdaje mi się, że wszystko naraz nagle mię odpadło, że jestem sam na sam z sobą, wyrzucony za obręb bieżącego życia, jego spraw, ludzi, wszystkiego. Przeszłość poczyna odzywać się, poczyna się przypominać: i wtedy ja, moje położenie w zwyczajnem, najprostszem, najpospolitszém życiu poczyna się przedstawiać jasno — okropnie jasno.

Nic nie wiem, niczego nie jestem pewny. Z po za obrębu tego, co zwyczajnie życiem nazywamy, wieje jakiś pusty chłód, wyziera jakaś ciemność. Pytania cisną się, pozostają bez odpowiedzi. Patrę się i widzę, że naokoło małej wyspy znanego jest przepaść, odmęt, dreszcz mię przechodzi, otrząsam się i wracam do codziennych spraw, łudząc się, że one są wszystkim, że zaś owa próżnia, pustka, — wytworem zdernerwowanego umysłu; mój lęk — dziecinnym strachem a niewiedza — próżnem łamaniem sobie głowy nad czemś, co w życiu nie ma żadnego znaczenia.

A jednak ma. Chwilami, w biały dzień, wśród życia, zjawia się. I wtedy nagle potykam się na najrówniejszej drodze, staję wobec najprostszyczych rzeczy, jak gdybym nagle spostrzegł, że błędę fatalnie, że stoję na kładce, przerzuconej nad przepaścią. To głupie — i zarazem poważne: głupie dla tego, że tem się nikt nie zajmuje, a poważne, bo się tem wszyscy zajmować powinni, bo zdanie sobie sprawy, czem jest życie, czem jesteśmy, jaka tajemnica kryje się w śmierci — jest sprawą, od której właściwie wszystko — całe świadome nasze życie zależy.

Moja żona jest kobietą rozsądną, ale rozsądną tak jak typowa kobieta rozsądną być może, opierając się silnie na pierwotnych ludzkich instynktach, przysłoniętych tylko kulturą i ponazywanych inaczej — łagodnie, jeżeli zbyt rażą pierwotnością. Przywiązana do dzieci, do mnie — bardzo mi wierzy, ma niezachwiane niczem we mnie zaufanie. Jest to

bardzo piękna, wysoka, ciemnooka, trzydziestoletnia kobieta, poważna, wierząca w życie rzeczywiste, aż do naiwności, chociaż naturalnie, naiwność jej ja tylko widzę. Ma przekonanie, że wszystko jest takim jakim je ona i ludzie widzą i czują. Bardzo rozsądnie myśli i mówi, kiedy chodzi o zwykłe ludzkie sprawy, o samych ludzi. Jest bardzo sprawiedliwa, wyrozumiała, drobnych kobiecych wad prawie nie ma. Doskonała towarzyska życia, dobry przyjaciel i kochanka, że trudno sobie lepiej wymyśleć. Ona jest źródłem życia, które mię mimo mej woli porwało, wśród którego płynę. Ona jest matką, ona stworzyła dom, rodzinę. Przy niej moje wątpliwości kurczą się — patrząc na nią, nie chce mi się wierzyć, aby nie było jakiegoś ukrytego sensu w życiu, które wydaje takie istoty, tak stworzone do jego podtrzymania, rozwoju, tak pewne wszystkiego, co w nie włożyła natura: instynktów, poczuc, pragnień, celów.

Najstarszy chłopiec ma lat ośm. Naturalnie kocham go, śledzę jego rozwój, zajmuję się nim — jest on tematem częstym rozmów między mną a żoną. Ona myśli o jego przyszłości, ja również. Żona skrzętnie wyszukuje w nim zdolności. W ostatnich czasach stanowczo zdecydowała, że ma rodzinne zdolności do matematyki. Zdaje się, że ma rację — ja także to zauważyłem. Zaczęła na seryo zastanawiać się, do jakich go szkół oddać — do realnych czy filologicznych. Było to wieczorem, miała już iść spać, była tylko w nocnym kaftaniku i spódnicy. Siedziałem w fotelu ona na poręczy pół siedząc pół stojąc. Mówiłem, rozbierając szanse przyszłe mego syna i czułem, że w trakcie mówienia — niby podkład, niby druga mowa wewnętrzna — zjawiają się wspomnienia przeszłości: szereg śmierci i sięgają w przyszłość; moja towarzyska ani przypuszcza, jakich okropnych towarzyszy z za grobu mają jej spokojne, rozsądne myśli o przyszłości jej dziecka. Ją zajmuje troska o jego zdolności, o najwłaściwsze ich wyzyskanie w życiu. A mnie?

Mnie przypomina się ojciec, Małgorzata, Julia, gdy byli dziećmi; ja sam, moje i ich myśli, rojenia o przyszłości stają mi przed oczyma. Jak się to wszystko skończyło? Przypominają się ich groby, pustka, która po nich została.

I wtedy płaczę się, rwie mi się wątek myśli, moja żona zagląda mi w oczy pytająco, zdziwiona, zaniepokojona zachowaniem się: fatalnem „nie wiem“, które mi się wtedy wyrzywa mimowoli, wypływa z dna duszy i ukazuje się niespodziewanie na jej powierzchni.

Rzecz to nie dziwna, przeciwnie pospolita: ja w mojej żonie kocham

przedewszystkiem właśnie ową nieświadomą, prostą, spokojną, pewność życiową. Jest ona dla mnie „faktem“ w porównaniu do moich niepewności, które wydają mi się mrzonkami, fantasmagoryą filozoficznego umysłu, znałogowanego w kierunku, aby wszystko rozumieć, aby wszystko przedstawiało się logicznie—tak jasno, jak dwa razy dwa cztery. Wiem, że ona ceni mnie, poważa, lubi za wiele rzeczy. Ale „kocha“ za jedno, bo czuje, chociaż nie rozumie, właśnie ową niepewność życiową; czuje, że we mnie zawsze coś się zapada, że pomimo pozarów równowagi, spokoju, rozsądku etc. etc. jestem człowiekiem, który właściwie nie ma w sobie oparcia, podstawy, że pomimo niechwiejności charakteru, jestem często chwiejny i niezdecydowany.

— Ty zawsze w najważniejszych rzeczach nic nie wiesz — mówiła później, patrząc się na mnie. Chodziło o przyszłość syna; ja mówiłem z nią o tem, mówiłem dwie godziny — tak, będzie inżynierem, realistą, ma zdolności do matematyki, może być wielkim matematykiem. Przeżyje życie, przejdzie te koleje, które przejdzie, które przejść będzie musiał, zużytkuje swoje przyrodzone zdolności, czy nie; będzie szczęśliwy, czy nieszczęśliwy, uszczęśliwi kogo czy nikogo; co z nim będzie? jak ma żyć? — jak go kierować, dokąd, do czego sposobić, na co? Będzie czymś alko niczym — i skończy tak, jak inni po pewnej ilości lat — to go w żadnym razie nie minie. Czym być powinien?

To inna sprawa! Gdybym wiedział czym jest człowiek, wiedziałbym na pewno, jakim powinien by być mój syn. A tak? Kocham go — ale będzie takim, jakim będzie.



Tak — dosyć dużo dziś takich ludzi, jak ja, żyje na świecie i będzie ich co raz więcej: żyjemy zażarcie, trzymamy się życia oburącz, prowadzimy o nie walkę ze wszystkimi i ze wszystkim, biorąc go seryo, tak jak gdybyśmy doskonale wiedzieli, dokąd nas wszystkich prowadzą drogi życia. Mamy swoje ideały, dążenia polityczne, swoje creda w sztuce, nauce, w życiu; życie siedzi nam na karku albo my na niem; jedziemy, wybierając szlaki jaśniejsze, odwracając się od cieniów, Zdaje się, że jesteśmy najzupełniej pewni swego, silni, energiczni, zdecydowani w życiu; życie gna nas, nie ma czasu na teorię: następuje chwila—czyn musi być wykonany; wykonywamy go, nadbiega chwila następna—

znowu czyn: *w życiu*, wyglądamy na ludzi, w których wątpliwości nie ma, jest pewność w negacyi, w smutku, w rozpacz; jesteśmy pewni, że jest źle, że jesteśmy nieszczęśliwi, że my lub inni winni są czemuś, co nas lub innych dotyczy: życie nie pozwala utworzyć się w nas pełnej próżni.

A jednak w każdym takim na dnie jest próżnia. Nosimy ją z sobą, jeden świadomiej, inny mniej; odstania się ona chwilami, ukazuje się jak ciężki, gnębiący upiór, tym częściej im bliżej jesteśmy kresu życia, im częściej oglądamy się w przeszłość, im więcej jej znamy, im bardziej zbliża się ów moment krytyczny, w którym zagadka życia najaśniej się przedstawia: moment przerywania dni i skończenia się życia w śmierci.

Tam przedewszystkiem czegoś brak, Wszystkie religje opierają się głównie na rozwiązaniu zagadki śmierci, na obezwładnieniu jej siły, na zwycięstwie nad nią, nadając w ten sposób przewagę życiu, dając mu cel, sens, przedłużając je tak lub owak po za granice znikomego, doczesnego istnienia. „Wierzymy“ dziś, że „tam“, nic nie ma. Ale w to wierzyć się nam nie chce. Nie możemy jakoś pogodzić się z tym, aby wszystko, cokolwiek umysł nas objąć może, miało swoje nieskończone istnienie: materya, energja swoją niezniszczalność, świat swoją nieskończoność, wszyscy swą wieczność: aby tylko jeden człowiek wyjętym był z pod tego ogólnego prawa, miał się zaczynać tak bez sensu i kończyć tak głupio.....

F. Jabłczyński.

K O N I E C.

Styl polski.

(W obronie „Zakopiańszczyzny“
jako stylu „polskiego“).

I.

Po długotrwałej epoce powszechnych entuzjastycznych zachwytów społeczeństwa polskiego nad „zakopiańszczyzną“, przyjmującego ją bez zastrzeżeń za jedyne źródło stylu swojskiego, nastąpiła chwila jakby przełomu, ujawniająca się od roku zeszłego w coraz częstszych i coraz bardziej sceptycznych głosach, które przedostały się już nawet na szpalty prasy polskiej

Z jednej strony na taką zmianę wpłynął nowy kierunek, pragnący w stylu „polskim“ zjednoczyć wszystkie pierwiastki artystyczne, tkwiące w ludzie całego kraju, z drugiej zaś dążność do rozwinięcia w „styl“ samostny pierwiastków piękna zdobniczego pojedynczych części tegoż kraju, jak naprz. ziemi krakowskiej, kujawskiej i t. p.

O ile pierwszy zwrot w idei stylu swojskiego przedstawia się jako plan wspaniale i szeroko zakreślony, jakkolwiek w każdym razie co do możliwości swego urzeczywistnienia się jeszcze podlegający dyskusji, o tyle aspiracje drugiego rodzaju nazwałoby można „prowincjonalną“ utopią, podsuwającą myśli w rodzaju: „Zakopiańszczyzna — dla Podhala! My musimy mieć coś swego, coś wyłącznie swego!“, które też wieńczy taki „styl“ (!) „kujawsko-mazurski“, o którym pomówimy obszerniej w dalszym ciągu.

W znacznej jednak mierze przyczyną tego zniechęcenia do zakopiańszczyzny, obok do pewnego stopnia znudzenia się, czy też przesytu nią i pragnienia dla oka czegoś zupełnie nowego, jest jeszcze brak u szerszego ogółu znajomości „źródeł“ stylu zakopiańskiego. Z tego też powodu tu i owdzie rozlega się zaczęły wołania o „narzucaniu“ polakom tego stylu, o agitacji, do tego celu zdążającej, i reklamie.

Wszyscy, komu sprawa stylu zakopiańskiego, jako „polskiego“, leży na sercu, radować się winni z tej nagłej zmiany dotychczasowego bezmyślnego uwielbienia dla wszystkiego, na czem tylko znalazła miejsce szarotka, lub głowa Sabały, na obecną chwilę sceptycyzmu. Chwila ta bynajmniej nie jest zdolną do stłumienia dalszego rozkwitu stylu, spoczywającego na podwalinach niezachwianie ustalonych, lecz przeciwnie dopomoże do gruntowniejszego i bardziej krytycznego z tym stylem zapoznania się i głębokiego zakorzenienia się jego idei. Dlatego też szczerą wdzięczność należy się każdemu, kto gwoli szczytnego pragnienia przysłużenia się dobrej sprawie swe wątpliwości w tym względzie ogłasza.

Najbardziej zdecydowanym głosem, usiłującym zwańczyć styl „zakopiański“ jako „polski“, jest głos poety Czesława Jankowskiego w artykule p. t. „*Tak zwany styl polski*“ („*Kraj*“ 1902 r. №№ 32 i 33).

Ustępy artykułów, w których p. J. wypowiada „osobiste“ zapatrywania na wartość stylu zakopiańskiego pod względem artystycznym, mógłbym w myśl przysłowia o gustach: „jeden córę wielbi — drugi macierz woli“ pominąć milczeniem, lecz ze względu na ich oryginalność nie mogę się powstrzymać, by tu nie powtórzyć.

„Podobnie jak wielcy romantycy nasi zwrócili się po motywy dla pieśni swojej do skarbnicy ludu, do „arki przymierza“ pieśni gminnej, podobnie jak wielki Chopin sięgnął po proste melodye pieśni ludowej, tak też oto zdobniczy artyzm nasz odrodzi się, mało powiedzieć: odrodzi się — urodzi się w tej kąpieli prostych motywów ornamentacyjnych niedocenionych górali tatrzańskich. Zakopiańskie niepokażne pazdury, ząbce i recice, na które nikt spojrzeć nie raczył, praszczurami staną się przyszłych *czystopolskich*, a podziw świata budzących wieżyc, portyków, kandelabrow, szaf i komód!“ — dowcipkuje p. J. Mówiąc nawiasem, dowcip o powstaniu z „pazdurów“, „ząbców“ i „recic“ przyszłych polskich wieżyc, portyków, kandelabrow, szaf i komód — wypadł niefortunnie, jakkolwiek bowiem z „pazdura“ fantazja artysty może stworzyć wieżę i świeczniki a może nawet i portyk, to już z „ząbców“, będących ornamentem w postaci naciętego wklęsłego trójkąta, i z „recicy“, również środka ornamentacyjnego — wklęsłych, krzyżujących się z sobą linii — trudno uwierzyć, by ktoś zdołał stworzyć szafę lub komodę. Czytelnik, nieznający nomenklatury stylu zakop., może z łatwością być w błąd wprowadzonym przez niewłaściwe i jedynie jako cel uświęcający środek jej używanie.

A więc — ironizuje dalej p. J. — „jesteśmy na dobrej drodze do zbogacenia ogólnego dobra ludzkości. Świat przesycony renesansami, gotykami, barokami, empire'ami, otrzyma z rąk naszych nowy, świetny styl, styl zakopiański *vel* polski. Ludzkość, znająca jedynie rytm muzyczny polski, *alla polacca*, tańczyć będzie poloneza pod pułapami w polskim stylu, na parkietach, mozaikowanych misternie w zakopiańskie limby i paprocie. Gmachy i chałupy, hen, po tamtej stronie oceanu zaroją się sprzętami w „polskim stylu“. Ale tu p. J. zmienia swój styl wesołego chochlika na bardziej właściwy artykułowi, poświęconemu tak ważnej dla nas sprawie, jak styl „swojski“, i zapewnia, że „*melodye ludowe, pieśni gminne — to bynajmniej nie koszlawe dłubanie kozikiem, lub pędzlowanie na lewo i prawo*“.

Doprawdy, nie mogę dosyć się nadziwić, że ustęp powyższy wyszedł z pod pióra poety a więc artysty. Lud każdy zarówno baśń, jak melodyę, tak i sztukę czerpie tylko z jednego jedyne go źródła — ze swej duszy, w której skupia się wszystko, co tylko z „pięknem“ ma wspólnego. Że zaś przez „piękno“ rozumiemy zarówno harmonię słowa, linii, barw jak i dźwięków, przeto zrozumieć trudno, ażeby ten sam lud, którego piosenki stały się krynicą dla utworów Chopina, Moniuszki, Noskowskiego i t. p., z którego baśni tworzyły się arcydzieła doby romantycznej, żeby ten sam lud był zupełnie nieczułym na piękno plastyczne, więcej jeszcze dostępne dla niego, bo wzrokowe, dotykalne. Jak melodya jest jednym z odruchów potrzeb i stanu duchowego ludu, tak i zdobnictwo jest odruchem tejże duchowości, jedno wyrażającej się innymi środkami. Pieśń ludowa, przefiltrowana przez geniusz Chopina czy Moniuszki, bynajmniej się niezmieniła w niczem; pierwiastek duchowy i narodowy pozostał ten sam, stał się tylko bardziej jednolitym, rozwinął się wspanialej, spotężniał i stał się bogactwem muzyki całego świata. Również i sztuka ludowa, owe, według p. J., „koszlawe dłubanie kozikiem, lub pędzlowanie na lewo i prawo“, oczekuje na swego Chopina, który by mocą swego geniuszu stworzył całość jednolitą. Może być mowa li tylko o stronie technicznej odtwarzania piękna plastycznego, o wyłącznie mechanicznym procesie „dłubania kozikiem“ lub „pędzlowania“ za pomocą zgrabiających od pługa rąk, lecz nigdy o treści, o myśli rękoczynu. To też powtarzam, że lud, z którego melodyi tworzą się mazurki — Chopina i Halka — Moniuszki; lud, z którego baśni powstają Ballady i Dziady — Mickiewicza — jest wystarczająco zamożny w pierwiastki „piękna“, z którego wykwitnąć by mógł „styl“ zdobniczy.

Inna rzecz, że cały „styl zakopiański“ jest dla p. J. brzydkim i nie estetycznym, że według jego artystycznych aspiracji „kształty ani chałup, ani sprzętów zakopiańsko-góralskich nie są jakimś nadzwyczajnym w celowości swej, jakimś doskonałym przystosowaniem formy do przeznaczenia przedmiotu“ i że „owe wszystkie ornamentacyjne zygzyki łyżników, drzewnych statków, serów, mis, skrzyń, serdaków góralskich łącznie z pazdurami nad dachem chałup są z krete sem *brzydkie*“. Jest to opinia wyłącznie „osobista“ p. J., biegunowo odmienna choćby od zdania *John'a Ruskin'a*, który w r. 1899 w liście do p-ny Jadwigi Sienkiewiczówny, dziękując za przesłane mu fotografie przedmiotów dawnych i uśiłowiań współczesnych w stylu zakopiańskim, zachwyca się niezwykłą oryginalnością i estetycznością tego „stylu polskiego“ (sic!) i wyraża żal, że z powodu stanu zdrowia nie jest w stanie osobiście na miejscu z tym interesującym go niezmiernie stylem zapoznać.

Według p. J., „styl zakopiański nie ma, by tak rzec, *naturalnych* warunków do przyjęcia się i rozpowszechnienia. Nie prowadzą go na świecznik ani reakcja, ani piękno, ani nadzwyczajność, ani duch czasu, ani utajona w nim symbolistyka (!), ani zwrot ku porzuconym pierwowzorom; nie niesie go jednym słowem to, co rozniosło ongi po świecie całym style rozmaite z Grecyi, z Włoch, z Francyi“. Ornamentyka góralska również „nie jest takim fenomenem, co by światu mógł zaimponować, porwać świat, rozmiłować świat w sobie“. „Chyba, że góralskie „kształty estetyczne“ prymitywne przeobrazi i zatrze do tego stopnia artyzm budowniczych, rzeźbiarzy,

malarzów, że owych kształtów *wcale* znać nie będzie(!)“. Bo „czyżby w duchu naszych czasów leżało nawiązywanie pomysłów artystycznych nowoczesnych do „estetycznych pomysłów“ pierwszego lepszego górala? Czyżby fantazyja i smak artystów nowoczesnych tak już wyjałowiały, że anteuszowem dotknięciem się do ludowej prymitywności ratować siebie muszą?“ Ostatni ustęp, podkreślony przezemnie, wylania źródło niechęci p. J. do stylu zakopiańskiego. Zapomina jednak p. J., że epoka romantyzmu właśnie czerpała swe natchnienie ze „skarbnicy pierwszego lepszego“ chłopca, że „estetyczne pomysły“ tegoż „pierwszego lepszego“ chłopca dały nam muzykę „polską“, która stała się dobytkiem całego świata. Otóż właśnie «w duchu naszych czasów» leży korzystanie z niewyczerpanego dotąd ludowego skarbu, to, jak powiada Cypryan Norwid, «kojarzenie się z *myśleniem ludowem* w pracowitej harmonii», i ten nowy zwrot w sztuce zdobniczej wszystkich, cieszących się posiadaniem najwyższej cywilizacji narodów, zapoczątkowany został właśnie w *naszych* czasach. U nas kasta, do której zalicza siebie p. Jankowski, dała już wszystko, na co ją tylko dotąd stać było. Dziś zaczyna nam dawać lud!

Co się zaś tyczy obaw p. J., że styl zakopiański nie posiada dostatecznych warunków, by mógł się stać dobytkiem całego ziemskiego globu, to jakkolwiek zawcześnie jeszcze jest na wydawanie w tym względzie sądu ostatecznego, wydaje mi się, iż mało to nas obchodzić może. Niema wątpliwości, iż ani Mickiewicz ze Słowackim i Krasińskim, wznoszący naszą poezję na najwyższe szczyty Parnasu powszechnego, ani Matejko z Gierymskim i Kossakiem, stwarzający malarstwo polskie, ani też Chopin wraz z całą plejadą naszych muzyków — ani na chwilę nie zamyślili się nad zbogaceniem cywilizacji świata. Stało się to bez ich wiedzy samą siłą faktów. Tak samo i wszyscy, oceniający *istotną* wartość naszego stylu, pracują jedynie nad tem, by stał się on, w całym znaczeniu tego słowa, odpowiadającym potrzebom *naszym*, by, ciągle się rozwijając i męzniejąc, zadowolnił i zdołał wyrugować ten dziwaczny konglomerat fantazyjnych stylów, mających niby zdobić *naszą* odzież, *nasz* dom, *naszą* izbę. Dopiero kiedyś będziemy mogli marzyć o tych wzniosłych aspiracyach p. J., pragnącego, by styl «polski» stać się mógł równym innym stylom. Zdaniem p. J., „stokroć więcej szans powodzenia ma wielka, niemal już dziś wszechnarodowa akcja stylu modernistycznego“, — tymczasem wystawa, zorganizowana w roku zeszłym w parku Valentino w Turynie i poświęcona wyłącznie „secesyi“, dowiodła całej jej utopii i niepraktyczności, i zdaje mi się, że tę całą secesyę spotka wkrótce los krótkotrwałego, tak zwanego, „kierunku Biedermeiera“.

Szczególnego rodzaju zarzut spotyka styl zakopiański ze strony p. J. Opierając się na zasadzie, iż każda świątynia gotycka jest architektonicznym usymbolizowaniem słów „Kościół jest ciałem Chrystusowem“, stosownie do której świątynia w poziomem przecięciu przybiera kształt Chrystusa na krzyżu, p. J. woła: „symboliczności żadnej nie szukajmy ani w kształcie *chałup* góralskich, ani esach floresach, wyciętych kozikiem na góralskich miskach i kubkach“. Myli się p. J., przypisując jedynie tylko świątyni gotyckiej usymbolizowanie osoby Chrystusa na krzyżu; symbol ten przywiązany jest do świątyni *we wszystkich stylach*, należy bowiem nie do jakiegobądź *stylu*,

lecz do *świętyni*. A już wcale niezrozumiałem jest wymaganie, aby *chałupa* góralska zawierała koniecznie usymbolizowaną figurę ukrzyżowanego Chrystusa! Przeciwnie, można wymagać „myśli“ w „esach floresach, wyciętych kozikiem“ na sprzętach górala, lecz dziwi mnie bardzo, że p. J. tej „myśli“ dojrzeć nie potrafił, którą na każdym kroku folklor wskazuje palcem...



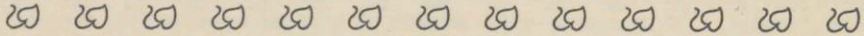
Przechodzę teraz do zarzutów p. J., które właściwie wywołały niniejszych słów kilka wyjaśnienia.

Zarzut pierwszy — „Więc może styl zakopiański odpowiada potrzebie po swojemu pojmowanego życia danego społeczeństwa i kaprysom narodowego temperamentu? Może tkwi w zakopiańszczyźnie owej indywidualność typu, odrębność życia, swojskość ducha? — może jest ona najdokładniejszym wyrazem naszej kultury? Może, innymi słowy, w ornamentyce i architektonice góralskiej odkryto najklasycyjszą manifestację form zdobniczych i architektonicznych *rdzennie polskich*?“ Na pytanie otrzymujemy od p. J. odpowiedź następującą: „Chałupa góralska jest pełna charakteru — zgoda. Ale czyż charakteru *rdzennie polskiego*? czyż góral tatrzański stworzył typ budowli, przystosowanej najdoskonalej do warunków bytowania, do warunków klimatycznych, do obyczajów i nawyków *narodu polskiego*? Mniemam, że góral tatrzański zbudował — przypuśćmy — najdoskonalszą chałupę góralską. Ale aby miał lud, gdzieś w zakątku tatrzańskim za górami i lasami ukryty, stworzyć pra-typ mieszkalnego domu dla *wszystkich warstw i grup* ludności naszej, rozproszonej po szerokiej skali geograficznej — tego nawet na wiarę najpoważniejszego autorytetu przyjąć nie mogę.“

Zarzut drugi — „Zakopiańszczyznę od lat dobrych dwudziestu *wprowadzają* u nas w modę“ nie tylko ludzie tak wpływowi umysłem, wykształceniem, rozgłosem i talentem, jak np. Chałubiński, Matlakowski, Witkiewicz, ale co ważniejsze — tłumy jeszcze wpływowszych zelatorów i zelatorek“. Styl zakopiański „*wyszrubowuje się* na widownię *spodobanymi sztucznymi*“. „Jesteśmy przeto świadkami usilnego *narzucania* nam tegoż stylu drogą zachwał, *reklam*, nieustannych okazywań. Jesteśmy świadkami wytrwałego wszczepiania w nas upodobania do zakopiańszczyzny, oraz powolnego przyjmowania się tego gustu i mody drogą wypróbowanej nie w tym jednym wypadku *suggestyi*“. P. Jankowski nic niema przeciwko temu, ażeby sztuka zdobnicza lub architektura miały „odcień zakopiański“, oponuje jednak stanowczo przeciwko „*obalamucaniu* (!) swoich i obcych szumnym tytułem „styl polski“, takim bowiem tytułem fantazyjny styl góralsko-tatrzański chęć się nie powinien“.

Oba powyższe zarzuty dadzą się stopić w jeden: *narzucanie* za pomocą środków kramarskich narodowi polskiemu stylu zupełnie mu *obcego*, nonsensem bowiem byłoby *narzucanie* polakom stylu swojskiego zarówno jak np. języka polskiego.

Ciężki ten zarzut, spadający na takie imiona, jak Chałubiński, Matlakowski, pp. Dembowski, Witkiewicz, Sienkiewicz, Eljaszowie-Radzikowscy, Kaz. Tetmajer i całe szeregi gorących wielbicieli ludu i stylu podhalskiego, jest najzupełniej nieuzasadniony, a dlaczego? — postaram się w krótkości udowodnić.



Górale bynajmniej nie są *twórcami* stylu zakopiańskiego, zasługa ich polega jedynie na troskliwym jego przez czas długi konserwowaniu. Styl, zwany dziś „zakopiańskim“, niegdyś był szeroką falą rozlany po całej Polsce, którą Kazimierz Wielki zastał drewnianą, a zostawił murowaną. Liczne a wielorakie wypadki dziejowe, sprzymierzone z wpływami obcej kultury niwelującej swym potężnym strychnicem wszelką indywidualność, sprawiły, iż budownictwo drewniane ustąpić musiało miejsca murowanym grodom i obronnym fortecom. Ciągła potrzeba sztucznej obrony ułatwiała kamieniom i cegle wypieranie coraz dalej i dalej drewnianego zrębu chat. Aż oto z czasem drewniane budownictwo zmuszone było ukrywać się w podhalskiej dolinie, obronnej przed obcymi wpływami już przez samą naturę, dolinie, zamieszkałej przez lud dorodny, inteligentny a wolny, bo nieznający ani kast, ani poddaństwa, należący do dóbr królewskich i wprost z wysokości tronu zyskujący przywileje na rozległe grunta. Górale ukochali styl ten z całą namiętnością swej prostaczey a poetycznej duszy, pielęgnowali go przez długie lata jak oka w głowie, nic nie ujmowali ani dodawali i dziś po kilkowiekowym pielęgnowaniu zwrócili go nam równie czystym, jakim był w wiekach średnich, choć może przez to właśnie zbyt szczupłym na nasze *dzisiejsze* potrzeby. Pozostaje więc go rozwinąć, udogodnić, uprzystępnąć.

Pracy tej podjęli się w pierwszym rządzie Matlakowski i Witkiewicz. Zawdzięczając Matlakowskiemu, posiadamy możliwie najobszerniejszy zbiór rysunków, istniejących budowli i sprzętów w stylu zakopiańskim; Witkiewicz zaś mocą swego twórczego talentu stworzył na zasadach góralskiej *chatałupy* — dom mieszkalny pełen najwymyślniejszych wygod i komfortu. Praca ta wydała owoce nadspodziewanie bujne i wczesne. Pierwiastek artystyczny, tkwiący w całym narodzie, ujął go sobie odrazu, zainteresowanie się odkopanym razem z cudownym zakątkiem naszej ziemi, *wskrzeszonym* stylem szybkim tętnem porwało wszystkich, którzy tęsknili do swojszczyzny w zakresie architektonicznym i zdobniczym. Przeczuli bowiem wszyscy, iż być nie mogło, ażeby nasi przodkowie w erze wszechstronnego rozwoju narodowego słowiańszczyzny nie posiadali pierwiastków artystycznych rdzennie rodzinnych, jeszcze przez żadną obcą kulturę nie narzuconych. Tak też było istotnie! Mieliśmy swoje budownictwo *drewniane* „podsieniowe“ i zdobnictwo, wytworzone przez „indywidualność typu, odrębność życia, swojskość ducha“ i najzupełniej „odpowiadające potrzebom po swojemu pojmanego życia danego społeczeństwa i kaprysu narodowego temperamentu“. Ziemia podhal-

ska odegrała rolę doskonale zabezpieczonego spichrza, a górale wybornych i troskliwych depozytaryuszów, którym obok prastarego naszego stylu zawdzięczamy jeszcze dochowanie w nieskażonej czystości żywej mowy „złego wieku“ naszej literatury.

Że powyższe twierdzenie bynajmniej nie jest fantazją „zasugestyonowanego zelatora“ stylu zakopiańskiego, niech posłużą za dowód rezultaty poszukiwań badaczy pierwiastków artystycznych w szczątkach rodzimego budownictwa.

Jak w stylach greckich główną podstawą, „odróżniającą je od reszty stylów, stanowią *kolumny, kapitele i belkowanie*, tak w dawnym stylu polskim, przewanym w czasach późniejszych „zakopiańskim“, składają się na główną jego cechę — charakterystyczny *szczyt z łamanym dachem* i szczególnej konstrukcyi *oddrzwia*. Dach zakopiański posiada w swej konstrukcyi szczytowej pewną wspólność z dachem słowackim (*vide*: rysunki — „chałupa we wsi Priekop“ i „słowacki dworek szlachecki“ przy opisie wrażeń J. Baudouin de Courtenay'a z wycieczki po *ziemi słowackiej* w „*Kraju*“ 1899 r. № 3) czem świadczy pokrewieństwo w zaraniu architektury słowiańskiej. Natomiast oddrzwi, podobnych do zakopiańskich, z „psami“, czyli zestrzałami i „kółkowaniem“, dotąd pomimo usilnych starań nie zdołano znaleźć nigdzie po za granicami krajów polskich; to też drzwi te w wynajdywaniu zabytków starej polskiej architektury drewnianej słusznie za drogowskaz użyte być mogą.

Szczyty dachów i oddrzwia zakopiańskie znaleziono zdala od Zakopanego w kilkudziesięciomilowym promieniu, przy okolicznościach, niepozwalających na wątpliwość, iż są one odwieczną własnością tych miejsc, w których do dziś dnia się dochowały. Tak więc *oddrzwia* istnieją w *Sławkowie* (pow. Olkuski), we wsi *Nawojowej* za Nowym Sączem w Galicyi i w *Bytomiu* na Śląsku (Eljasz-Radzikowski Stan. dr. *Styl Zakopiański*. Lwów 1900 r. str. 18); także oddrzwia i konstrukcyę dachów odnalazła pani Bronisława Kondratowiczowa w Małopolsce: w *Modrzejowie*, *Jeżowie*, *Czeladzi* i *Wojtkowicach kościelnych* (pow. będziński) oraz w osadzie *Łaszczów* (pow. rawski („*Przegl. zakopiański*“ 1902 r. № 8); A. Głębocki ogłosił trzy rysunki drzwi ze *Sławkowa* (pow. Olkuski) („*Tyg. Ilustrowany*“ 1881 r. № 302 rys. 9, 10 i 11), a Wojciech Gerson w odpowiedzi Stan. Witkiewiczowi w sprawie oddrzwi zakopiańskich stwierdził, iż takie drzwi i okna, jakkolwiek w pojedynczych okazach, wszakże w znacznej ilości są rozsypane na całej przestrzeni północnego stoku Tatr aż po księstwo Łowickie („*Wisła*“ 1888 r. artykuł p. t. „*Odrzwia i otoki u okien chat polskich*“). Na *Lyczakowie*, przedmieściu lwowskiem, w domach „przedmieszkańskich“ szczęśliwym trafem dochowały się całe *wrota* w inkryminowanym przez p. Jankowskiego stylu („*Tydzien*“ Lwów 1900 r.). W r. 1901 udało się p. Mokłowskiemu wykryć we *Lwowie* całe *stolowanie* z budową i ornamentyką, właściwemi stylowi naszemu. Dwa prześlicznej roboty *sozręby* z innego stolowania, ze zburzonego starego domu przy ul. Grodziekich, przechowywane dziś są w lwowskiem „Muzeum przemysłowem“: jeden z misternie wyciętymi monogramami Chrystusa i Maryi i wypuklorzniętą gwiazdą, drugi posiada kilka gwiazd „wci-

nanych“ jakby według wzoru Matlakowskiego, oraz napisy ormiańskie i rok 1669 („Tydzień“ 1901 r. № 1).

Sprzęty zakopiańskie również odnalezione zostały w znacznej bardzo odległości od doliny podhalskiej. Wojciech Gerson w zakrystyi w *Opatowie*, a Julian Maszyński w kościele PP. Karmelitanek w *Lublinie* odnaleźli stoły zupełnie analogiczne w swych kształtach ze stołami z Zakopanego („Tygodn. *Illustrow.*“ 1901 r. № 8 z rys.). Co dziwniejsze, że stół opatowski Gersona dziwnie przypomina linie wycięć stołu litewskiego ze wsi *Strażyski* (gub. wileńska), przerysowanego przez Zyg. Glogera („*Podróż Niemnem*“ Warsz. 1888 r. str. 79). Zarówno stoły w izbie krawieckiej w kodeksie Bema z XV stulecia, znajdującym się w Bibliotece Jagiel. oraz w kronice Bielskiego, konstrukcyjnie zbliżone są do stołów w Lublinie i Opatowie („Tydzień“ 1901 r. № 1 str. 10).

Co więcej—osobiście stwierdziłem, iż *ornament* „zakopiański“ zaniesiony został aż nad brzegi Bałtyku i rzeki Świętej: na *Żmudzi*. Zebrałem dość liczną kolekcję wyrobów drewnianych, nabytych w powiatach — telszewskim, szawelskim i rossieńskim, a więc w samym sercu Żmudzi, a składająca się z przeszło stu okazów przepysznie ornamentowanych kądzieli, szpilek do nich, kijanek, pótek oraz z również przeszło setki rysunków z natury krzyżów żmudzkich. Zbiory te, znalazłszy się w końcu roku zeszłego na wystawie krakowskiego tow. „*Polska sztuka stosowana*“ w warszawskiej zachęcie, stały się przedmiotem podziwu znawców zakopiańszczyzny. Istotnie też zdumienie ogarnąć może na widok tych wspaniałych „góralskich“ (sic?) gwiazd, warkoczyków, ząbców, racic, obłęków, kuszyków, pilek i t. p. części podtatrzańskiego ornamentu, wyciętego „kozikiem“ przez żmudzkiego z nad wybrzeża Bałtyku chłopca.

Trudno będzie wytłumaczyć sobie przyczynę, która potrafiła spokrewnić myśl zdobniczą w umyśle górala i żmudzina, jeżeli nie przyjmiemy za zasadę, że ten ornament był przedtem już „polski“ i przez polaków zanieiony później razem z chrześcijaństwem do Kiejstutowego księstewka, albo, jak przypuszcza Stanisław Witkiewicz (w liście prywatnym do piszącego te słowa), iż zarówno jak polacy tak i litwini swe pierwociny artystyczne czerpali z jednego wspólnego im źródła. Na razie jest to rzecz drugorzędna, faktem natomiast jest, że ornament *zakopiański* przechowywanym jest z pieczyzmem aż do dnia dzisiejszego przez *żmudzina* i że ozdabia on tym ornamentem i luksusowy swój sprzęt domowy i swoje sławne „krzyże“.

Powyższy spis miejscowości, w których znaleziony został dawny styl nasz, jest zaledwie szczupłą garstką tych wiadomości, które mnie doszły. Mieszkając od roku zdala od ogniska zakopiańszczyzny, nie znam nowych odkryć, słyszałem jednak ogólnikowo, że p. Kazimierzowi Mokłowskiemu udało się znowu natrafić na szczątki podhalskiego budownictwa na *Czerwonej Rusi*, że p. Obmiński, asystent politechniki lwowskiej, w cerkiewkach ruskich, a p. Lutsch na *Pomorzu* na stołku obrzędowym z chaty ludowej znaleźli ornament zakopiański. Słyszałem również o nowem wykryciu dachów góralskich na *Śląsku* i w *Małopolsce*, ja sam zaś w ostatnich czasach nabyłem do zbiorów swoich stary stołek żmudzki z oparciem o charakterze stołka zakopiańskiego, tylko ordynaryjniejszym i bez rzeźby, pochodzący

z okolic miasta powiatowego *Telsze* (gub. kowieńska) a należący niegdyś do całego garnituru meblowego.

Zdaje mi się, że tych dowodów najzupełniej wystarczyć może, by stwierdzić, że styl „zakopiański“ był niegdyś wspólną własnością wszystkich mieszkańców ziemi polskiej i że na podstawie odnalezionych jego pomników na całej jej przestrzeni *wolno* go nazywać stylem „polskim“.

Mniejsza o to, czy on jest estetyczny i piękny, czy podbije sobie świat cały i stanie ramię przy ramieniu obok stylu romańskiego, gotyku i odrodzenia, dosyć — że styl ten jest dorobkiem *naszej* kultury, że jest rdzennie rodzinnym, dosyć — że jest bogatym wystarczająco na przyozdobienie naszego domu i wszystkich naszych sprzętów codziennego użytku i wspartym na logicznych i trwałych podstawach, gdy z chłopskiej chaty przez usiłowania współczesne z łatwością daje się rozciągnąć aż do stworzenia zupełnie oryginalnej i nie „naciągniętej“ całości architektonicznej, jak „*Koleba*“ — Gnatowskiego, „*Pod jędlami*“ — Pawlikowskich i wewnątrz kaplicy Św. Jana w kościele zakopiańskim.

Cała dążność dzisiejszych pracowników jest skierowaną ku wykorzystaniu możliwie wszystkich kardynalnych zasad stylu, by jak każdy inny „styl“ mógł być z łatwością zastosowanym do budowy i zdobienia świątyni, pałacu, dworku szlacheckiego, kiosku wystawowego, wnętrza sklepowego, mebla, biżuterii i t. p. Że on opanowuje sfery coraz szersze, dowodzi ta wielka ilość najróżnorodniejszych zamówień na plany budowli, rysunki sprzętów, sukien i ozdób, nadsyłanych do Witkiewicza, a którym, pomimo wyłącznego dziś poświęcenia się idei stylu i niezmordowanej pracy, podobać już nie jest w możności.

Pracę około rozwoju stylu, rozszerzenia jego granic i uprzywilejowania p. Jankowski nazywa: narzucaniem, reklamą, agitacją... Ciekaw też jestem niezmiernie, jakich też środków według p. J. należałoby użyć w określonym celu przez wznowienie stylu polskiego, któreby nie zostały nazwane bądź co bądź uwłaczającym im mianem. Zdawałoby się, iż jacyś handlarze, żyjący z wynalezionej przez siebie i opatentowanego w kraju i zagranicą „stylu zakopiańskiego“, reklamują go w celu jaknajwiększego odbytu, jak się reklamuje „*Odol*“, kapsułki „*Matico*“ albo „*Exsiccator*“. Tymczasem taki Matlakowski rozpaloną gorączką dłonią, między jednym a drugim krwotokiem, przerysowuje góralskie sprzęty, by uchronić je od ztratny, a Witkiewicz rzuca pędzel i po całych dniach kreśli plany — *za darmo*, z bogacając kraj w pomnikowe budowle. Jeżeli *pracę* nad kreśleniem nowych planów, pisaniem takich dzieł, jak „Zdobnictwo ludu polskiego na Podhalu“, urządzenie wystaw zabytków dawniejszych o charakterze góralszczyzny lub usiłowań nowoczesnych i wreszcie ogłaszanie coraz bogatszych wyników poszukiwań szczątków starego polskiego budownictwa — nazwane może być: narzucaniem, reklamą i agitacją, to, wychodząc z tej zasady, zarówno jest reklamą każde wydanie płodu swej myśli, lub rezultatów badań autora. W ten sposób reklamowane były: szczepienie Pasteur'a, wynalazki Edisona i promienie Roentgena!

Myli się p. Jankowski bardzo, przypisując wpływ środków reklamarskich na fakt, iż ten *wznowiony* styl w tak krótkim stosunkowo czasie zna-

laż tak licznych zwolenników. Nie działała też tego ani sugestia. Przyczyna leży daleko głębiej, bo w nie od dziś tkwiącej w społeczeństwie polskim idei wyodrębnienia się narodowego na polu całej sztuki. Ta idea już przed wiekami była tak silną, że sprawiała, iż każdy styl, przyniesiony do nas z obczyzny, po pewnym czasie przybierać zaczynał do pewnego stopnia cechy narodowe, polskie. Historycy sztuki w Polsce udowodnili niezbicie, że czy to gotyk, czy *renaissance*, czy barok, gdzie tylko się znalazł na całej przestrzeni ziemi polskiej, nosi na sobie wyraźne piętno polskości. Dziś więc w stylach architektonicznych odróżniane są: polski — gotyk, polski — *renaissance*, polski — barok. Niewygasłe reminiscencye stylu własnego bezwiednie parły żywiołowo do przetworzenia według narodowego ducha i artystycznych aspiracji każdy styl obcy.

Nie przeczę, iż styl zakopiański jeszcze nie dosięgł szczytu swego rozwoju. Przejdzie lat wiele, może i stulecie całe, nim to nastąpi. „Styl“, będąc owocem indywidualnego rozwoju duszy narodu, musi jak każdy owoc dojrzeć; tak dojrzewał przez długi lat szereg styl dorycki, zanim wykwił w przepysznym kapitulu korynckim. Pamiętać należy, iż dopiero od lat paru przybył nam nowy zastęp budowniczych i artystów, pragnących swój talent i wiedzę poświęcić na użytek stylu swojskiego, że dotąd cały ten styl dźwigał na swych barkach jeden tylko Witkiewicz, z zawodu artysta—malarz, nie architekt, a jednak tyle już w tym względzie uczynić zdołał.

II.

Mówiąc o stylu polskim i pracy w tej dziedzinie, niepodobna pominąć zupełnem ignorowaniem późniejszych, aczkolwiek niefortunnych, prób skomponowania czegoś zupełnie nowego z powiązanych ze sobą istniejących już motywów ornamentu, czy też adoptacji jakiegoś już istniejącego stylu, luźnymi tylko więzami połączonego z narodem polskim. Nie można o tem zamilczeć chociażby z obowiązku zapisania tych faktów w kronice usiłowań w wytworzeniu stylu swojskiego. Pracy tej jęli się oczywiście ludzie, jak p. Czesł. Jankowski, nie uznający „stylu zakopiańskiego“.

W rządzie pierwszego rodzaju marzeń zyskał od niedawna już pewną popularność w Warszawie p. Józef Witkiewicz, młody technik warszawski, przez wynalezienie a raczej — skompilowanie w dość oryginalny sposób „stylu mazursko-kujawskiego“. Zawdzięczając rozmowie warszawskiego korespondenta „Kraju“ z p. J. Witkiewiczem („Kraj“ 1902 r. № 41), dowiadujemy się nieco, jak o samych pobudkach, które popchnęły p. W. do podjęcia prób stworzenia nowego stylu, tak też i o środkach, jakich użył w tym celu. P. Witkiewicz jest do głębi przekonany, że „styl zakopiański niema w budownictwie przyszłości u nas“, a to z tej prostej przyczyny, że jest on „stylem prowincjonalnym“ i „na styl ogólny, styl polski danych niema“. Według p. W., styl ten jest tylko i wyłącznie stylem „górkim“, gdy tymczasem, za wyjątkiem podatrza, kraj nasz jestto „beźmierna płaszczyna“. Mógłby więc być najwyżej zastosowanym w górach Świętokrzyskich i niektórych miejscowościach górzystych w okolicach Kielc.

Zarzut ten, zrodzony jednocześnie z myślą wskrzeszenia stylu zakopiańskiego, dziś upadł zupełnie. Dowiedziono, iż styl ten z łatwością da się nagiąć do rozmaitych terenów miejscowości, a więc posiada potrzebną nam pod tym względem wszechstronność. Pomniki starego budownictwa polskiego, odnalezione na całej przestrzeni ziemi rdzennie polskiej, wskazały, iż istniał on tam oddawna, a dziś zbudowane według planów Witkiewicza *Stanisława* dworki szlacheckie i pałacyki rozrzucone na Litwie, Podolu oraz równinach mazowieckich, są wymownem świadectwem, że bynajmniej nie a nie ze swoich właściwości nie tracą pomimo braku zboczy skalnych i wirchów tatrzańskich. Taki, na przykład, dworzec kolei żelaznej w Syłgudyskach (w pow. święciańskim, gub. wileńskiej), już od lat paru wzniesiony według pomysłu Witkiewicza, albo plan, przez tegoż sporządzony dla dworca kąpielowego na brzegu Bałtyku w Połędzie — są równie stylowe i piękne, jak willa „Pod Jedłami“ na Kozieńcu. Trudność cała polega jedynie na umiejętnem spożytkowaniu perspektywy w stosunku do obszaru i terenu, na którym budynek ma stać. Zresztą, jest to kwestya fachowego wykształcenia i wrodzonego poczucia piękna autora projektu budowli. Zarówno liczyć się należy z miejscowością przy komponowaniu świątyni gotyckiej, inny bowiem stosunek części budynku zachowany być musi na miejscu ściśnionem przez okoliczne domostwa, inny zaś na obszernym i ze wszech stron otwartym placu.

Jakby na zarzut p. Józefa Witkiewicza, że styl zakopiański jest li tylko „drewnianym“, Stanisław Witkiewicz sporządził plan domu murowanego zakopiańskiego dla p. Jana Steckiego w Bronicach pod Nałęczowem; Franciszek Mączynski architekt otrzymał w r. 1901 nagrodę na konkursie pisma paryskiego „*Moniteur des Architectes*“ za projekt willi murowanej, a wkrótce potem skomponował całą ulicę złożoną z szeregu domów, will, ratusza i t. p. z kamienia i cegły w stylu zakopiańskim, która również zwróciła uwagę architektów i artystów Paryża; p. Jan Tarczałowicz, budowniczy lwowski, sporządził projekt mającej wkrótce stać we Lwowie stylowej willi murowanej. Nawet p. Edgar Kovats, były dyrektor szkoły zawodowej w Zakopanem i znany powszechnie sceptyk na punkcie zakopiańszczyzny, jest zdania, że styl ten da się „przetłumaczyć sposobem modernistycznym(?)“ na kamień („*Kraj*“ 1901 r. № 36). Co zaś się tyczy wysokich pono cen budowli zakopiańskich, to w zestawieniu z kosztami, łożonymi na budynek gotycki lub *renaissance*’owy, bynajmniej nie są wyższe ani trochę. Oczywiście mam tu na myśli czysty gotyk i czysty *renaissance*, nie zaś polistylowe zlepki według estetycznych pomysłów burżuazji.

Przechodząc z kolei do elementów, z których zrodził się styl p. Józefa Witkiewicza, dowiadujemy się, iż są one pochodzenia mazursko-kujawskiego i że ich imieniem nowy styl ochrzczony został. W zużytkowaniu tych elementów — przyznaje się p. J. W. — siedł on „utartą już drogą, jaką przełożył Witkiewicz (Stanisław), opracowując styl zakopiański“, a więc w celach ornamentacyjnych zapożyczał z naszyć na ubraniach, ozdób na statkach, plecionek na fartuchach, haftów, nawet — z guzików, słowem ze wszystkiego „co tylko się dało“. Istotnie metoda ta, stosowana w otworzeniu zdbnictwa ornamentacyjnego, jest już wypróbowaną, jednakże p. J. W. zapra-

gnał użyć ją i do celów architektonicznych swego stylu, zapożyczył tedy do stworzenia „formy“ *dachu — czapki mazurskiej!* („Kraj“ 1902 r. № 41 str. 425). Wprawdzie w zestawieniu architektonicznym czapki mazurskiej z dachem stylu mazurskiego ukrywa się wspaniały, a tak poszukiwany przez p. Jankowskiego symbol, dający wątek do głębokich porównań — wszakże przyznam się, iż nie potrafię się domyśleć, jak sobie p. Józef W. poradzi, gdy stosując się do tej metody i rozwijając ją dalej, zapagnie do innych części budynku w stylu mazurskim użyć „formy“ innych części garderoby chłopca mazurskiego. To też, zdaniem mojem, tam, gdzie dach dopiero *ad hoc* przemocą stwarzać trzeba — tam o żadnym „stylu“ mowy być nie może. Pod wyrazem bowiem „styl“ rozumiemy przede wszystkim konstrukcję architektoniczną dachu. Rokować więc można, że styl „kujawsko-mazurski“ zginie na anemię jeszcze w swej kolebce.

Takiegoż samego zdania o stylu zakopiańskim, co pp. Czesł. Jankowski i Józ. Witkiewicz, jest i nieznaną z nazwiska autor artykułu p. t. „*Muzeum huculskie w Kołomyi*“ („Tygodn. Ilustrow.“ 1903 r. № 14); nie łamie on jednak sobie głowy nad skomponowaniem czegoś nowego, lecz radzi krótko i węzłowo adoptować sobie istniejący już „styl huculski“. Twierdzi bowiem, że podany przez niego pobieżny przegląd twórczości artystycznej wschodniego Beskidu i Pokucia wystarcza najzupełniej do powzięcia przeświadczenia, że „w rozwoju stylu *swojskiego* pierwiastek artystyczny huculski odegrać może rolę pierwszorzewną“, albowiem każdy dostrzedz musi w tych kilku załączonych przez niego do artykułu rycinach kołomyjskich wyrobów, że „zdecydowany i nawskroś oryginalny styl huculski spoczywa na głębszych podstawach ludowych niż *wytwarzany* „sposób(!) zakopiański“ i że stać się winien jedną z głównych skarbnic motywów dla sztuki stosowanej *swojskiej*“.

Ustęp powyższy świadczy wymownie, iż autor jego ma bardzo oryginalne pojęcie o „swojszczyźnie“, a co więcej — sam sobie przeczy, co wykazać postaram się. Tak więc „styl“ huculski jest przede wszystkim oryginalny i dla tego stać się musi jedną z głównych skarbnic motywów dla sztuki stosowanej „swojskiej“, czyli, że jest „swojskim“.

Posiadanie „oryginalności“ oraz „spoczywanie na głębokich podstawach „*ludowych*“ jest jeszcze zbyt małą sumą zalet, by mógł się stać źródłem stylu „swojskiego“, brak bowiem w nim tylko bagatelki — swojskości, czyli jak dla Polaków — polskości.

Nie mogę na tem miejscu streszczać ze wszechmiar ciekawych bardzo dziejów Huculszczyzny, zaznaczę tylko, że warunki historyczne i wytworzone przez nie długotrwałe sąsiedztwo do pierwotnej krwi Huculów dodały w bardzo znacznej ilości domieszkę krwi rumuńskiej oraz ludów wschodnich. Domieszka ta sprawiła, iż upodobania artystyczne Hucula w najwyższym stopniu są pokrewne ludom, uległym kulturze wschodniej, jak Rumunom, Bośniakom i t. p.; zaś wyznaczenie greckie, modyfikując jeszcze te upodobania, stworzyło właściwą huculską „sztukę stosowaną“, jako zlepek elementów ornamentacyjnych najzupełniej obcych t. j. rumuńskich i bizantyjskich. Przyznaje to zresztą i sam autor opisu muzeum kołomyjskiego, lecz na innym miejscu, bo w artykule p. t. „*Szkoła przemysłu drzewnego w Kołomyi*“ („Ty

godn. *Illustr.*“ 1902 r. № 23) mówiąc, iż ornament huculskich ścian, powalów, ław i pólek zawiera „wszędzie *krzyże greckie* ujęte i okolone“, a dalej nieco — „w motywach dekoracyjnych widać ślady stylu *bizantyjskiego*“. Gdzież więc tu „swojskość“ i „rodzimość“?! Zarówno sama technika zdobnictwa huculskiego oraz środki, do tego użyte, jak naprz. nabijanie drutu mosiężnego i złożonych gwoździ, lub wykładanie rysunku różnokolorowymi paciorkami, świadczą o swoim pochodzeniu wschodniem i istotnie dotąd są wspólne Bośniakom, Albańczykom i pokrewnym plemionom.

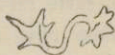
A teraz architektura, dotąd pozostająca w stanie nierozwiniętym. Autor cytowanych artykułów podał ryciny dwóch chat: w *Worocheie* i w *Żabiu Ilczy*; ściany niskie z okrągłaków, nakryte dwakroć wyższym od nich dachem złamanym, okna i drzwi prostokątne i nic więcej. Czyż i taka chata ma być pierwowzorem domu polskiego?

Styl zdobniczy huculski istotnie jest oryginalny, ludowy i bogaty—trudno temu przeczyć. I niewątpliwie też rozwijać się będzie coraz bardziej, o ile rozwój ten będzie umiejętnie pokierowanym, nie sędzę jednak, aby takie w oczy bijące nienaturalne łączenie w stadło dwóch stylów, tak biegunowo różnych, jak huculski i *secesya*, mogło na ten rozwój wpłynąć dodatnio, tembardziej, iż odbywa się to w kołomyjskiej szkole przemysłu drzewnego za sprawą „wermistrza“ p. Prokopowicza. Także i wszystkie meble, wykonane w tejże szkole, a w rysunkach podane przez nieznanego nam bliżej autora („Tygodn. *Illustr.* 1902 r. № 23), posiadają internacjonalne, pospolite, konwencyonalne kształty z piętnem huculszczyzny jedynie w ornamencie. Pomimo to przy zwrocie ku bardziej skrzętnemu zużytkowaniu form sprzętów huculskich styl ten ma przyszłość zapewnioną. A jednak nie może on być dla nas polaków „swojskim“, bo jest nam bliski tylko o tyle, o ile bliskiem jest zdobnictwo małoruskie.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że tego rodzaju usiłowania, co p. Józefa Witkiewicza, lub rady nieznanego autora artykułu o huculszczyźnie, bynajmniej sprawy stylu polskiego naprzód nie posuwają, lecz przeciwnie postęp jej hamują. Jak dotąd, tylko jeden jedyny styl zakopiański ma wszystkie dane, aby równie, jak niegdyś, stać się narodowym stylem polskim zarówno w budownictwie jak też i zdobnictwie. Być może, iż idea zjednoczenia wszystkich pierwiastków artystycznych, tkwiących w ludzie naszego kraju, zmężnieje kiedyś tak dalece, iż wyłoni się z niej jakiś nowy, w daleko szerszym znaczeniu, styl „polski“. Lecz nie będzie to już styl *dawny*, uświęcony kilkowiekową przeszłością i powleczonej patyną najwspanialszych tradycji narodowych, lecz styl *nowy*, wytwór życia XX-go stulecia.

Czy to nastąpi — któż to przeczuć może?

MICHAŁ BRENSZTEIN.



Kronika Sztuki.

DRUGA WYSTAWA WIOSENNA.

Szkoda, że tak dużo: 222 dzieła. . Jest to także wystawa *koleżeńska*, nie tylko wiosenna. Koledzy bardziej utalentowani tracą na tem, bo zamiast uwydatnić się, giną w masie szarej niedonosków; mniej zdolni pod osłoną tamtych zyskują tylko pobłażanie, które jest bardziej wygodą niż pożytkiem, bardziej kwietyzmem niż nauką. Wzajemna uprzejmość artystów i uprzejmość ze strony publiczności — oto ogólna impresya z salonów Krywulta.

Nie mogąc dopatrzeć się bardziej olśniewającego nowego tonu, staram się przynajmniej wyciągnąć jaknajwiększą korzyść dla siebie i dla czytelników i poznaję się z temi nazwiskami i produkcjami, z którymi nie jesteśmy jeszcze otrzaskani. To zresztą jedna z zalet „Wiosennej“ wystawy, że staje w niej z licznym dorobkiem kilku nowych artystów.

Trudno oczywiście oznaczyć dokładnie, kto tu jest zupełnie świeży a kto już pierwsze ognie przeszedł, ale na ogół zdaje się, że po raz pierwszy wystąpili uroczyściej: Dalkiewicz, Kamocki, Kowalewski, Noskowski, dobrze znany, ale dotąd wstydlivy i trzymający się w rezerwie, — Mirosław Ostojewski, Uziembło, Wróblewski, Ziomek, Bisier. Z uznanych już dawniej: Czajkowski Józef i Stanisław, Gwozdecki, Pillati Gustaw, Trojanowski. Nie mówię o szeregu imion, które weszły już do historii sztuki naszej, historii tak świeżej a bogatej: Weiss, Pieńkowski Ignacy, Jabłczyński, Hersztein, Okuniowie, Kamieński, Tichy, Stabrowski, Krzyżanowski, Rembowski i t. d. i t. d.

Uderza mocniej niż kiedykolwiek różnica dwóch grup pejzażystów, tej, która wychodzi z Krakowa i podlega wpływom Stanisławskiego, albo też ogniskuje się dokoła niego, i drugiej, w której szczytem, w tym razie niewidzialnym, jest Ruszczyc. Krakowiaci malują z fantazyą, zawiesicie i ze smakiem, choć dosyć powierzchownie biorą naturę. Są wybornymi kolorystami i bardzo łatwo znajdują w sobie jakąś indywidualność zewnętrzną,

raczej na pewnej manierze, niż właściwości duchowej artystycznej polegającą. Taki np. Kamocki, który najbardziej od kolegów się odsadził, interesuje zawsze pierwszym planem, tworzącym jakoby siatkę poplątanych nagich gałęzi, z po za których dobrze grają plany drugie, — łatwo też przewidzieć chwilę, kiedy te gałęzie zaczną nużyć i zawadzać. Kowalewski np. w malowaniu kwiatów bardzo zbliżony do Stanisławskiego, bo je charakterystycznie rozpina jak barwną pajęczynę („W ogrodzie“, „Malwy w słońcu“), jakby z premedytacją chce się odróżnić od swego mistrza w konturach drzew, które zamiast długimi i smukłymi jak włoskie topole, maluje wielokątnymi, niby kulistymi, i znowu osiąga osobliwość czysto zewnętrzną.

Kresowcy — wgłębiają się w naturę i mniej dbają o brawurę i efekt. Jest to stanowczo rodzaj bardziej kontemplacyjny i głębszy, nie raz do przesady i monotonii posuwający analizę pewnego motywu. Widać to u Dalkiewicza — przedewszystkiem temata bardzo trudne, np. morze w samo południe, białe, olśniewające, przesłonecznione i nieprzyjemne — albo drzewa jesienne, tutaj wzięte z całą drobiazgowością wszystkich odcieni żółknienia i rumianości a bez wielkich linii nastroju. Ale to siła poważna, umiejętność, sumienność, rozumienie rzeczy. Podobnież Stabrowski nieco ciężki i jakoby marudny — gadałwością tu są zbyt liczne i zbyt szare tony, na płótnach ogromnych („Jesienny dzień“); tam zaś, gdzie są jaskrawe, jak w złotych klonach o zachodzie słońca — mało przekonywują. Obrazem — z miłością i poezją traktowanym — jest „Deszcz“, plany górne ciemne, brzemienne chmurami, ociekają, środkowe ukazują z za rzęs dżdżu świetlane, ogromne kłęby obłoków, dolne zagony przyczernione i mgławie od ulewy; duża tu skala kolorów w granicach przecież jednej gamy szarej i obserwacja wyborna.



A oto następujące się uwagi o różnych:

Weiss jest bardzo ciekawy: wyborny jest „Suchotnik“ z twarzą żółtą, przedziwnie rozświetloną żalością i jakoby światłem podniecone, gorącej i gorzkiej samowiedzy. Oryginalne są dziewczęta które się puściły „w drobną kaszę“ blisko kop zboża i kopy razem z niemi wirują („Rondo“); wir dziewczątek z energiczną odśrodkową linią pleców i głów — doskonały, całość mile fantastyczna i prawie baśniowa — niemal Hofmanowska a jednak naturalna.

Portret panny — Ignacego Pieńkowskiego — jest, rzecz prosta, pełen smaku, wytworności i dystynkcji spokojnej, ale czy mu ta — zdaje się, rozmyślna nieco sztywność i koloryt Puvis de Chavanne'a, robią dobrze — wątpię. Jest w nich coś nie coś mdłego. Wyżej postawiłbym portret „Jańci i Jurka“ Tadeusza Okunia, rzecz wielkiej subtelności, dużej kolorystycznej maestrii i podchwycenia naiwności i niewinności w oczach, w okoleniu czół czuprynami i t. p. Natomiast trudno się przekonać do portretów Edwarda Okunia — wszędzie mocne, czerwone tła, wyszukany sztafaż i układ sprawiają, że twarze są zbagatelizowane, przytem w tonie niepewne, jednostajnie, jakby z pamięci lub fotografii. Coś w tych portretach razi, przeszkadza, męczy się, żeby powiedzieć, a nic nie mówi.

Krzyżanowski jest wirtuozem, dobrze znanym, wybitnym. Wirtuozostwo jednak pozwoli przechodzi w nim w junactwo i ten młodojecki taniec zostawia na twarzach, mocnych zresztą w wyrazie, brudne, niepotrzebnie brudne plamy i nie zawsze czyni wrażenie „nonszalancy“ pędzla. Pod tym względem kontrast stanowi Eligiusz Niewiadomski: w portrecie Żeromskiego wielkie skupienie i wielki sentyment. Autor „Popiołów“ jest tu pojęty dobrze bez śmielszego fantazywania, ale z wyrazem niezmierniej, zbolalej melancholii, nie wystawionej na zewnątrz, lecz ukrytej subtelnie w samym typie.

Do atrakcyi wystawy należy Hersztein. Ten, nie raz archaiczny, eksperymentuje nowoczesnym pointilizmem; czasami dochodzi do znakomitych rezultatów, jak w „Modlitwie“ rozświetlonej mistycznie i wibrującej, jak w portrecie p. P. o rozwiewnym i głębokim nastroju smutku, a także w pejzażach pełnych wielkiej dali i szlachetnego spokoju, a czasami znów przesadza i sięga po za cel, zamiast efektu wibracji i rozplywania się konturów daje dziobane głęboko warstwy farby. Szkoda, że nie wykończa i nie wystawia swej nagiej kobiety z tygrysem – rzeczy w dużym stylu, śmiałej i oryginalnej.

I żałuję też, że Feliks Jablczyński nie wystawił swej baśniowej księżniczki, biegnącej pod wiatr na tle złotej chmury, i swego pocztu duchów, idących ku jakiejś świątyni. To co jest na wystawie – wielki czerep ludzki, płynący w przestworzu wobec widnej zdala planety, jest jednym z ogniów hamletowskiego ciągu myśli – fantazyja nawskroś i może zanadto literacka, z ogromną łatwością wyrzucona z bogatej inteligencji tego—przeciwnika literatury w malarstwie.

Podobni są do siebie Bisier i Noskowski w traktowaniu pejzażu pieszczonem, niemal miniaturowem. Drugi z nich, autor mnóstwa mniej lub więcej udanych ornamentów na okładki, należy bezsprzecznie do tych, co styl tworzą, przez umiejętne stylizowanie rodzimych motywów kwiatowych. Jest to artysta pracowity i ze smakiem. Pejzaże jego, bardzo liczne, nie są dziełami rozmachu ani świeżego uchwycenia i ogarnięcia natury, lecz dekoracyjnymi finezjami, którym lepiej było by być wprawionemi w stylowe biurko lub stół, niż męczyć się wśród ogromnych płaszczyzn ram. Ramy Noskowskiego zacieśniają, duszą widoki, odbierają im powietrze i technienie prawdy. Jest więc w tej przyrodzie coś porcelanowego, cieplarnianego—choć zawsze i sporo pięknego.

Osobną grupę utworzyłbym z Ostojewskiego, Wyszyńskiego i Gwozdeckiego, związaną wspólnymi rysami pewnej pretensjonalności—dosyć mało usprawiedliwionej. Pierwszy w rysunkach swych kombinuje trochę krzycząco czarne plamy jakichś potworów z białymi marmurów, ale stać go i na harmonię, jak w widmach żałobnych opartych o kolumnę; wrażenie zdolności – niewątpliwej – psują też nie artystyczne przydatki dla snobów: 1) *O zmierzchu*. 2) *O la tristesse de tout cela!* 3) *Singt mir das Lied*. 4) *In questa tomba*. Czy to nie tak jak figle z „Facecyi Sowizdrzalskich“ Nowaczyńskiego? Wyszyński rostał węgiel i trochę farb w smugi niby to upiorne, niby konwulsyjne i kurczowe i umieścił obok wyjątki z „Ginącemu światu“ Kasprowicza. Byłaby idea — wyrazić grozę i nastrój w ten sposób, t. j. samemi drzazgami kształtów i konturów, ale w tym wypadku są to raczej kapryśne lub swawolne a zawsze ostre jak rozszczypane drewna – mazania po ścianie.

Gwozdecki w portrecie własnym woła, że się nie boi nowych technik i że w ogóle szuka i kombinuje śmiało, że ma siłę i zadzierzystość—ale jest nieharmonijny i trochę wpada w śmieszność.

Rysunki Kamińskiego, jak zawsze, wielkie, żywe, estetyczne, z linią zasadniczo inteligentną i szeroką, szkice węglowe niezmiernie majsterskie Tichy'ego, niektóre portrety rzeźbione Breyera i grupy — „Przodownik“—i „Duch siostrzany“ Rembowski — wyróżniają się i należą do ozdób wystawy. Rembowski zwłaszcza, — jest to artysta, czerpiący z ogólnej konwulsyjności gościów i ruchów — na którą się składają Biegas, Dunikowski i on sam, a teraz potroszę i Szymanowski.

Zdaje się jednak, że najbardziej wiosennego rzeźbiarza urządzający drugi wiosenny salon — musieli ominąć. Mam na myśli Dunikowskiego, którego ostatnie dzieło połamano w Zachęcie na skorupy, nie tłumacząc się nawet przed artystą, albo raczej zasłaniając się „siłami wyższemi“. Szczególne szczęście! Gdy Kraków zdecydował się nareszcie wystawić inną jego grupę — „Prometeusza“ — przysłano ludzi pijanych, którzy z miejsca połamali Prometeuszowi ręce i nogi.

Zdaje się, że to wogóle los Prometeuszów naszych dni.

CEZ. JEL.

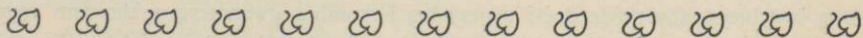


A. BÖCKLIN. — L. JANINA — JANOWSKI.

Naturalnie, że ci, co znają muzea zagranicy dobrze, nie będą bardzo wzruszeni widokiem Böcklinów, rozwieszonych obecnie w Zachęcie na czas ogórkowy. Ale ta szersza publiczność, która zagranicą nie bywa, młodzież? Nazwisko Böcklina jest popularne; używane jako grzyb dodawany do cienkich naszych barszczyków estetycznych, pisanych i mówionych, ogadane jest bardzo, za bardzo, kosztem prawie całego ruchu artystycznego na zachodzie, który rysuje się dosyć blado w oczach zwykłego naszego znawcy po za nazwiskiem Böcklina oraz przyczepianych do niego Klingerów, Stucków, Schneiderów etc., reklamowanych silnie przez prasę niemiecką, a więc naturalnie u nas bardzo popularnych. Otóż ta publiczność, wobec rozwieszonych obecnie płócien, zapewne dziwić się będzie i powtarzać: to jest „ten Böcklin“, to jest Europa, europejskie malarstwo? I wyjdzie z wystawy z tem przekonaniem, że malarstwo zagranicy jest przechwalone — a my... mamy najlepszych malarzy na całym świecie. Rzecz dziwna: tyle się dzieje zagranicą; Warszawa jest już chyba dostatecznie wielkiem i zamożnym miastem, aby pozwolić sobie na sprowadzenie prawdziwego malarstwa europejskiego. Towarzystwo Zachęty jest, zdaje się, dość poważną instytucją, aby móżdż dać i materyalną i moralną gwarancję wystawcom zagranicy. I nagle, w murach Zachęty — która, zdaje się, od założenia ani razu nie miała u siebie poważniejszego malarza zagranicy — w roku 1903, w sezonie ogórkowym, ni z tego ni z owego zjawia się Böcklin, ale jaki? Falsyfikaty i *ausschuss*: poprawiane przez kogoś szkice, z których zaledwie kilka oryginalnych kwalifikuje się do wystawienia. Publiczność

szersza ma i tak w malarstwie zawróconą głowę. I tu nagle najpoważniejsza w Warsza-
wie instytucja artystyczna pokazuje im takiego Böcklina!

Z wyjątkiem wczesnych bardzo „Łowów Dyany“, nieskończonego „Orlanda szalonego“,
pejzażu Nr. 44, szkicu jakiejś bogini czy muzy z lirą (8) — reszta są to albo mniej (Nr. 14)
lub więcej (10) poprawiane obcą ręką, rozpoczęte i nieskończone obrazy Böcklina ojca,
albo zupełne falsyfikaty, lub w połowie (jakiś Apostoł 15, Portret 5, Poezya i Malar-
stwo 7) wykonane może na starych szkicach ojca przez syna (15) lub własne... syna. Szcze-
gólniej portret (5) ma w tle świeże malowanie jakichś liści bez sensu, odrzynających się
świeżością techniki od głowy, może malowanej przez samego Böcklina, może przez kogoś
innego, w każdym razie wyciągniętej gdzieś z pod łóżka, jak i portret kobiety z dzban-
kiem (4). Może w jakiej wielkiej zbiorowej wystawie dzieł Böcklina podobne płótna miały
by sens jako dokumenty. W takiej małej, jak ta, do reszty wypaczają smak i sąd szerszej
publiczności, która nie wie, co myśleć o wystawie, zawierającej kilkanaście obrazów, z któ-
rych zaledwie cztery, pięć nie przynoszą ujmy artyście. Przedewszystkiem szkic do „Or-
landa szalonego“ pojętego humorystycznie oraz szkic pejzażu (44): oba są barwne, silne,
nadzwyczaj przyjemne w malowaniu (techniką tempera). Szczególniej pierwszy, piękny
w kolorze, pełen życia w figurach, w pejzażu, przesiąknięty jasnym, zdrowym humorem,
malowany swobodnie. Ten obraz i pejzaż jest to Böcklin do wystawienia u nas; znać
w nich tęgiego majstra, panującego po wirtuozowsku nad farbą, kolorem, kształtem, świa-
tłem, treścią; lwie pazury znać w obu zaczętych i popsutych figurach kobiecych obrazów
NNr. 10 i 14, znać w pewnie podmalowanym, bardzo pięknym w kolorze Nr. 8 (nim-
fa z harfą). Są to wszystko szkice i rzeczy rozpoczęte, nie mają one w sobie ciężkości
przesycenia, przeladowania kolorem, modelacyi etc. obrazów skończonych Böcklina; jasna,
przezroczyta technika tempera daje im blask, świeżość, lekkość, czystość. Dostyc wczesne,
bardzo tłusto z olejem malowane łowy Dyany, z wyraźnymi śladami wpływów francus-
kiego malarstwa z XVIII wieku, oraz powyżej wymienione pięć obrazów były by natural-
nie nie wystarczające do pokazania naszej publiczności Böcklina; ale opłaciło by się je
sprowadzić jako obrazy dobre. Ale te inne? Owa ogromnie brudna płachta „Poezya
i malarstwo“ (n. b. przed nią zatrzymuje się najwięcej publiczności), owe portrety fał-
szowane? Należało by je chociaż powiesić osobno, nie mieszać razem, a w każdym razie
tak bardzo wątpliwego obrazu, jak owa „poezya i malarstwo“ nie wieszać w środku
dlatego, że jest duży, i nie bałamucić publiczności, która się przed nim zatrzymuje. A naj-
lepiej było by — nie wystawiać ich wcale. Może zdziwiło by to zagranicznych przedsię-
biorców, obwozących ową wystawę. Ale może pomyśleliby by sobie w duchu: „no — no,
Warszawa jednak nie jest taka głupia!...“ A teraz?...



W szeregu wystaw specjalnych w Towarzystwie Zachęty z kolei L. Janina — Janow-
ski pokazał nam swoje prace — z pół setki płócien — przeważnie portrety i to portrety ko-

biece. O artyście, który pracuje i nie powiedział jeszcze swego ostatniego słowa, trudno, naturalnie, wydać sąd ostateczny. Należy on do tych nielicznych u nas malarzy, którzy — dzięki swej naturze oraz może warunkom, wśród których żyją, lepszej artystyczniejszej atmosferze otoczenia — rozwijają się stale, dając rzeczy co raz lepsze: pierwsze i ostatnie prace, które zjawiły się przed sześciu—siedmiu laty, oddziela duży przedział pod każdym względem. Owo widoczne dążenie do wzmocnienia swej sztuki, do rozwoju—wyróżnia p. Janowskiego od bardzo wielu u nas i stawia go w rzędzie artystów poważnych, z którymi sztuka się liczy. Główna zaleta p. Janowskiego—to kolor — obrazy jego w kolorze są zawsze dobre. Następnie ma on jedną właściwość: czuje kobiecość, skutkiem tego jego portrety kobiet—szczególniej kobiet z wykwiłtniejszego świata—mają w sobie więcej, aniżeli wymaga się od zwykłego portretu. Niedawno wystawiony u Krywulca portret damy (p. L.) w lekkiej gazowej, zielonkawej sukni, siedzącej, opartej na rękę i patrzącej na widza szeroko rozstawionymi, jasnymi oczyma, w których mieni się coś, co zapewne określić było by bardzo trudno — to już nie zwyczajny portret lecz coś więcej — kompozycya, która używa człowieka jako środka do zrobienia wrażenia, wypowiedzenia siebie. To nie zwykła kopia twarzy, lecz coś stworzonego, wydobytego, co nie zdarza się codzień, nie leży na wierzchu, po co trzeba sięgnąć i mieć w sobie, aby mózdz osiągnąć. Toż samo można powiedzieć o portrecie p. A. K., młodej kobiety w atlasowej czarnej sukni, z ręką opartą na biodrach, o czerwonym portrecie damy, nagrodzonym na ostatnim konkursie w Towarzystwie, o interesującej głowie kobiety z profilu (pani R.) i o paru innych. Wadą a raczej niedostatecznością malarstwa p. Janowskiego, z którą widocznie walczy, są niepewności plastyki: nie dość mocny rysunek, niedostateczne opanowanie kształtu, skutkiem czego pewna część wystawionych prac wydaje się bladą—niepewność rysunku nie pozwala na mocniejsze wydobyte indywidualności kształtu portretowanych osobistości, na wyraźniejsze zrobienie pozy, na efekty plastyki, co odeгнаło by pewną monotonię, którą czuć było przy oglądaniu wielu naraz prac p. Janowskiego. Ta niepewność rysunku—to nie tyle wada specjalnie p. Janowskiego, ile ogólna cecha kolorystów wogóle, którzy w kolorze rozwijają się wcześniej, kładą nań większy nacisk, aniżeli na kształt, rysunek. To też głowy rysowane jednym kolorem są co do plastyki mocniejsze. Toż samo głowy męskie energiczniejsze, znoszące silniejsze efekty rysunku, oświetlenia, nie mają owej jednostajności (doskonały portret malarza S.) Szczególniej głowa męzka (portret p. S. G.) oraz doskonały portret pani N. mają w sobie połączone zalety: rysunku, plastyki i koloru z jednoczesnem zachowaniem silniejszej charakterystyki i podobieństwa—pozwalają spodziewać się, że w dalszych pracach p. Janowski wzmocni swój rysunek, pogłębi kolor, dając obrazy coraz lepsze, jeszcze bardziej interesujące.

F. JABŁCZYŃSKI.



TEATR.

„W ODMĘCIE“ SZTUKA p. PALIŃSKIEGO.

Wbrew intencjom swoim, oddał p. Paliński fatalną przysługę reportersko-jezuickiej moralności warszawskiej.

Zapatrzony, niby w słońce, w szablonowe i blade figury śmiertelnie „zdrowych“ fabrykantów komedyi, zachwycony całą stertą zjeżdżałych, już w chwili swego poczęcia martwych frazesów z wszelakich „kronik rodzinnych“, zasłuchany w głosy żerującej na śmietnikach opinii publicznej plotki, i zaopatrzony w balast konceptów z trzykopieskowych kalendarzy – postanowił wystąpić do walki z modernizmem, aby unicestwić go, zgnieść, zohydzić, przedewszystkiem zaś ośmieszyć. I w rezultacie udziałem p. Palińskiego stało się fatalne fiasco, fiasco, rozreklamowane nawet przez heroldów własnego obozu.

Cała ta bowiem góra zabiegów urodziła jedynie myszkę, biedną małą i politowania godną myszkę: tandetna pseudo-satyra w rzeczywistości okazała się nietylko bezkrwistym potworkiem, ale i bolesną auto-satyra nicości, nie umiejącej patrzeć na rzeczywistość pod właściwym kątem widzenia. Powiem więcej: pseudo-satyra przedzierzgnęła się w naiwną karykaturę tych właśnie postaci, które p. Paliński apoteozować chciał. Ta właśnie pensjonarska naiwność autora, wywołując uśmiech pobłażania, jest dla jego sztuki niejako glejtem bezpieczeństwa, osłaniającym ją przed potrzebą poważniejszej krytyki. Wśród bezdennie i nieprawdopodobnie głupich ale zdrowych figur, występujących w chaotycznie i niedbale uscenizowanym „W odmęcie“, znajduje się jeden tylko człowiek rozumny – a tym jest dekadent Karszowski, ten właśnie, którego p. Paliński pragnął postawić pod pręgierzem śmiechu widzów teatralnych. Pisząc to, staram się zapomnieć o tych zwierzęcych instynktach, jakimi autor tendencyjnie starał się zohydzić tę postać.

W rezultacie komedya żeglującego pod hasłem grubej tendencji p. Palińskiego osiadła na mieliźnie, a wkrótce, o ile się zdaje, zamieszka w archiwum teatralnem. Los sprawiedliwy i zasłużony. Niewątpliwie, nie można czynić autorowi zarzutu, iż będąc antimodernistą, wyznawcą kuryerkowych ideałów, w obronie czystości „niewiasty polskiej“ (czytaj: kucharki polskiej) kruszy kopie; modernizm, tak jak każdy inny kierunek artystyczny czy społeczny, może być tematem komedyi; ale autorowi, choćby najbardziej tendencyjnemu, nie wolno, jeśli chce, by go szanowano, schlebiał cyrkowym instynktom tłumu.

W końcu uwaga pod adresem p. Żelazowskiego: posiłkowanie się podobnie grubymi efektami, jak maska znanego pisarza współczesnego, nie leży w zakresie sztuki aktorskiej. Aktor, czyniący tak, tworzy osobą swoją ruchomy paszkwil.

A. ŁAWICZ.



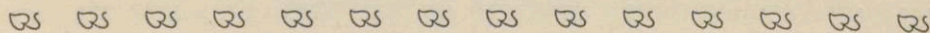
Przegląd miesięczny.

ALKOHOL A HISTORIA.

Dzieje, dzieje bezprzykładnie krwawe ostatnich dni, mają charakter szczególny. Pierwszorzędną rolę odgrywa w nich alkohol. I coraz widoczniejszym się staje, że alkohol zaawansował na potęgę dziejową, na czynnik wykonawczy, na środek egzekucyjny przy wytwarzaniu pewnych faktów historycznych.

Nie ulega wątpliwości, że historię tak zwaną polityczną lub — możemy pozwolić sobie na to nowe określenie: rasową lub wyznaniową trzeba pchać drogami różnymi od tych, na które prowadzi człowieka — kultura, nauka, etyka, komfort i t. p. Pod ich wpływem — ciągłej propagandy spokoju i pracy — cichną powoli głosy dzikiej bestyi w społeczeństwie, nie dla tego, ażeby ono bestyą być przestawało, lecz że się staje cywilizacyjnie leniwe, gnuśne, że woli, ażeby go nie ruszano z miejsca. Cóż ma z tym bezwładem, z tą inercją czynić historia? Dla niej spokój i spoczynek są czemś antihistorycznym [co widoczne jest ze znanego aforyzmu: *Szczęśliwe ludy nie mają historii*]. Historia więc musi patrzeć na antrakty między wybuchami zwierzęcości — jako na pierwiastek ziewający, stara się te przerwy zmniejszyć a zgubne działanie oświaty i delikacenia uczuć tępić, tępić nie-miłosierdzie.

Czemże zaś może tego dokonać? Propagandą? — nie wypada w stuleciu, kiedy właśnie propaguje się etykę, humanizm i t. p. Prawodawstwem? — właśnie prawodawstwo ukrócać ma zbrodnię. Więc niczem innym, jak *alkoholem*. Zaaplikowany gromadnie, jest najwspanialszą propagandą, bez cienia krasomówstwa; ścięra w oka mgnieniu pokost kultu-ralny, sięga do najgłębszej głębi potwornych trzewnych instynktów i wydobywa ze dna dziwołagi piekielne zbrodni; pod jego wpływem „la bête humaine“ wynagradza sobie wspaniale wszystkie lata nieczynności i łagodności i nawet stwarza na przyszłość tradycję, naśladowców, szkołę.



Gdy np. chodzi o zgładzenie miasta chińskiego przez Hunnów niemieckich i jest obawa, że armia nie będzie dosyć pohopną do wyrżnięcia niewinnej i spokojnej ludności—wprowadza się żołnierzy w trans zapomocą alkoholu, i wtedy rozkaz wyrżnięcia zostaje wykonany idealnie — a nawet z przewyżką, albowiem kazano wyprawić na tamten świat wszystkich starszych np. nad dwanaście lat życia, żołnierze zaś, ztracając, jak się tłumaczy, poczucie różnicy lat—wyrzynają nawet drobne dzieci. Jest to zresztą uzupełnienie bardzo humanitarne, bo cóżby te maleństwa osierocone czyniły wobec niebotycznych ludzkich jatek z ciał ich rodziców i rodzeństwa? W ten sposób w ciągu kilku godzin gród, zawadzający zwycięzcom, zostaje zatopiony w morzu krwi. Ciche, pracowite zbiorowiska istot ludzkich, słyszące zaledwie echa wojny—giną tak łatwo i tak gruntownie, tysiące bliźnich idą pod nóż czy topór tak szybko, jakgdyby podrzynanie gardeł i rozpruwanie brzuchów bezbronnych braci w Bogu było najmiłą pieszczotą dla zdobywczego serca.

Alkohol potrafi inscenizować widowiska genialne. Wymysły Neronów wyglądają przy nich jak rozkoszny flirt ze śmiercią, a pochodnie chrześcijaństwa jak niewinne ognie bengalskie. W tem ciągłym piętnowaniu barbarzyństwa rzymian jest coś naiwnego i śmiesznego, to byli dyletanci początkującego okrucieństwa, a czem jest nowoczesny, a właściwie społeczny europejczyk? Stworzył nieznaną dziejom masowość zbrodni i wzbił się na wyżyny okrucieństwa, na nieznane dotąd szczyty kannibalizmu.

Lombroso, dowodząc — całkiem poważnie — że zbrodniarz z urodzenia przechodzi w okrucieństwie dzikie zwierzę, znajduje potwierdzenie w obserwacjach, poczynionych nad zesłańcami z Sachalinu. Lecz człowiek taki jest łagodnym barankiem w porównaniu z *tłumem*, który się wykapał uprzednio w wodce. W zbiorowym szale alkoholycznym nabywa on cudownych zdolności—rozdzierania małych dzieci, jak szmat, zrzucania ich z trzeciego piętra, zgniatania ich na placki między deskami, roztrzaskiwania im główek o mury kamienic i t. p., gwałcenia dziewcząt w obecności mordowanych rodziców, wbijania kobietom gwoździ w czerep przez nozdrza, wrywania im piersi, obcinania języków, wylupywania oczów — i do tym podobnych innych produkcji na chwałę historyi. Prawda, że niekiedy nie wystarcza sam alkohol—potrzeba jeszcze, ażeby mordowani mieli odpowiednie kwalifikacye, byli np. wyznawcami Starego Testamentu.

Alkohol skraca przedziwnie drogę do nieprawdopodobnej mety. Sprawia, że ręce ludzkie *dokonywują* czynów, na *sam widok których człek w stanie normalnym powinien by dostać obłędu*.

Niekiedy też, dla osiągnięcia odpowiednich rezultatów, nie dosyć użyć alkoholu zwyczajnego, 95 procentowego, ten bowiem za mało lotny i za słabo przenika w zakątki duszy tak zwanego człowieka. Albo też zdarza się, że niektóre warstwy, tak zwana inteligencya, niechętnie takiego alkoholu używa. W takich razach nowoczesny ten a wszechwładny czynnik dziejów występuje w stanie rozsubtelnionym, rozduchowionym, jako słowo drukowane, a rozdawcą jego wówczas staje się—prasa. Jak istnieje spirytus *denaturalizowany* np. do użytku kuchennego, tak ten jest spirytusem *udoskonalonym*. Przyjmuje się łatwo w najszerszych kołach „inteligencyi“.



Niedawny przewrót w Serbii, pretensjonalnie i eufonicznie zwany rewolucją – był również dokonany przy pomocy alkoholu.

Jeśli to nawet nie było wiadomem z doniesień, byłoby łatwym i koniecznym wnioskiem z tygrysiej srogości w wymordowaniu rodziny królewskiej,—ostatniego z Obrenowiczów—jej przyjaciół i gwardyi pałacowej. Po pijanemu wysadzono drzwi dynamitem, który jednego ze spiskowych poszarpał w sztuki; alkohol wyrzucił oknem niedobite ciała pary monarszej; alkohol znęcał się nad nimi w sposób, który niegdyś pewnie posłużył za materiał do jakiejś nowej teorii antropologicznej.

Jatki—zwane tragedją, katastrofą i t. p. miały tu charakter zwykłej pijanej mordowni między-plemiennej i między-rodowej, której stałym dymiącym teatrem są ludy południowo-słowiańskie. Wbite klinem między mocarstwa Europy a „chorego człowieka“ — Turcyę — nietykalne, ażeby nie obudzić sporów i zawikłań państw decydujących, są sobie samemu zostawionym stosem kaźniowym. To znaczy — zostawione na pastwę swej zbójnickiej politykomanii, chuci wielkości, żądy odegrania jakiejś głównej roli za wszelką cenę.

Jest to coś swego rodzaju — ten fatalizm podturecczonych słowian — wzajemnych wyrzynań i ścinań. Wszystko, co się tam kłębi ostatnimi czasy, kłębi się jakoby z wyroku wzajemnej zagłady. Gdy ona zagrozi, gdy wzajem palone i plądrowane siedziby zamieniają się w nieprzerwanie buchający krater wulkanu, gdy pogwałcą się i pośmiercą króliki, książątka, herszty band, Europa będzie musiała wkroczyć na półwysep bałkańskiej konwulsyi i położyć kres ciągłemu przyływowi i odpływowi krwi chrześcijańskiej i muzułmańskiej.

Inne znaczenie, znaczenie dla ruchu emancypacyjnego — trudno przypisać temu, że wnuk Jerzego Czarnego, Piotr Karadźordzewicz, zasiadł na stolcu serbskim. Nie słyhać, ażeby to wyszło tak bardzo z woli narodu — który podobno dość apatycznie na tę historję patrzy i z tej prostej przyczyny, że woli swej tak bardzo nie ma.

Prowadzi go armia, żywioł wojskowy w przymierzu z bogatą i militarnie usposobioną burżuazją. Pogrom Obrenowiczów jest tedy tryumfem militaryzmu.

ORPION.



POMNIK GROTTGERA.

Na plantach Krakowskich wprost podłużnej ściany pałacu sztuki — stanął pomnik autora „Wojny“, dłuta Wacława Szymanowskiego.

Dytyramby, których pisma nasze z powodu tego dzieła sztuki były pełne, rzeczywistość sprowadza do znaczenia uczciwej, podniesionej temperatury chwili. Nie jest to zresztą winą artysty lecz chwalców krakowskich. Pod osłoną entuzjazmu przemyka się do nas z pod Wawelu tyle egzaltowanych ód, tyle laurów na czoła artystów krakowskich!

Wszystko, co tam sztuka rodzi, lub zrodzone gdzieindziej, adoptuje — ma zawczasu znamię nieśmiertelności.

Pomnik Grottgera jest pracą ogólnie estetyczną i znakomicie ożywia klomby i gazony. Byłoby niesprawiedliwym porównywać go, dajmy na to, z Mickiewiczem Godebskiego—i już zupełnie okropnym—Mickiewiczem Rygiera. Szymanowski do niesmaku jest niezdolny, nie stąpa poomacku, nie próbuje nieudolnie, nie łąta i nie sztukuje ruchów i wyrazów, lecz posiada swój śmiały giest, szerokość rozmachu, temperament i zdecydowanie. W Grottgerze uderza odrazu pewność pomysłu i ręki; twarz jest określonego, zrozumiałego typu. Głowa, szyja i ramiona, okolone—za mocno, co prawda—kołnierzem płaszczka,—rysują się energiczną techniką i linią i mają w sobie duże, pulsujące życie.

Lecz pojęcie samo głowy i typu nie jest twórczo-artystyczne. Szymanowski chciał osiągnąć podobieństwo i zachował je—na pierwsze wejrzenie przynajmniej—wybornie. Lecz co sztuce z tego podobieństwa? To twarz młodego, zadowolonego z siebie profesora, trochę junacka, twarz bardzo polska może, ale nie ciekawa. Dziwny na jej widok tworzy się rozdźwięk między impresją, duszą, aureolą imienia Grottgerowskiego. Jeśli tak wyglądał autor słynnych elegii na temata ludzko-szakale, jeśli nie czuł ich wcale, rysował ręką nie duszą, nie krwią i żółcią—to może lepiej byłoby, gdyby p. Szymanowski był mniej sumien-ny. Niechby był nieuczciwy, całkiem samowolny, zapomniał o prawdzie nosa i ust, lecz za to pamiętał o wyrazie i typie. Nie przekazuje się potomności rysów pospolitych i nie uwiecznia się dziarskich chwatów, dla tego—że są dziarscy. Trzeba więc było Grottgera upiększyć i uduchownić, choćby nie zasługiwał na to.

Rodzi się też i inne przypuszczenie, że płytkość osiągniętego typu jest winą rzeźbiarza, że to on za powierzchownie *zrozumiał* Grottgera, albo też, że zamiast skupić się w jakim momencie mocno-duchowym, wydobyć ze swego tematu ton dobitny, wyższy, przemachnął się, osłabł przez impet i brawurę, jak opada ręka, kiedy się zamierzy zbyt mocno. Jestto, zdaje się, ogólną właściwością tego artysty—przewaga siły rzutu i giestu nad szczerą namiętnością, przemiana ducha, którego mu nie brak, zdaje się,—na zamaszystość. I to jest znowu widoczne w płaskorzeźbie, zdobiącej cokół pomnika. Dwoje poległych w bratobójczej walce, to motyw bardzo dramatyczny, ale całkiem zimny—i podobny w dodatku do wielu innych, już powielekroć rzeźbionych—a poeta czy artysta, co w planach dalszych płacze czy smuci się, ma znacznie więcej teatralnego pochylenia i pozy—niż smutku i zadumy, ma jakąś pozycję, zbyt popularnie i melodramatycznie przedstawiającą ból.

Grottger z plantów Krakowskich rozczarowywa do Grottgera z ogrodu uwielbień, w którym dotychczas rósł i kwitnął. Szymanowski odarł go z głębi i duchowej chwały.

C.



JAN KARŁOWICZ.

Nie urzędowy nekrolog jego byłby doskonałą sposobnością do portretu działacza duchowego z bogatą i żywotną treścią. Na pozór tylko badacz języka, t. z. lingwista —

był w rzeczywistości także myślicielem i artystą. W sumie — typem humanisty nowego z dziwnej epoki, która tak potrafi łączyć sprzeczne genialności, jak gdyby np. bliźniakami byli Wagner i Darwin.

Był jednym z pierwszych, którzy zaznajamiali nasz świat umysłowy z wielką ideą dramatu muzycznego, ongi w całym szeregu artykułów w „Prawdzie” — i on też tłumaczył „Etykę” Spencera i „Dzieje stosunków wiary do rozumu” Drapera.

Znawca muzyki i sam przygodny wirtuoz, wydawca i nieustrudzony zbieracz spuścizny po Moniuszce — był też znawcą szerokich idei ewolucyjnych, przepływających nad światem, i odczuwał znakomicie swojsko międzynarodowe wędrówki i rozwoje baśni i pieśni ludowych. Pod jego kierunkiem „Wisła” zgromadziła nieprzebrane skarby żywej przyrody ducha ludu, wierzeń, śpiewów, podań, gwar — całej przebogatej jego duchowej fauny i flory.

Była to więc organizacja harmonijna i syntetyczna. Warunki materialne pozwoliły mu pracować wiele i owocnie, a kierowniczy wpływ kultury europejskiej chronił od zaściankowości i szowinizmu. Czuł swoją epokę i rozumiał, że prawdziwy jej syn musi być krnąbrnym i opornym jej synem, nie zaś beniaminkiem; był niezależny od tłumu i sprawiał chwilami wrażenie, jak gdyby nie wiele sobie z niego czynił — i kochał rzeczywiście ideę i ideową pracę więcej, niż poklask. Zdaje się, że ukrywał w sobie ciche i trochę ironiczne politowanie dla miąkłych sporów i wypadków, w które tak obfituje nasze pstre i płytkie życie publiczne. Przypuszczam nawet, że manifestowana ciągle na każdym kroku obywatelskość — ciągle i pierwszorzędny udział w instytucjach naukowego i artystycznego znaczenia, — płynęły nie tyle ze szczerego zamiłowania do publicznych występów i ceremonii, nieraz koleżeństwa z umysłowami nicościami — ile z wysokiego rozumienia obowiązku, które zamienił na kategorię poczucia.

Z Karłowiczem schodzi do grobu istotna wartość: nie pionek, lecz *pionier* szerokiej nauki i postępu, głoszonego bez krzyku i obłudy — samą powagą moralnej wyższości, samym górnym na świat poglądem, samą wewnętrznie przyrodzoną wzniosłością ideału.



MISCELLANEA.

SZKOŁA KOWIEŃSKA I WIZYTA JEJ W OSTATNIM ROKU WYKŁADÓW ADAMA MICKIEWICZA. (Dokończenie).

Do foliowych kart Aktu Wizyty powyższej dołączony jest kajet z literą porządkową u góry H, zatytułowany (inne, obszernie również materiały, jako mniej ważne, pomijamy): Treść nauk dawanych w Szkole powiatowej Kowieńskiej w przedmiocie Grammatyki powszechnéy, Retoryki, Historii starożytnéy i języka Łacińskiego od roku 1822-go dnia 1-szego września do drugiego Examinu kwartalowego to jest do dnia 10-go kwietnia roku 1823. *Klasa 3-cia pierwszoletnia. — z Grammatyki.* — Mowa uważana iako obraz myśli z ilu się składa części? Nazwiska grammatyczne wyrazów pod względem ich znaczenia. — Co znaczy wszelki wyraz? Skąd się mamy uczyć znaczenia wyrazów i skąd pochodzi podobieństwo wyrazów co do brzmienia w różnych językach? Co jest przenośnia? Jakie są zasady lub podobieństwa i różnice polskiej i łacińskiej przenosni. — O Rzućliwość i Słoworodzie, przytoczenie przykładów i uwag w obu językach. — O Składni. — Co jest składnia i od czego zależy iey poznanie? Co jest myśl, sąd, zdanie? Wielorakie są zdania? Na co potrzebne przypadkowanie Imion? Ile ma odmian w polskim i łacińskim języku? Co każdy z nich wyraża? Co są przyimki i na co są potrzebne. Wyliczyć postaci głównejsze mowne ze stosownymi przykładami. Okazanie różnicy pod tym względem w obu językach. — Co rozumiemy p, składnią zgody? między iakimi wyobrażeniami ona zachodzi i w jaki sposób? — Osobliwości składni właściwé Polsce i Łacynie. — O składni rządu. Przebiedz ośm części mowy w Polsce i Łacynie okazując w jaki sposób iedna z nich rządzi drugą. — Osobliwości niektóre konstrukcyi Łacińskiej tyczące się użycia Spojników, tak nazwaney składni przypadku 4-go z trybem bezokolicznym ett. ett. z *Historji Starożytnéy*. Wstęp. Wyobrażenie Historji w ogulnem i ścisłem znaczeniu, iey po-

działy pod rozmaitemi względami. Nauki pomocnicze a w szczególności Chronologia i Geografia historyczna. *z Geografii*. Opisanie Azji Starożytnéj z iey Państwami i miastami aż do czasow Aleksandra Wielkiego. *z Historji*. Ogólne uwagi nad stanem ludow Azyatyckich. Dzieje Monarchii Assyryjskiéj, początek iey wzrostu i podział, dzieje Królestw, pozostałych z rozdzielenia Assyrii, iakoto: Niniwitów, Babilończyków i Medow. — Powstanie Medów, i powstanie Persow, rozszerzenie się ich potęgi i woyny z Grekami aż do Artaxerxesa 2-go, upadek Państwa perskiego i ostateczne iego podbicie. — O Egipcie. Iego położenie geograficzne, ludność, stan towarzyski w naydawniejszych wiekach. Historia baieczna Egiptu z jakich czerpana rzudeł. W iakim stopniu zasługuie na wiarę. Historia powszechna Egiptu aż do wtargnienia Kambizesa. — Rzut oka na osady Fenikow we trzech częściach świata, ich stan polityczny i handlowy. O Scytach i Celtach ich osady i obyczaje i sposoby życia. Kilka słów o narodach mieszkających w głębi Azji, iako to: Indyanach i Chińczykach, czém one różniły się od Stanu innych ludow starożytnych. *z Nauki Moralney*. o Przystoynem między Ludzmi obcowaniu, i o cnotach towarzyskich od których zależy przyjemne obcowanie. — *z Języka łacinskiego*. Tłumaczono wypisy na tę Klasse i życie Wodzow greckich Trazybulusa i Epaminondy. z Polskiego na łacinski wykładano krótkie wyjątki z Historji Rzymskiej. *Klassa 3-cia drugoletnia*. *z Retoryki*. Uwagi nad mową ludzką, iey pierwiastkowym utworzeniem, kształceniem się i rozdzieleniem nad mową ustną i pisaną. Różnice między obu mowy Rodzajami co się tycze przyjemności i ozdoby i od czego zależy? Mowa pisana uważana zewnętrznie, iak się dzieli i co rozumiemy p. styl w ogulności. — O wyrazach uważanych zewnętrznie: tudzież o wyrażeniach ile one są zrozumiałe, harmoniczne i mocné. O okresach pod tymi troiakimi względami uważanemi. — Styl uważany zewnętrznie iak się dzieli. — O wyrażeniach uważanych wewnątrznie. Podział Stylu uważanego wewnątrznie. — O gatunkach mowy należącej do Stylu prostego. O Listach, Dyalogach i ich podziale, tudzież o powieści właściwej, historyczney, ze stosownemi przykładami. — Co nazywamy wymownem, iakie są określenia wymowy i w iakich przedmiotach okazywać się zwykła. — Co to jest Mówca w ogulnym a co w ścisłem znaczeniu? Jaki gatunek nazywa się właściwie Krasomową. — Przymioty zewnętrzne i wewnętrzne mowy, od czego one zależą i czyli się one nabywać mogą, ogólne wyobrażenie Retoryki, iey cel i układ. O wynalezieniu retorycznym, co są tak nazywane topiki; wyliczyć z nich głównejsze. — Przykłady określenia, porównania i sprzeczności, wyliczenia części, opisania okoliczności z Mówcow oyczystych. *z Historji*. Ogólne uwagi nad pierwiastkowym stanem ludow Pelazyjskich i Heleńskich tudzież osad Fenickich i Egipskich Grecyi aż do Woyny Troianskiej. Woyna Troianska, zamieszania i błąkania się narodow; ostateczne ich osady, pomniejsze woyny w Grecyi aż do pierwszego niajazdu Persów Woyny Perskie ich przyczyny, ciąg i wielkie skutki. Stan Grecyi po woynach Perskich. Walka między rodem Doryckim i Jonskim. Skutki tey woyny. — Osłabienie moralne Grecyi. Powstanie Filippa i przewaga Macedończyków w Grecyi pod Alexandrem. Dalsze zdobycze Alexandra, stan Grecyi po śmierci iego. *z Historji Rzymskiej*. Panowanie Królów Rzymskich

i Stan Państwa za ich rządów, wymienić oraz mniemania względów Początków Rzymian. Stan Rzymu po wygnaniu Tarquiniusza. Wewnętrzne zaburzenia i wojny pograniczne aż do ustanowienia Trybunów gminnych. — Dalszy ciąg Woien a w szczególności Wyprawy przeciwko Faliskom i Weiom tudzież bitwy z Gallami. Stan Włoch i Rzymu po wtargnięciu Gallow wewnętrzne zaburzenia i wzmaganie się coraz większe Plebeiów. Wojny z Samnitami i Latynami tudzież z Pirusem królem Epiru. Rozległość Państwa rzymskiego po tej wojnie. *z Łacinskiego Języka* Tłumaczono życia Wodzów Greckich z Korneliusza Neposa i przekładanie z języka oyczystego na łacinski krótkie wyiątki z Rzymskiej Historji.

Powyższa część treści nauk skreślona na 4-ech kartkach in 4-o; 1-sza kartka tytułowa. Na 2-ach kartkach następnych taki program: Treść nauk dawanych w tychże Klassach od Examinu półrocznego to jest od dnia 10-go kwietnia do czasu wizyty Jeneralney w dniu 27 Maja. *Klassa 3-cia pierwszoletnia.* — *z Grammatyki.* O Iloczasię w Polsczyznie i łacinie, Różnica pod tym względem w obu językach, i szczególne każdemu prawidła. O Wierszopistwie Polskim zewnętrznym z wymienieniem prawideł wzorów. — *z Historji Starożytney.* Początkowa Historja Ludów greckich od czasu pierwszych osad fenickich aż do wojny trojańskiej, tudzież przyczyny, i skutki tej wojny. — *z Języka Łacinskiego.* Tłumaczono życia Tymoleona z Korneliusza Neposa. *Klassa 3-cia drugoletnia.* — *z Retoryki.* O ułożeniu retorycznem a w szczególności o częściach Krasomowy, iako to wstępie, założeniu, podziale, opowiadaniu, dowodach, części patetyczney i domówieniu. — *z Historji Rzymskiej.* Wojny Punickie ich przyczyny, skutki tudzież wzrost potęgi Rzymskiej i rozciągnięcie iey wpływu we trzech częściach Świata starożytnego. — *z Języka Łacinskiego.* Tłumaczono życie Hamilkara Anibala i Attyka z Korneliusza Neposa. Dla wprawy w Deklamacyą uczono się na pamięć wyiątków z Poezyi Trembeckiego Szymonowicza Zimorowicza Kniaznina, i Krasickiego. — *z Jeografii.* Opisanie Azji starożytny Państwami i miastami do czasów Alexandra Wielkiego. — *z Historji.* Ogólne uwagi nad stanem ludów Azyatyckich. Dzieje Monarchii Assyryjskiéy, początek iey wzrostu i podział, dzieje Królestw, powstałych z rozdzielenia Assyryi, iako to: Niniwitów, Babilończyków Artarxerxesa 2-go, Upadek Państwa Perskiego i ostateczne iego podbicie. — O Egipcie. — Jego położenie ieograficzne, ludność, stan towarzyski w najdawniejszych wiekach. Historia baieczna Egiptu z iakich czerpana jest zrzudeł. W iakim stopniu zastuguie na wiare. Historia powszechna Egiptu aż do wtargnienia Kambizesa. — Rzut oka na osady Feników we trzech częściach świata, ich stan polityczny i handlowy. O Scytach i Celtach ich posady i obyczaje i sposob życia. Kilka słów o narodach mieszkających w głębi Azji, iako to: Indyanach i Chinczykach, czém one różniły się od stanu innych ludzi starożytnych. — *z Nauki Moralney* o przystoynem między ludźmi obcowaniu, i o cnotach towarzyskich, od których zależy przyjemne obcowanie. — *z Języka Łacinskiego.* Tłumaczono wypisy na tę Klassę i życie Wodzów greckich Trazybulusa i Epaminondy. Z Polskiego na łacinski wykładano krótkie wyiątki z Historji Rzymskiej.

Kajet drugi in 4-o o 5-ciu kartkach, z tych 1-sza z tytułem programu i 7 stronie zapisanych. U góry tytułu również literą H podnaczone.

Treść nauk dawanych w Szkole Powiatowéy Kowieńskiéy w przedmocie Retoryki, Poetyki, Estetyki, Historji Powszechnéy, Polskiéy, rossyjskiéy, prawa politycznego, tudzież literatury łacińskiéy. Od roku 1822 dnia 1-go Września, do Wizyty jeneralnéy w dniu 27 Maja roku 1823.

Klasa 4-a pierwszoletnia.—z Retoryki. Ogólne wyobrażenie figur retorycznych, ich podziały, tudzież uwagi nad teorią figur. Figury mowné zależące od uszykowania wyrazów. Tropy iako to Metafora, Allegorya, Synegdoche, Metonimia i t. d. Przykłady każdey w szczególności. O figurach myśli. Główniejsze z nich wyliczyć ze stosownými przykładami i uwagami. Mowa krassomówcza na ile dzieli się rodzajów i jakie w tych podziałach zaszły zmiany stosownie do postępu oświecenia i różnego stanu ludzi w czasach starożytnych i nowszych. Wyobrażenie ogólnej mowy naradnéy, cel iéy i charakter. Jakie przymioty szczególniey posiadać winien mówca naradny, mianowicie co się tycze nieprzygotowanego mówienia. Krótka historia wymowy naradnéy, wyliczyć sławniejszych mówców w tym rodzaju tudzież ich dzieła ze stosownými uwagami. Różny cel mowy sądowéy, ile wpływa na szczególne właściwé iéy charakter. Uwagi tyczące się mówców sądowych, ich zdolności, usposobienia i moralnego charakteru. Literatura mowy sądowéy. O wymowie kaznodziejskiéy, iéy początkach i pierwiastkowym stanie: czemu się mowcy kazalni i ten rodzaj sztuki różni od innych gatunków krassomowy. Historia i literatura wymowy kazalnéy. O rodzaju pochwalnym. O cechach właściwych dziełom tego rodzaju, historia i literatura mowy pochwalnéy. — *z Historji Rzymskiéy.* Stan Rzymu po wygnaniu Królów. Owcześnie skład rządu i obyczaje Rzymian. Woyny i zmiany wewnętrzne aż do napadu Gallów. Zabory Rzymian w Italii. Woyna samnická i epická aż do pierwszégó woyny punickiéy. Stan Rzymu, Polityka Senatu i obyczaje ludu w tym okresie czasu. Dalsze zdobycze Rzymian we trzech częściach świata, aż do zburzenia Kartaginy i Koryntu. Wielkie odmiany wewnętrzne w Rzymie i Italii. Ścieranie się arystokracji z Demokracją. Dyktatura Sylli. Tryumwirały. Upadek Rzeczypospolitéy rzymskiéy. Przyczyna tak wielkich odmian. Stan Rzymu pod panowaniem Cesarzów. Rewolucye wojskowe aż do objęcia władzy przez Flawianów. Stopniowany upadek Rzymu. Odmiany w narodach pogranicznych na wschodzie i północy. Rozrywanie się Państwa rzymskiego. Złączenie pod Konstantynem Wielkim. Stan Państwa aż do upadku państwa na zachodzie. Porównanie pod względem politycznym, moralnym i religijnym narodu greckiego, rzymskiego i ludów barbarzyńskich w owym wieku. Zmiany na zachodzie i północy aż do panowania Justyniana. Stan wschodu, wewnętrzne urządzenie i woyny Państwa greckiego aż do czasu powstania Mahometa. Rzut oka na Arabią. Powstanie Islamizmu i zdobycze Arabów w trzech częściach świata. — *z Historji Powszechnéy.* Po wstanie Państwa Franków i zwrot iégo potęgi za Karolowingów, tudzież wpływ coraz większy ludów skandynawskich na stan Europy. Dzieje Państwa wschodniego, Kalifów Arabskich i Królestw zachodnich aż do Krucyat. Porównanie związku religijno-politycznego na zachodzie pod przewodnictwem Rzymu ze stanem ówczesnym wschodu mahometańskiego. Krucyaty, przyczyny, dzieje i wpływ na stan ludów europejskich. Dzieje szczególnych Królestw po woynach krzyżowych, tu-

dzień o wpływie ówczesnych wynalazków, jako to prouchu, sztuki Drukar-skiéy i igły magnesowéy na stan Europy i odkrycia zamorskié. O reformie, iéy wpływie i zaburzeniach z tégo powodu aż do pokoju Westfalskiego.

Klasa 4-ta drugoletnia. — z Estetyki. Ogólne wyobrażenie sztuk pięknych. Czem się one różnią od umiejętności scisłych i jak się dzielić zwykły? Co rozumiemy przez cechy i znaki w Estetyce? O zmysłach, na które sztuki piękne działają. Czy można ustanowić ogólną wszystkich sztuk zasadę? Przymioty sztuk mistrza, wyobrażenia, uczucie, talent, gieniusz. Przymioty głównejsze dzieł sztuki, piękność gorność, sprzeczność i szlachetność. *z Poe-tyki.* Poezya uważana jako jedna ze sztuk pięknych co ma na celu i jak ją można pod tym względem określić, Jakié przymioty i usposobienia konieczne są poetom, aby celu swégo dopięli. Na czem zależy znajo-mość języka co do poezyi i co rozumiemy przez władanie mową. Nauki pomocnicze potrzebne sztukmistrzóm tego rodzaju, a mianowicie literatura starożytna umiejętności i krytyka. Prawdła sztuki mechaniczne i estetycz-né. Podziały rodzajów poezyi podług najnowszych teoryków, z wymienie-niem należących do każdego rodzaju gatunków. O rodzaju powieściowym. Teorya i literatura każdego w szczególności gatunku a mianowicie, Bayki Ezopowéy, powieści właściwéy, Allegoryi, Poezyi pasterskiéy. Rodzay dy-daktyczny — w szczególności, Poema naukowé, opisowé, Satyra i pomniey-sze gatunki poezyi. O poemacie bohaterskim. O szczególnym dzieł tego rodzaju układzie, prawidłach i znamienitszych poetach epicznych w staro-żytney i nowoczesney literaturze.—*z Historji Polskiej.* Epoki historji pol-skiéy podług Wagi i Lelewela. Epoka 1-sza, krótkié wspomnienia dzieiów baiecznych. Panowanie i dzieła Królów zaborców aż do Bolesława III-go. Owczesny stan Polski. Polska w podziałach. Panowanie Xiążąt Krakow-skich i wewnętrzne zamieszanie w Polsce aż do Kazimierza Wielkiego. Kwitnący stan Polski pod familią Piastów i Jagiełłów aż do śmierci Zygmun-ta Augusta. Stan Panstwa i granice Polski za czasów tego Króla. Bezkró-lewie. Panowanie Henryka Walezjusza i Stefana Batorego. Wstępn na tron Zygmunta III-o. Zaburzenie wewnętrzne i wojny pograniczne. Wojny z Turcyą, Rossyą i wyprawy Inflantskié. Stan Polski i odmiany w iéy poli-tycznym położeniu tudzież w moralnych usposobieniach narodu. Pano-wanie Władysława 4-o, Jana Kazimierza, smutny stan Polski za iégo rzą-dów. Wznagające się zaburzenia wewnętrzne, nakoniec coraz znaczniejsze rozprężenie się społecznego porządku w Polsce za Michała, Jana III-o i krolów z domu Saskiego. Uwagi nad owoczesnym stanem Polski i przy-czynami osłabienia i upadku narodu.

Klasa 4-a pierwszoleł. i drugolet. — *z Prawa Politycznego.* Wyo-brażenie tej nauki i krótka iéy historia. Co rozumiemy przez ugodę po-spolitą? Jaki stąd tworzy się stan społeczeństwa? O władzy najwyższéy tudzież rozmaitych iéy odnogach, jako to: Władzy prawodawczéy, sądo-wniczéy i wykonawczéy. Istota każdéy z tych władz, formy i attrybuta. — *z Literatury łacińskiéy.* W obu klassach tłumaczono 1-szą i 2-gą xięgę cel-niejszych od Horacyusza, niektóre wyjątki z czterech xiąg Ziemiaństwa Wirgiliuszowego tudzież wojnę Katylińską z Salistiusza. Przekładano z ię-zyka Polskiego na łaciński ogólny rys historji powszechney. Nadto klasa

4-ta drugoletnia przechodziła. z *Historji Rossyjskiéj* Utworzenie się Monarchii rossyjskiéj pod xiążętami Wariagskiemi. Dzieie tych xiążąt. Podział Monarchiey, zaburzenia wewnętrzne i wojny oscienne aż do nayscia Tatarów. Dzieie Rossyi od wygnania tatarów aż do wstąpienia na tron domu Romanów.

∞ ∞ ∞ ∞ ∞ ∞ ∞ ∞ ∞ ∞ ∞ ∞ ∞ ∞ ∞

Taki to był ustrój Szkoły Kowieńskiej, system i rodzaje wykładów, stosunki pedagogiczne i frekwencya wychowañców — świetle jedynych w tym rodzaju materyałów, nieogłoszonych, nieznanych dotychczas. Zwracamy tu uwagę, że w Szkole zostały sporządzone dwa Akty Wizyty: jeden stwierdzony podpisem Wizytującego (Chlewińskiego właśnie, jak to wiemy z innego źródła) i ten został na miejscu, drugi podpisany — jako kopia z poprzedniego — przez dozorcę Dobrowolskiego i nauczycieli (z Mielzewiczem) zabrany został do Wilna, dla przedstawienia w Kuratoryacie naukowym okręgu. Ten ostatni Akt z całą księgą wizytatorską, jak widzimy, ocalał. Ubolewać należy, że dotąd nie wykryto miejsca, gdzieby się obecnie znadować mogły wyliczone na początku Aktu wizytacyjnego księgi (w liczbie 25) z owemi protokołami miejscowych wizyt, dziennikiem obrad domowych, mów szkolnych nauczycielskich na uroczystościach, ksiąg zdań o postępach uczniów, inwentarzy, raportów i t. p. Prawdopodobnie w archiwum wileńskim dzisiejszego Zarządu okr. naukowego, albo w archiwum centralnem akt dawnych (przy Bibliotece publicznej).

LUCYAN UZIĘBŁO.



Odezwy nadesłane.

TOWARZYSTWO ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH W KRÓL. POLSKIEM.

Dnia 15 października r. b. Tow. Zach. obchodzić będzie uroczystość otwarcia nowego skrzydła gmachu wystawą pośmiertną dzieł ś. p. Henryka Siemiradzkiego, na którą rodzina zmarłego użyła wszystkich prac tego artysty, pozostałych w jego pracowni, jako to: skończonych i zaczętych obrazów, szkiców, studyów etc.

Ufając, że społeczeństwu polskiemu nie będzie obojętnem, aby wystawa ta wypadła jaknajświetniej, Komitet zwraca się do wszystkich posiadaczy dzieł Siemiradzkiego z prośbą o udzielenie ich na nią.

W razie niemożności nadesłania ich Komitet prosi o szczegółowe wiadomości, gdzie, u kogo, jakich rozmiarów i jakie dzieło się znajduje, a to w celu sporządzenia ogólnego katalogu dzieł tego artysty.

Koszty przesyłki Towarzystwo przyjmuje na siebie.

Nadsyłanie deklaracji i wiadomości pożądanem jest jaknajwcześniej, dzieł zaś najpóźniej na 1 października.



KONKURS DRAMATYCZNY MIŁOŚNIKÓW SCENY.

Miłośnicy Sceny ogłaszają konkurs na sztukę dramatyczną na warunkach następujących:

- 1) Sztuka powinna wypełniać cały wieczór (najmniej 3 akty) i odpowiadać warunkom miejscowym.
- 2) Do konkursu dopuszczone są wszelkie rodzaje sztuki dramatycznej. Pożądane jednak są utwory komedyczne, z wyłączeniem krotchwil.

3) Sztuki nadesłane na konkurs nie powinny wymagać zbyt kosztownych dekoracji i wystawy.

4) Miłośnicy wyznaczają dwie nagrody, z których I-a wynosić będzie rubli 500, II-ga rubli 200.

5) Nagrodzone zostaną utwory najlepsze z nadesłanych. Gdyby jednak w plonie konkursowym znalazły się tylko utwory, pozbawione wszelkiej wartości artystyczno-literackiej, ogłoszony będzie konkurs powtórny na tych samych warunkach.

6) Termin nadsyłania utworów z zachowaniem zwykłych formalności konkursowych upływa z dniem 1-y wrzesnia r. b. włącznie.

Nb. Każda sztuka powinna być oznaczona godłem, które znajdować się ma również na kopercie zapieczętowanej, zawierającej imię, nazwisko i adres autora.

7) Sztuki powinny być nadsyłane pod adresem dyrektora administracyjnego Komisji teatralnej p. Benedykta Hirsbanda (Zielna Nr. 31 m. 5).

8) Miłośnicy Sceny mają wyłączne prawo do bezpłatnego wystawiania sztuk nagrodzonych, przed innymi teatrami. Warunek ten obowiązuje autora sztuki nagrodzonej do dnia 31 grudnia 1904 r.

9) Suma rubli 700 przeznaczona na nagrody konkursowe została w dniu 17 b. m. złożona w domu bankowym „H. Wawelberg“.

10) Lista sędziów ogłoszona zostanie później.



TOWARZYSTWO OGRODNICZE WARSZAWSKIE.

Wyszło z druku nowe wydawnictwo Towarzystwa Ogrodniczego Warszawskiego p. t. „Flora Królestwa Polskiego“, napisana przez znanego na polu naszego przyrodoznawstwa uczonego p. Feliksa Wermińskiego. Książeczka ta, formatu kieszonkowego, stanowi krótki podręcznik do określania roślin, przydatny dla uczącej się młodzieży oraz amatorów wycieczek botanicznych, zawiera klucz i tablice do określania rodzajów i gatunków, z bardzo licznymi rysunkami, całość 135 stron druku małej 8-ki. Cena w handlu księgarskim 1.75 rb. z ustępstwem dla zakładów naukowych. Nabyć można w Kancelaryi Towarzystwa, Bagatela 3, i w księgarniach.



O LISTY SŁOWACKIEGO.

Szanowny Redaktorze,

Posiadając oryginały wszystkich prawie listów Juliusza Słowackiego do matki, mogłem być przystąpić do pełnego i dokładnego wydania tej korespondencji.

Jakoż wydanie to z objaśnieniami, po raz pierwszy z autografów poety dokonane, wyszło przed kilku laty w dwóch tomach nakładem Księgarni polskiej we Lwowie i znajduje się wszędzie w handlu księgarskim.

Lecz po za listami Słowackiego do matki istnieją jeszcze dość liczne listy, do przyjaciół i znajomych pisane, które znajdują się w różnych instytucjach publicznych i zbiorach prywatnych. Te rozproszone po świecie pamiątki rękopiśmienne wielkiego poety zebrałem w odpisach wiernych lub w odbitkach fotograficznych i przygotowałem do druku tom trzeci jego korespondencji.

Nie udało się odzyskać, ani odszukać listów do: Zofii Michałowej Balińskiej, Cezarego Platera, Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, późniejszego arcybiskupa warszawskiego, do Cypryana Norwida, wielu listów do Zygmunta Krasińskiego i do innych osób, z którymi Słowacki mógł pozostawać w stosunkach przyjaznych lub chwilowego interesu.

Pragnąc zaś tom trzeci korespondencji jaknajpełniej uczynić, zwracam się za łaskawem pośrednictwem „Ateneum“ do czytającego ogółu z prośbą o nadesłanie mi wiadomości o znajdujących się gdziekolwiek własnoręcznych listach Słowackiego w całości, w urywkach lub też o ich kopiach. Każdą taką wiadomość przyjmę z wdzięcznością, gdyż posłużyć ona może do uzupełnienia przygotowywanego obecnie zbioru w granicach możliwej dokładności.

Wiadomość przesłać można pod adresem moim w Warszawie: Włodzimierska № 6.

LEOPOLD MÉYET.

Warszawa, d. 23 Czerwca r. 1903.



SEKCJA IMIENIA CHOPINA.

Istniejąca od lat czterech przy Towarzystwie muzycznym warszawskiem „sekcja imienia Chopina“ uważa za właściwe przypomnieć ogółowi, iż zadaniem jej jest szczenie kultu naszego nieśmiertelnego mistrza w najrozleglejszym znaczeniu tego słowa.

Od zawiązku też swego sekcja gromadzi wszelkie po Chopinie pamiątki, w jakimkolwiek bądź zostające związku z jego życiem, działalnością lub twórczością. Pamiątki te, już dziś poważny zbiór stanowiące, a obecnie mieszczące się przy Towarzystwie muzycznym warszawskiem, znajdują z czasem godne dla siebie schronienie i opiekę w instytucji, mającej nosić nazwę „Muzeum Chopina“.

Zadanie to może być tem rychlej spełnione, o ile do tego urzeczywistnienia przyczynić się zechcą posiadacze pamiątek po Chopinie. Wszelkie bowiem pamiątki, w prywatnych znajdujące się rękach, giną zwykle ze śmiercią właściciela, a rozproszone po świecie nie mają tego znaczenia, co zebrane razem w jednym miejscu i oddane pod opiekę instytucji, własność ogółu stanowiącej.

W ten sposób powstało: Mozarteum w Salzburgu, muzeum Szekspira w Stratfordzie, muzeum Goethego w Weimarze i Frankfurcie nad Menem, Verdiego w Medyolanie, dom Matejki w Krakowie i wiele innych. W ostatnich zaś czasach powstały w Niemczech i w Austrii towarzystwa wyłącznie w celu gromadzenia i ochrony autografów uczonych, literatów i artystów niemieckich. Jeżeli więc cały świat uczyłizowany oddaje cześć swym geniuszom, zbiera najdrobniejsze nawet po nich okruchy, by tym sposobem przechować po wsze czasy pamięć o swych natchnionych synach, to i my winniśmy wszelkich dołożyć starań, ażeby uchronić od zagłady i zebrać razem pamiątki po najgenialniejszym może muzyku świata, który „pierwszy pieśnią polską przemówił do wszystkich ludów ziemi“...

Wszystko więc, co ma jakikolwiek związek z osobą, życiem lub działalnością Chopina, wejdzie w skład muzeum jego imienia; autografy jego listów i nut, listy jego rodziny i przyjaciół do nie-

go lub o nim pisane, wszelkiego rodzaju wizerunków oryginały i kopie, jakoteż portrety jego rodziny i przyjaciół, wszystkie wydania dzieł, czasopisma we wszystkich językach, od chwili wystąpienia naszego mistrza na arenę artystyczną, z każdą choćby najmniejszą o nim wzmianką, przedmioty, stanowiące niegdyś własność jego lub najbliższego otoczenia, słowem wszystko, co z Chopinem może mieć jakąkolwiek łączność w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Inną sferą działań sekcji stanowią wydawnictwa, dotyczące osobistości Chopina, ogłaszane w miarę napływających materiałów.

Wstępem do prac tych jest drukujący się przekład z oryginału angielskiego, dwutomowego, znakomitego i jak dotąd najlepszego dzieła o Chopinie, opracowanego przez Fryderyka Vicksa. Wkrótce też ukaże się wydana staraniem i kosztem sekcji, opracowana przez p. Mieczysława Karłowicza, ozdobiona licznymi rysunkami, książka p. t. „Pamiętki po Chopinie“, zawierająca szereg ciekawych a nieznanych listów mistrza do rodziny, oraz listy rodziny, przyjaciół i uczenic do niego pisane. Książka ta wyjdzie za granicą w przekładzie niemieckim, francuskim i angielskim.

Wreszcie zaznaczyć należy, że od samego zawiązku swego istnienia sekcya działała i działa, celem uczczenia pamięci Chopina w sposób, w jaki narody ucywilizowane składają hołd swoim geniuszom.

Do tych już bliskich urzeczywistnienia projektów, między którymi znajduje się pomnik Chopinowi w Warszawie wzniesić się mający, sekcya pragnie czynną przyłożyć rękę, uważając to za obojętne z jej zadań wypływające.

Z przytoczonego programu łatwo dojść do wniosku, że jeżeli kiedy, to w chwili obecnej, sekcya potrzebuje poparcia ogółu. Zwraca się więc o pomoc do wszystkich, którym sztuka polska obojętną nie jest, ażeby raczyli zapisywać się w poczet członków sekcji, przez co zwiększą jej zasoby materialne i ułatwią spełnienie jej zadań.

Członkiem sekcji może być każdy, kto wnieśnie rubli trzy rocznie na ręce p. Izydora Kowalskiego, członka skarbnika sekcji i Towarzystwa muzycznego, w lokalu tegoż Towarzystwa (gmach teatru).

Przewodniczący DR. H. DOBRZYCKI.

Członek komitetu, sekretarz L. MÉYET.



BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI I WYDAWNICTWA NADEŚLANE.

Maksym Gorkij. „Na dnie“. Obrazy — aktów cztery. Przekład Aleksandra Zelwerowicza. Nakładem księgarni Dr. J. Marchlewskiego & Com. w Monachium.

Henryk Sienkiewicz. „Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela“. „Bartek Zwycięzca“. (Nowelle). Nakład i własność Gebethnera i Wolffa. Kraków, 1903.

Henryk Sienkiewicz. Pisma, tom LIV. „Krzyżacy“, część VI. Bezpłatny dodatek do Tygodnika Ilustrowanego. Warszawa, 1903.

Ignacy Józef Badowski. „Dwa śluby“. Obraz sceniczny w trzech aktach i w sześciu odsłonach. Kraków. Nakład i druk W. L. Anczyca i Spółki. 1903.

Al. Eibl. „Szkice i kontury z Lutni“. Kraków, 1903. Nakładem autora. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Ellis Ethelmer. „Zkąd się wziął twój braciszek?“ Podług dziełka Ellis Ethelmer „Baby buds“ spolszczyła R. Centnerszwerowa. Warszawa. Nakładem księgarni G. Centnerszwerowa i Sp. 1903.

Eliza Orzeszkowa. „Czciciel potęgi“. Powieść. Wydanie nowe. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903.

Eliza Orzeszkowa. „Przędze“. I. Z pyłów przydrożnych: Sam na sam — Chochlik psotnik — Dwie — Cień — Niepoprawny. II. Z fantazyi: Tytan, Faun i Nimfa (baśń grecka) — Po co? (bajka) — Rocznicza — Czego szukał po świecie smutek? — Pytania. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903.

Eliza Orzeszkowa. „Mirtala“. Powieść. Wydanie nowe. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903.

„**Dokąd się udać na wypoczynek letni?** Do wód? Na kurację?“ Przewodnik po rodzimych zdrojowiskach, zakładach kąpielowych i przyrodoleczniczych, latowiskach i t. p. Berlin 1903. Nakładem wydawnictwa „Przewodnika Zdrowia“.

Em. Sl. z Lesehradu. „V dnech šerých“. Nakładem księgarni E. Weinfurtra w Pradze.

CZASOPISMA ARTYSTYCZNE I NAUKOWE.

Nowe Słowo. Dwutygodnik społeczno-literacki. Kraków. № 11. 1 czerwca 1903. Natalia Landau „Nowe prądy w kształceniu młodzieży“. — Dr. Salomea Perlmutter „Położenie lwowskich robotnic chrześcijańskich“. — Kronika. — F. Mirandola „Perihelia“. — Marceli Schwob „Paolo Uccello“. — St. Lack. „Bolesław Śmiały, dramat Stanisława Wyspiańskiego.“ —

№ 12. 15 Czerwca 1903. Marya Turzyna „Wychowanie i nauczanie“. — Natalia Landau „Nowe prądy w kształceniu młodzieży“. — Helena Lawska „Towarzyszka“. — Kronika. — St. Lack. „Bolesław Śmiały, dramat Stanisława Wyspiańskiego“. — Józef Jedlicz „O wschodzie“. — Tymon Niesiołowski „List“. — Edward Leszczyński „Myśli moje“, „Sadzawka“. — M. A. K. „Gustaw Moreau“.

Krytyka. Zeszyt VI. Czerwiec 1903. (f) „Ludzie, czy szakale?“ — Stanisław Wyspiański „Piast“. — Dr. Kazimierz Nitsch „Z naszej literatury językoznawczej“. — Dr. Fr. Krcek „Dwudziestopięciolecie poetyckie Jana Kasprowicza“. — Leo Belmont „Nowy dramaturg rosyjski“. — Wasyl Stefanyk „Basarabowie“. — Dr. Józef Zieliński „Z ruchu robotniczego we Francji“.

Moderni Revue. № 9, 1903. Ludvík Horák «Knihy essai». — Viktor Dyk «Inkventura». — Edgar Allan Poe «Marginalie» (prel. J. Zivny). — Karel Kamínek «Falkenštejn». — J. Séphin Péladan «Citové zasvěcení». — Ladislav Pfuster, Alap «Cizí knihy». — Viktor Dyk «Waterloo».


Hlidka. № 6, 1903. Dr. K. Rímský «Kdy stanoveny články víry bludum Husovým protivné?». — František Dohnal «Maurice Maeterlinck a poslední díla jeho». — Jan Oliva «Jak zjednodušiti a prohloubiti vyučování theologické?». — František Vacek «Legenda Kristianova». — Aug. Vrzal «Maxim Gorký». — Lev Solc «O Gundulicové Osmanu». — Dr. Jaroslav Stastný «Josefa Františka Smetany korespondence». — Dr. J. Moravec «O kanonickém processu». — Nová díla. — Směs.

La Revue. № 11, Juin 1903. Thomas O'Donnel «L'Irlande, sa langue, sa liberté». — Prof. J. Jussieu «Le Krach de l'intellectuelle». — Alfred Droin «Nocturne». — Camille Mélinand «Nos Droits sur l'animal». — Austin de Croze «La grande Misère de Bretagne». — Max Nordau «Panna» (Nouvelle). — R. «Le Césarisme et son poète: Enrico Corradini». — Emile Faguet «La France administrative en 1852». — R. Rémusat «Un Poème contre la Providence». — Dr. R. Romme «Pastille et Poudre de Sérum». — Gabriel Trarieux «La Théâtre et la Vie». — Mouvement littéraire et scientifique en France.









OGŁOSZENIA.

m. Mankielewicz.

MAGAZYN I PRACOWNIA 
WYROBÓW JUBILERSKICH

M. WRZEŚNIEWSKI

Warszawa, Plac Teatralny 9.      



Poleca zawsze w dużym wyborze:

PIERŚCIONKI, BROSZKI, BRANSOLETY,
ŁAŃCUCHY DŁUGIE SZYJNE DLA PAŃ,
DEWIZKI, SPINKI, BRELOKI, PAPIEROŚNICE
ZŁOTE, SREBRNE I PLATYNOWE, ZEGARKI
DLA PAŃ Z EMALJĄ, BRYLANTAMI I PERŁAMI.



OGROMNY WYBÓR

Złotych i srebrnych pięknie emaljowanych:

CYZELOWANYCH W STYLU MODERNISTYCZNYM
PRZEDMIOTÓW NA PODARKI, JAKO TO:
BONBONIERKI, LUSTERKA, FLAKONY DO
PERFUM I SOLI, WAZONIKI DO KWIATÓW,
NOŻE DO PAPIERU, RĄCZKI DO LASEK
I PARASOLI, PUDEŁKA DO CYGAR I PAPIEROSÓW,
ZAPALNICZKI etc. etc.

Ceny niskie.  Robota wykwińska.